NRLF-1
MAIN

BIBLJOTEKA „JSKIER"

TALIZMAN

WALTER SCOTT

KSIĄŻNICA ATLAS

III, I, 20, 81

F. 40 7

BIBLJOTEKA „ISKIER“

12.

WALTER SCOTT

TALIZMAN

BIBLJOTEKA „ISKIER“

powieściowa i popularno-naukowa pod redakcją Władysława Kopczewskiego

DOTYCHCZAS WYSZŁY:

1. *Karol Dickens:* Maleńka Dorrit, powieść w oprac. Cecylji Niewiadomskiej.
2. *Jadwiga Marcinowska:* W upalnem sercu Wschodu. Wrażenia z podróży po Egipcie, Indjach, Cejlonie i Jawie. Z ilustracjami.
3. *J. H. Fabre:* Szkodniki. Pogadanki o owadach szkodliwych, w tłumaczeniu Z. Bohuszewiczówny. Z ilustr.
4. *J. H. Fabre:* Nasi sprzymierzeńcy. Pogadanki o zwierzętach pożytecznych, w tłumaczeniu Z. Bohuszewiczówny i M. Górskiej. Z ilustracjami.
5. *Bronisława Ostrowska:* Bohaterski Miś czyli przygody pluszowego niedźwiadka na wojnie. Dla dzieci od lat 10 do 100. Z ilustracjami. Wyd. III.
6. *Kazimierz Andrzej Czyżowski:* Szalony lotnik. Powieść fantastyczna.
7. Dwunastka. 12 nowel nowoczesnej literatury światowej w tłum. Merwina.
8. *Walter Scott:* Kwintyn Durward. Powieść z czasów Ludwika XI w opracowaniu Teresy Tatarkiewiczowej.
9. *G. Erpianis:* Jędraszek w samochodzie. Powieść. Z włoskiego przełożyła z upoważnienia autora R. Centnerszwerowa.
10. *Antoni Pisuliński:* Szlakiem słonia afrykańskiego. Wrażenia z podróży i polowań w Afryce środkowej.
11. *Karol Dickens:* Dawid Copperfield. Powieść w oprac. Cecylji Niewiadomskiej.
12. *Walter Scott:* Talizman. Powieść z czasów wojen krzyżowych w opracowaniu Teresy Tatarkiewiczowej.

BIBLJOTEKA „ISKIER“
POD REDAKCJĄ WŁADYSŁAWA KOPCZEWSKIEGO

WALTER SCOTT

TALIZMAN

POWIEŚĆ Z CZASÓW WOJEN KRZYŻOWYCH

W OPRACOWANIU
TERESY TATARKIEWICZOWEJ

KSIĄŻNICA-ATLAS
ZJEDNOCZONE ZAKŁADY KARTOGRAFICZNE I WYDAWNICZE
TOW. NAUCZ. SZKÓŁ ŚREDN. I WYŻSZ. SP. AKC.
LWÓW — WARSZAWA
1927

Printed in Poland

BERKELEY
LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA

WALTER SCOTT

słynny pisarz angielski, twórca powieści historycznej i jeden z pierwszych romantyków Anglji i całego świata, urodził się dnia 15 sierpnia 1771 r. w Edynburgu w Szkocji, jako syn prawnika. Skutkiem paraliżu dziecinnego okulał w drugim roku życia i może dlatego jego życiowa energja przejawiła się nie w czynach, a w pismach. W piętnastym roku życia poświęcił się zawodowi prawniczemu, w którym pracował wiele lat, ale bez zapału. Pierwsze jego dzieło, wydane w 1802 r., ujawniło jego niepospolite zdolności pisarskie. Następny swój poemat „Pieśń ostatniego minstrela" (1805) oparł na podaniach szkockich. Poemat ten zjednał mu dużą popularność, podania ludowe nie były dotąd bowiem nigdy wyzyskiwane w literaturze angielskiej. Zachęcony powodzeniem, pisze Scott szereg utworów, z których ważniejsze są: „Pani jeziora" (1810), „Wawerley" (1814), który stał się powodem jego rozgłośnej sławy, „Iwanhoe" (1820), „Kenilworth" (1821) i wreszcie „Kwintyn Durward" (1823). Niestety, życie Walter Scotta było bardzo ciężkie. Wskutek bankructwa wydawcy stał się niespodziewanie dłużnikiem, zmuszonym do zapłacenia 130 tysięcy funtów szterlingów. Odtąd całe życie pracował ciężko, aby tylko oczyścić się z długów, i ten szalony wysiłek, choć opłacony owocnemi rezultatami, skrócił jego życie. Scott zmarł 21 września 1832 r., zostawiając po sobie nietylko sławę pisarza, ale czyste imię szlachetnego, dzielnego człowieka.

2112

Skład i druk wykonano w Zakładach Graficznych Sp. Akc. „Książnica-Atlas" we Lwowie

I. CHRZEŚCIJANIN I SARACEN.

Palące słońce Syrji nie dosięgło jeszcze zenitu, gdy pewien rycerz Czerwonego Krzyża*, który porzucił swoje domowe ognisko na dalekiej Północy, aby połączyć się w Palestynie z zastępem Krzyżowców*, przejeżdżał zwolna piaszczystą pustynią, położoną nad brzegami Martwego morza*. Jest to morze wewnętrzne, bez odpływu; wpada do niego rzeka Jordan.

Rycerz-pielgrzym cały wczesny ranek piął się wśród skał i przepaści, a wydostawszy się z tych kamienistych i niebezpiecznych przejść, znalazł się na ogromnej równinie, gdzie przed wiekami grzeszne miasta* ściągnęły na siebie gniew Wszechmocnego.

Strój jeźdźca i rząd konia nie były zastosowane do podróży w tym kraju. Jakgdyby kolczuga z długiemi rękawami, rękawice żelazne i stalowy pancerz nie były dostateczną obroną dla rycerza, miał on jeszcze zawieszoną na szyi trójkątną tarczę, a na stalowy, zakratowany hełm narzucił kaptur z drucianej siatki, który, opadając na szyję i ramiona, zakrywał przerwę między hełmem a pancerzem. Nogi i uda, jak i całe ciało rycerza, pokrywała giętka kolczuga, a stopy ukryte były w żelaznych butach, takich, jak rękawice. U boku wisiał miecz obosieczny, długi i szeroki, z rękojeścią w kształcie krzyża; z drugiego boku dopełniał uzbrojenia mocny sztylet. Prawdziwą zaś bronią rycerza była stalą zakończona długa kopja, którą miał przymocowaną do siodła i opartą o strzemię. Gdy jechał, pochylała

się nieco wtył, a chorągiewka igrała na wietrze lub zwisała w czas spokojny. Do tego niewygodnego rynsztunku należy jeszcze dodać opończę z haftowanego sukna, mocno zniszczoną i wytartą, która pomimo to chroniła zbroję od palących promieni słońca, bo w rozgrzanej niepodobnaby było wytrzymać. Na opończy powtarzał się parokrotnie herb właściciela. Choć haft był już mocno wytarty, można było na nim rozpoznać leżącego lamparta z godłem: „Śpię — nie budźcie mnie!“ Zdaje się, że to samo godło powtarzało się na tarczy, niezliczone jednak ślady od uderzeń zatarły prawie rysunek.

Rząd konia niewiele był lżejszy i wygodniejszy od zbroi jeźdźca. Wierzchowiec dźwigał na sobie ciężkie siodło, pokryte stalą, połączone zprzodu z rodzajem napierśnika, a ztyłu ze zbroją, zakrywającą grzbiet. Do łęku siodła przytroczony był topór czy też młot, zwany czekanem. Zad końśki osłaniały łańcuszki, przednia część rzędu była ze stalowej blachy z otworami na oczy i nozdrza, z krótkim i ostrym kolcem, który wystawał z czoła końskiego, jak róg z czoła bajecznego jednorożca.

Natura, która obdarzyła rycerza niepospolicie silnemi ramionami, dźwigającemi kolczugę tak lekko, jakgdyby jej ogniwa utkane były z nici pajęczych, dała mu też zdrowie równie silne, jak ramiona, odporne na zmiany klimatu, na zmęczenie i wszelkie niedostatki.

Natura ludzka jednak, choćby była zamknięta w żelazną powłokę i uzbrojona w cierpliwość rycerza, którego godłem był Śpiący Lampart, wymaga czasem wreszcie spoczynku i ochłody. To też w południe, pozostawiwszy na prawo Martwe morze, podróżny z radością powitał kilka palm rosnących nad źródłem. Miejsce to wydało mu się odpowiedniem na południowy odpoczynek. Lecz nim jeździec i koń dosięgli upragnionego źródła, trud i niebezpieczeństwo zagrodziły mu drogę.

Gdy rycerz wpatrywał się uważnie w odległą jeszcze

kępkę palm, zdało mu się, że się coś wśród nich porusza. Po chwili z pośród drzew wysunęła się postać i zaczęła szybko zbliżać się do rycerza. Był to jeździec na koniu, a gdy był już blisko, rycerz poznał po turbanie, długiej włóczni i zielonym kaftanie, rozwianym na wietrze, że jest to saraceński kawalerzysta*. Wschodnie przysłowie twierdzi, że „na pustyni nie spotyka się przyjaciół". Krzyżowiec odpiął przeto kopję od siodła, schwycił ją w prawą rękę z ostrzem nawpół podniesionem i, zebrawszy cugle w lewą rękę, ostrogą pobudził swego wierzchowca. Był więc przygotowany na spotkanie z nieznajomym ze zdobytą w licznych zwycięstwach spokojną pewnością siebie.

Saracen zbliżał się, kierując swego wierzchowca raczej tylko swemi nogami i pochyleniem ciała, niż cuglami, które swobodnie zwisały w lewej jego ręce; tym sposobem mógł władać z łatwością trzymanym w dłoni lekkim, okrągłym puklerzem, zrobionym ze skóry nosorożca i ozdobionym srebrnemi pętlicami. Długiej swej włóczni ani nie zniżył, ani nie podniósł do góry, jak uczynił ze swą kopją jego przeciwnik, lecz schwyciwszy ją prawą ręką w połowie długości, podniósł do góry, wyprostowawszy ramię nad głową. Chrześcijański rycerz stanął bez ruchu, licząc na to, że o ile nieprzyjaciel będzie posuwał się naprzód z równą szybkością, własny ciężar jego i wierzchowca da mu nad przeciwnikiem dostateczną przewagę. Saraceński zaś jeździec, zbliżywszy się do chrześcijanina na dwie długości włóczni, zatoczył wierzchowcem na lewo i dwukrotnie objechał dokoła swego przeciwnika, który obracając się na miejscu, starał się uniknąć napaści od tyłu; saraceńskiego rycerza ten manewr zmusił do odsunięcia się o jakieś sto łokci. Po raz wtóry poganin ponowił napaść i po raz drugi zmuszony był cofnąć się, nie rozpocząwszy walki. Po raz trzeci zbliżał się w ten sam sposób, gdy chrześcijański rycerz, chcąc wreszcie zakończyć te pozory walki, w której obawiał się, że siły jego wyczerpie ruchliwość wroga, schwy-

cił nagle topór, wiszący u łęku i z całą siłą nieomylnego ramienia rzucił go w głowę Saracena. Emir*, bo emirem był jego przeciwnik, w samą porę zauważył groźny pocisk i zdążył zasłonić głowę przed toporem swym lekkim puklerzem; lecz uderzenie odtrąciło puklerz na turban i, choć ta osłona osłabiła siłę ciosu, Saracen został jednak zrzucony z konia. Ale, nim chrześcijanin zdążył skorzystać z tego wypadku, jego zwinny przeciwnik zerwał się z ziemi i, zawoławszy na konia, który natychmiast powrócił do jego boku, wskoczył na siodło, nie dotknąwszy się nawet strzemienia. I znów odzyskał przewagę, jakiej go wróg jego pragnął pozbawić.

Rycerz tymczasem odzyskał swój topór. Emir zatknął swą długą włócznię w piasek w pewnej odległości od pola walki i, z wielką zręcznością naciągając krótki łuk, który miał na plecach, wypuścił sześć strzał, a tak dobrze celował, że tylko dzięki znakomitej zbroi chrześcijanin nie został zraniony. Siódma strzała jednak trafiła snać w mniej odporną część zbroi i rycerz runął ciężko z konia. Jakież było zdumienie Saracena, gdy zsiadłszy z konia, aby obejrzeć swego powalonego przeciwnika, został nagle schwytany przez Europejczyka. Lecz nawet w tym śmiertelnym uścisku ocaliła Saracena przytomność umysłu. Rozpiął pas, za który schwycił go był rycerz i, wskoczywszy na swego wierzchowca, zdającego się śledzić ruchy swego pana z ludzką rozwagą, odjechał znów o kilka kroków. Lecz ponieważ w ostatniem spotkaniu Saracen stracił swój miecz, kołczan ze strzałami i turban, zbliżył się więc do chrześcijanina z wyciągniętą prawą ręką, lecz tym razem już niegroźną.

— Między naszemi narodami zawarte zostało zawieszenie broni — rzekł w *lingua franca**, używanej zwykle dla porozumienia się z Krzyżowcami. — Dlaczegóż więc mamy walczyć? Niech pokój będzie między nami.

— Zgadzam się chętnie — odparł rycerz Lamparta.

— A więc chodźmy razem do źródła — ciągnął dalej

niedawny jego przeciwnik — nadeszła bowiem godzina odpoczynku, a wargi moje zaledwie dotknęły strumienia, gdy oderwałem je, aby walczyć z tobą.

II. WSPÓLNY POSIŁEK.

Chrześcijanin i Saracen, którzy przed chwilą jeszcze wzajemnie czyhali na swą zgubę, zwolna ruszyli ku źródłu pod palmami.

Przybyli do kępki palm, w których cieniu tryskało obfite źródło.

Widok taki nie zwróciłby gdzie indziej niczyjej uwagi; lecz było to wśród bezmiernego horyzontu jedyne miejsce, gdzie było można znaleźć chłodny cień i świeżą wodę. Te dwa błogosławieństwa mało są cenione tam, gdzie są pospolite, a tutaj czyniły ze źródła i gaiku raj ziemski.

W tem rozkosznem miejscu obaj wojownicy zatrzymali się i każdy na swój sposób uwolnił swego wierzchowca z siodła, wędzidła i uzdy, poczem pozwolili napoić się koniom w basenie, podczas gdy sami pili u samego źródła, tryskającego pod sklepieniem skały. Konie puścili luzem, ufając, że zarówno instynkt ich, jak i obyczaje zwierząt nie pozwolą im oddalić się od czystej wody i świeżej trawy.

Wówczas chrześcijanin i poganin zasiedli razem na murawie i każdy z nich wyjął skromne zapasy, które miał ze sobą. Lecz nim zabrali się do posiłku, przyjrzeli się sobie z łatwo zrozumiałą ciekawością ze względu na nierozstrzygniętą walkę, jaką przed chwilą stoczyli. Każdy z nich chciał zmierzyć siły i ocenić charakter tak potężnego przeciwnika; i każdy z nich zmuszony był przyznać, że gdyby był poległ w tej walce, byłby padł od ciosu, zadanego szlachetną dłonią.

Rycerze tworzyli uderzający kontrast, a każdy był typowym przedstawicielem swego narodu.

Zapasy ich obu były skromne, lecz posiłek Saracena

był poprostu ascetyczny. Garść daktyli i kawałek jęczmiennego chleba wystarczył mu do zaspokojenia głodu; wychowanie na pustyni przyzwyczaiło go do skromnego jadła, choć od czasu podboju Syrji zdarzało się, że Arabowie dawną prostotę życia zamieniali na wyszukane zbytki. Parę kropli wody z uroczego źródła dopełniło jego posiłku. Zapasy chrześcijanina, choć proste, były jednak bardziej obfite; podstawę ich stanowiła suszona wieprzowina, wstręt budząca w muzułmanach; a wino w skórzanej butelce było lepsze od czystej wody. Rycerz jadł z większym apetytem i pił z większem zadowoleniem, niż wedle Saracena godziło się okazywać przy zwykłem zaspokajaniu potrzeb ciała. Bezwątpienia, tajemna pogarda, którą odczuwał jeden dla drugiego, jako dla wyznawcy fałszywej wiary, zwiększyła się pod wrażeniem różnicy w posiłku i w obyczajach. Lecz każdy z nich odczuł siłę ramienia przeciwnika i wzajemny szacunek, jaki mieli dla siebie po odważnej walce, stłumił inne, mniej ważkie względy. Saracen nie mógł powstrzymać się od wypowiedzenia głośno tego, co mu się nie podobało w postępowaniu i obyczajach chrześcijanina; śledząc przez pewien czas w milczeniu, jak rycerz z apetytem przedłużał swą ucztę, gdy on swoją oddawna skończył, wreszcie odezwał się do niego:

— Odważny Nazareńczyku, czyż to się godzi, aby ten, kto walczy w sposób godny człowieka, jadał jak pies lub wilk? Nawet niewierny Żyd wstrząsnąłby się z obrzydzenia na to jadło, którem ty zdajesz się rozkoszować, jakgdyby to był owoc z rajskiego drzewa.

— Dzielny Saracenie — odparł chrześcijanin, spojrzawszy ze zdziwieniem na tak niespodziewany zarzut — wiedz, że korzystam z wolności chrześcijańskiej, jedząc to, co jest zabronione Żydom, którzy słuchają prastarych praw Mojżesza. My mamy lepszego prawodawcę: Ave Maria! Jej go zawdzięczamy!

— Słowa twe, o Nazareńczyku — rzekł emir — gnie-

wałyby, gdyby twa nieświadomość nie budziła współczucia. Czyż nie widzisz, ty, który jesteś bardziej ślepy, niż niewidomi, żebrzący na progach meczetów, że wolność, z której jesteś taki dumny, ogranicza cię w tem, co jest najdroższym klejnotem domowego ogniska człowieka; prawo twe, o ile jesteś mu posłuszny, wiąże cię ślubami z jedną towarzyszką życia bez względu na to, czy jest zdrowa, czy chora, czy przynosi do twego ogniska i stołu pociechę i radość, czy też wrzawę i kłótnię. Ja to, Nazareńczyku, nazywam niewolą!

— Saracenie — odparł mu Krzyżowiec — mówisz tak, jak ktoś, co nigdy nie widział niewiasty, godnej prawdziwej miłości wojownika. Wierzaj mi, gdybyś mógł spojrzeć na nasze kobiety, którym my, rycerze, przysięgamy wiarę i poświęcenie, obrzydłyby ci na wieki te biedne niewolnice, zapełniające twój harem. Uroda naszych jasnowłosych piękności zaostrza nasze miecze i włócznie, a słowa ich są dla nas prawem. Jak niezapalona lampa nie rozsiewa blasków, tak i rycerz, który nie ma pani swego serca, nie odznaczy się w rycerskiem rzemiośle.

— Słyszałem o tem szaleństwie, rozpowszechnionem wśród zachodnich rycerzy — rzekł emir — i traktowałem je jako jeden z objawów obłąkania, które was także pcha teraz do zdobycia pustego grobowca*. Lecz wszyscy Frankowie*, których spotkałem, tak wychwalali urodę swych kobiet, że byłbym szczęśliwy, gdybym na własne oczy mógł ujrzeć te wdzięki, przekształcające dzielnych rycerzy na powolne sługi.

— Dzielny Saracenie — rzekł rycerz — gdybym nie pielgrzymował do Świętego Grobu, byłbym z dumą, zapewniwszy ci bezpieczeństwo, zaprowadził cię do obozu Ryszarda angielskiego. Nikt lepiej, niż on, nie potrafi uczcić szlachetnego wroga. Choć jestem ubogi i podróżuję bez orszaku, umiałbym zapewnić tobie i takim, jak ty, nietylko bezpieczeństwo, lecz szacunek i uznanie. Tam ujrzałbyś najpięk-

niejsze kobiety Francji i Anglji, które swym blaskiem zaćmiłyby kopalnię diamentów.

— Przysięgam na kamień węgielny Kaaby* — zawołał Saracen — że przyjmę twe zaproszenie z taką samą szczerością, z jaką tyś mnie zaprosił, o ile porzucisz zamiar dalszej podróży; wierzaj mi, dzielny Nazareńczyku, lepiej skierowałbyś wierzchowca zpowrotem do obozu, gdyż narażasz swe życie, podróżując do Jerozolimy bez pasportu.

— Mam pasport — odparł mu na to rycerz, pokazując pergamin, opatrzony podpisem i pieczęcią Saladyna*.

Saracen pochylił głowę do samej ziemi, poznawszy pieczęć i pismo sławnego sułtana Egiptu i Syrji. Pocałował dokument z najgłębszym szacunkiem i, przycisnąwszy go do czoła, rzekł:

— Nierozważny Franku, zgrzeszyłeś przeciw mojej i swojej krwi, nie pokazawszy tego pergaminu, gdyśmy się spotkali.

— Cieszę się z jego mocy — rzekł na to rycerz — gdyż słyszałem, że droga pełna jest band rozbójniczych, które rabują, nie zwracając na nic uwagi.

— Powiedziano ci prawdę, odważny rycerzu — rzekł mu Saracen — lecz przysięgam na turban Proroka, że gdyby cię co złego spotkało od tych łotrów, przybędę sam na czele pięciu tysięcy koni, żeby cię pomścić; wymorduję wszystkich mężczyzn, kobiety oddam w niewolę w dalekie kraje, gdzie nikt nie słyszał o ich plemieniu, a ruiny ich wioski posypię solą, aby nic już na tem miejscu nie wyrosło.

— Pragnąłbym raczej, abyś w ten sposób pomścił osobę, bardziej ode mnie godną — odparł mu rycerz — lecz ślub mój zapisany jest w niebiosach i muszę go wypełnić w pomyślną lub niepomyślną porę; bardzobym ci był tylko obowiązany, gdybyś zechciał mi wskazać drogę do mojego dzisiejszego noclegu.

— Przenocujesz dziś pod czarnym namiotem mojego rodzica — odparł Saracen.

— Noc tę — odrzekł chrześcijanin — muszę spędzić na modlitwie i pokucie w grocie świętego męża Teodoryka z Engaddi, który osiadł na tej pustyni i spędza swe życie na służbie bożej.

— Teodoryk — przerwał mu Saracen — jest pod opieką Turków i Arabów, a choć czasem dziwne bywa jego postępowanie, lecz naogół jest prawym następcą swego Proroka, więc zasługuje na opiekę tego, który był zesłany...

— Saracenie — zawołał rycerz — zaklinam cię w Imię Najświętszej, nie ośmielaj się w jednem zdaniu mieszać imia tego poganiacza wielbłądów z Mekki*...

Emir drgnął z wściekłości, jak rażony iskrą elektryczną, lecz trwało to jedną chwilę, a spokojna jego odpowiedź nacechowana była godnością i rozsądkiem:

— Nie ubliżaj temu, którego nie znasz, tem bardziej, że my czcimy twórcę twej wiary, potępiając tylko naukę, wysnutą z niej przez kapłanów. Zaprowadzę cię sam do groty pustelnika, której nie odnalazłbyś bez mej pomocy. A w drodze, pozostawiając mnichom i mułłom dysputy o bogach i religjach, będziemy rozmawiać o rzeczach, które bardziej przystoją młodym rycerzom: o bitwach, pięknych niewiastach, ostrych mieczach i lśniących pancerzach.

III. SZALONY ANACHORETA.

Rycerze opuścili miejsce chwilowego odpoczynku i usłużnie dopomagali sobie przy kulbaczeniu wierzchowców.

Nim dosiedli koni, aby się puścić w dalszą podróż, chrześcijański rycerz raz jeszcze umoczył wargi i dłonie w źródle i rzekł do swego towarzysza podróży:

— Chciałbym wiedzieć, jak się zowie to cudowne źródło, aby móc jego imię wyryć we wdzięcznej pamięci, gdyż nigdy jeszcze woda nie ugasiła bardziej dokuczliwego pragnienia, niż to, jakiego dziś doświadczyłem.

— Zwą je po arabsku Diamentem Pustyni — odparł Saracen.

— Słusznie je tak nazwano — rzekł chrześcijanin. — W dolinie, gdzie się urodziłem, biją tysiące źródeł, lecz żadnego nie będę tak wspominał, jak to samotne źródło, które sączy swą wodę tam, gdzie nietylko cieszy, ale gdzie jest zarazem nieoszacowanym skarbem.

— Prawdę mówisz — odparł emir — gdyż przekleństwo wciąż jeszcze ciąży nad Martwem morzem. Ludzie i zwierzęta, dopóki nie miną tej niegościnnej pustyni, nie kosztują ani wody z Martwego morza, ani wody z rzeki, która to morza karmi.

Dosiedli wierzchowców i, gdy ruszyli w drogę poprzez piaszczystą pustynię, muzułmanin rzekł:

— Pytałeś o imię niemego źródła, które ma tylko pozory żyjącej istoty. Pozwól mi więc zapytać się o imię towarzysza, z którym, stoczywszy naprzód niebezpieczną walkę, dzieliłem odpoczynek; nie może mi więc pozostać nieznanym, nawet tu, wśród pustyni palestyńskiej.

— Nie jest ono jeszcze godne rozgłosu — odparł chrześcijanin — lecz powiem ci, jak mnie zwą wśród rycerzy krzyża: Kenneth (Kenes), rycerz Śpiącego Lamparta. W mojej ojczyźnie noszę jeszcze i inne nazwiska, ale te brzmiałyby zbyt twardo dla wschodniego ucha. A teraz ty, dzielny Saracenie, pozwól się zapytać, z jakiego plemienia arabskiego twój ród się wywodzi i jak cię zowią?

— Sir Kenneth — rzekł muzułmanin — cieszę się, że wargi moje mogą z łatwością wymówić twoje imię. Lecz ja nie jestem Arabem, choć ród mój wywodzi się z plemienia, które od Arabów nie jest ani mniej dzikie, ani mniej wojownicze. Dowiedz się więc, rycerzu Lamparta, że jestem Szerkof, Lew Górski, a w Kurdystanie, skąd mój ród pochodzi, niema szlachetniejszego, niż ród Seldżuków.

— Słyszałem, że i w żyłach waszego wielkiego wodza płynie ta sama krew — dodał chrześcijanin.

Saracen szybko zmienił temat rozmowy:

— Przed chwilą opisywałeś miłość, jako największy skarb serca; musiałeś go więc powierzyć godnym rękom?

— Cudzoziemcze — odparł chrześcijanin, zaczerwieniwszy się gwałtownie — nie zdradzę tak łatwo kryjówki mego najdroższego skarbu, wystarczy, gdy ci powiem, że rzeczywiście skarb mej miłości zawierzyłem osobie wysokiego i szlachetnego pochodzenia, najwyższego i najszlachetniejszego; lecz jeśli pragniesz usłyszeć o miłości i o kruszonych o nią kopjach, przybądź, jak obiecywałeś, do obozu Krzyżowców, a będziesz miał co słuchać i o co walczyć.

Wschodni rycerz uniósł się w strzemionach, potrząsnął wzniesioną do góry włócznią i rzekł:

— Obawiam się, czy znajdę między rycerzami krzyża godnego przeciwnika w rzucaniu dzirytem.

— Tego nie mogę ci obiecać — odparł rycerz Lamparta — choć w obozie są Hiszpanie, którzy są wprawni w waszych wschodnich igrzyskach.

— Psy i psie syny — zaklął poganin. — Hiszpanie przybyli tu, aby walczyć z prawdziwymi wyznawcami, gdy ci, w ich własnym kraju, są ich panami i pracodawcami. Nie będę się z nimi zadawał w żadne rycerskie zabawy.

— Uważaj, by cię nie usłyszeli rycerze z Leonji czyli Asturji — rzekł mu rycerz, lecz dodał, uśmiechając się na wspomnienie porannej walki: — gdybyś zamiast rzucania dzirytem pragnął stanąć do walki na topory, znalazłbyś niejednego przeciwnika wśród Krzyżowców.

— Na brodę mego ojca — rzekł Saracen, uśmiechając się pod wąsem — zbyt to gwałtowna zabawa, nie będę jej unikał podczas bitwy, lecz moja głowa — (tu dotknął się ręką czoła) — jeszcze czas jakiś nie będzie tęskniła do takich igraszek.

— Chciałbym ci pokazać topór króla Ryszarda — odparł mu chrześcijański rycerz — w porównaniu z nim ten, który wisi u mojego siodła, zdaje się być piórkiem.

— Słyszeliśmy wiele o tym władcy wyspy — rzekł poganin. — Czy jesteś jego poddanym?

— Służę pod jego dowództwem w tej wyprawie i wielce jestem tą służbą zaszczycony — odparł rycerz — lecz nie urodziłem się jego poddanym, choć zamieszkuję wyspę, na której i on panuje.

— Jakżeż to może być? — zapytał wschodni rycerz. — Czy chcesz przez to powiedzieć, że macie dwóch panujących nad jedną ubogą wyspą?

— Tak jest, istotnie — odparł Szkot, bo tej narodowości był sir Kenneth. — Choć mieszkańcy dwóch krańców tej wyspy częste toczą między sobą wojny, kraj jednak wystawił silny oddział rycerzy, który może się nawet pokusić o zrzucenie jarzma niewiernych, w jakich jęczą miasta Syjonu.

Tymczasem w miarę, jak się posuwali, kraina zmieniała swój wygląd. Kierując się teraz ku wschodowi, dotarli do szeregu urwistych i jałowych pagórków, które w tej stronie otaczają pustynię i urozmaicają powierzchnię jej gruntu, nie zmieniając jednak jego nieurodzajnego charakteru. Ostre skaliste wyniosłości zaczęły ich otaczać i wkrótce stanęły im na drodze przeszkody zupełnie różne od tych, które dotychczas zwalczali; musieli się piąć po wąskiej ścieżce na urwiska niesłychanej wysokości lub spuszczać w głębokie rozpadliny. Ciemne jaskinie i szczeliny wśród skał, te groty, o których tak często wspomina Pismo Święte, ukazywały się po obu stronach ich drogi. Szkocki rycerz dowiedział się od emira, że były one często kryjówką drapieżnych zwierząt lub stokroć od nich drapieżniejszych ludzi, którzy, doprowadzeni do rozpaczy ciągłą wojną i uciskani przez żołdactwo, zarówno chrześcijańskie, jak i muzułmańskie, stali się rozbójnikami; nie zwracając uwagi ani na godność, ani na wiarę, na płeć czy wiek, grabili wszystkich.

Tajemny lęk ogarnął szkockiego rycerza, gdy przypomniał sobie, że znajduje się właśnie wśród tej okropnej

pustyni, gdzie Chrystus przeżył czterdzieści dni postu. Sir Kenneth pomyślał, że bosonogi mnich byłby odpowiedniejszym dlań towarzyszem, od tego wesołego, niewiernego mahometanina.

Uczucie to powiększało się, gdy Saracen stawał się coraz weselszym. Im dalej zagłębiali się w ponurą pustynię, tem lżejszy stawał się ton jego rozmowy, a gdy mu rycerz przestał odpowiadać, zaczął głośno śpiewać. Sir Kenneth znał dostatecznie wschodnie języki, aby zrozumieć, że śpiewa pieśni miłosne, wychwalające urodę kobiet, ulubiony temat wschodnich poetów. Śpiewał też piosenki na cześć wina, zwanego przez perskich poetów płynnym rubinem, aż wreszcie wesołość jego wydała się nieznośną rycerzowi, pogrążonemu w rozmyślaniach.

— Saracenie — rzekł ponuro Krzyżowiec — porzuć swą lekkomyślną i niewczesną wesołość i zwróć swe myśli ku rzeczom bardziej statecznym, choć, niestety, twe najpobożniejsze modlitwy są tylko bluźnierstwem i grzechem.

Mahometanin słuchał z pewnem zdziwieniem, poczem odpowiedział, ledwie ukrywając przez uprzejmość, że go te słowa zabawiły i rozweseliły.

— Mój dobry panie, zdaje mi się, że niesprawiedliwie traktujesz swego towarzysza lub, może, na Zachodzie, ci, co was wychowują, nie uczą was obyczajności. Nie obraziłem się, patrząc, jak objadasz się wieprzowiną i pijesz wino, i nie przeszkadzałem ci w uczcie, którą ty nazwałeś chrześcijańską wolnością, litowałem się tylko w głębi swego serca nad tak plugawemi rozrywkami. Dlaczego więc miałbyś się gorszyć, że ja rozweselam ponurą drogę piosenkami. „Śpiew jest, jak rosa niebieska na pustyni, chłodzi drogę podróżnemu“, powiada poeta.

— Mój przyjacielu — rzekł chrześcijański rycerz — modlitwy i święte psalmy są przystojniejsze od pieśni, wychwalających miłość i wino, gdy się przebywa Dolinę Śmierci*. Jest ona pełna wrogów i złych duchów, wypędzonych mo-

dlitwami świętych mężów z pośród siedzib ludzkich w te przeklęte strony.

— Nie mów tak o demonach — odparł mahometanin — gdyż wiedz, że mówisz z człowiekiem, pochodzącym z pokolenia i narodu, wywodzącego się od tych nieśmiertelnych istot, których twoi współwyznawcy boją się i przeklinają.

W owych czasach rozpowszechniona była wiara w magję i czarnoksięstwo, więc sir Kenneth uważał opowieść swego towarzysza o jego pochodzeniu djabelskiem za zupełnie wiarogodną, nawet niebardzo się dziwił, tylko wstrząsnął nim dreszcz trwogi na myśl, że w tak strasznem miejscu znajduje się z człowiekiem, który sam się przyznaje do takiego pochodzenia. Nie poddał się jednak trwodze i, przeżegnawszy się, odważnie zażądał od Saracena, aby dowiódł swego djabelskiego pochodzenia, którem się chełpił.

Ten uczynił to z gotowością i tak opowiadał:

— Gdy okrutny Zohauk*, jeden z potomków Dżiamszyda, zasiadł na tronie perskim, zawarł przymierze w tajemniczych podziemiach Istakharu* z potęgami ciemności. Tam żywił codzienną ofiarą z krwi ludzkiej dwa żarłoczne węże, które, wedle słów poety, stały się jego cząstką. Dla utrzymania ich przy życiu porywał ludzi. Gdy potęga krwiożerczego tyrana była u szczytu, gromada drapieżnych niewolników, których wysłał po codzienne ofiary, przyprowadziła do podziemi pałacu istakharskiego siedem sióstr tak pięknych, jak hurysy*. Dziewczęta te były córkami mędrca, nie posiadającego na tym świecie innych skarbów prócz nich i swej mądrości. Gdy siostry stanęły w ciemnem podziemiu, przybrane w szaty z białego, miękkiego jedwabiu, uroda ich wzruszyła serca nieśmiertelnych. Zagrzmiało, ziemia się zatrzęsła, ściana w podziemiu rozwarła się, a w szczelinie jej ukazał się myśliwy z łukiem; za nim wkroczyło sześciu jego braci. Byli oni wszyscy wysokiego wzrostu i nadzwyczaj urodziwi, choć mieli ciemne twarze; wzrok ich miał blask niesamowity, jaki się może spotyka u du-

chów śmierci, lecz nigdy w oczach zwykłych ludzi. „Zeineb“, rzekł ich przywódca, ujmując za rękę najstarszą z pośród sióstr, a głos jego był słodki, cichy i melancholijny. „Jam jest Kotrob, władca podziemnego świata i wódz Dżinnistanu. Ja i moi bracia, stworzeni z ognia, nie chcieliśmy się ukorzyć, pomimo rozkazu Wszechmocnego, przed grudą ziemi, zwaną człowiekiem. Pewnie słyszałaś, że jesteśmy okrutni, dokuczliwi i nieubłagani. To nie jest prawdą. Dobroć i wspaniałomyślność jest nam wrodzona; mściwi jesteśmy tylko, gdy nas kto obrazi, a okrutni, gdy nas znieważa. Jesteśmy wierni względem tych, którzy nam zaufają; wysłuchaliśmy wezwania waszego ojca, mądrego Mithraspa, który czci nietylko Dobroć Przedwieczną, ale i tego, którego zwą Źródłem Zła. Ciebie i twoje siostry jutro oczekuje zguba; lecz niech każda z was da nam po jednym włosie ze swego jasnego warkocza w dowód uległości, a zaniesiemy was setki mil stąd do bezpiecznej krainy, gdzie was już nie dosięże ani Zohauk, ani jego ministrowie“. Strach przed nieuniknioną śmiercią, mówi poeta, jest jak laska proroka Haruna*, która pożarła inne laski, zamienione w obecności króla Faraona w węże. Córki perskiego mędrca, mniej niż ktokolwiek inny, mogły się wystraszyć przemocy demona. Każda z nich dała włos, żądany przez Kotroba, i w jednej chwili zostały przeniesione do zaczarowanego zamku w górach Tugrut w Kurdystanie i nigdy już ludzkie oko ich nie widziało. Lecz po pewnym czasie w okolicy zamku demonów ukazało się siedmiu młodzieńców, odznaczających się na wojnie i w łowach. Byli oni ciemniejsi, wyższego wzrostu, bardziej okrutni i odważni, niż inni mieszkańcy, rozproszeni w dolinach Kurdystanu: pojęli oni żony i dali początek siedmiu plemionom Kurdów, których cenią na całym świecie.

Chrześcijański rycerz wysłuchał ze zdumieniem tej dzikiej opowieści, której wspomnienia dotychczas napotkać można wśród Kurdów i po chwili namysłu rzekł:

— Zaprawdę, nie dziwię się już, że stajesz się wesoły

i podniecony, zbliżając się do miejsc, nawiedzanych przez złe duchy, gdyż ogarnia cię uczucie, jakie inni odczuwają, zbliżając się do miejsc, skąd pochodzą ich przodkowie.

— Na brodę mego ojca, zdaje mi się, że masz słuszność — rzekł Saracen, bardziej ubawiony, niż dotknięty szczerością, z jaką chrześcijanin wypowiedział te uwagi — gdyż choć Prorok, błogosławione niech będzie jego imię! zasiał ziarno lepszej wiary, niż ta, którą wyznawali nasi przodkowie, w mrocznych izbach Tugrutu, jednak nie śpieszymy się tak, jak inni mahometanie, z wydawaniem wyroków na potężne, żywiołowe duchy, od których wywodzimy swoje pochodzenie. Wielu z nas teraz jeszcze śpiewa takie pieśni.

I zanucił pieśń, której budowa i język były tak starożytnego pochodzenia, że początku jej, jak niektórzy przypuszczają, należy szukać u czcicieli Arymana.

W chwili, gdy Saracen przerwał na chwilę swój śpiew, na środek dróżki wyskoczył wysoki człowiek, odziany w kozią skórę; schwyciwszy obu rękami za uzdę, powstrzymał szlachetnego wierzchowca Saracena i zaczął pchać go wtył tak silnie, że ten, nie mogąc znieść ucisku wędzidła i bolesnego munsztuka, który był zrobiony, wedle wschodniego zwyczaju, poprostu z żelaznego kółka, stanął dęba i wreszcie przewrócił się wtył na swojego pana; Saracen jednak uniknął niebezpieczeństwa, zsunąwszy się na bok.

Wówczas napastnik puścił konia, aby, schwyciwszy za gardło jeźdźca, nie pozwolić mu wstać. Pomimo młodzieńczych sił i zręczności Saracena, napastnik przytrzymał go na ziemi, schwyciwszy długiemi rękami za ramiona. Jeniec wołał napoły z gniewem, napoły ze śmiechem:

— Hamako, szaleńcze, puść mnie, pozwalasz sobie już zbyt wiele, puść mnie, bo cię zranię sztyletem!

— Utrzymaj sztylet w garści, jeśli zdołasz, ty niewierny psie — zawołał napastnik w koźlej skórze i, wyrwawszy Saracenowi broń z ręki, podniósł ją ponad głowę.

— Ratuj mnie, Nazareńczyku — zawołał Szerkof, te-

raz już rzeczywiście wystraszony — ratuj mnie, Hamako chce mnie zamordować!

— Istotnie zasłużyłeś na to — odparł mieszkaniec pustyni — za bluźniercze hymny, które śpiewałeś, nietylko na cześć fałszywego proroka, bezecnego zwiastuna zła, ale i na chwałę samego szatana!

— Ktokolwiek jesteś — rzekł wówczas chrześcijański rycerz — i, choć nie wiem, czy działasz w złej czy dobrej wierze, wiedz, żem przysiągł być w czasie tej podróży wiernym towarzyszem tego Saracena, którego powaliłeś na ziemię, dlatego proszę cię, pozwól mu powstać, gdyż inaczej zmuszony będę walczyć z tobą w jego obronie.

— Piękna byłaby to walka — odparł Hamako — Krzyżowiec, walczący w obronie pogańskiego psa z wyznawcą prawdziwej wiary. Czyś przybył na puszczę, żeby walczyć z półksiężycem przeciw krzyżowi? Zaiste, zacny to rycerz Boga prawdziwego, który przysłuchuje się pieśniom śpiewanym na chwałę szatana.

Ale mówiąc to, powstał sam i, pozwoliwszy podnieść się Saracenowi, oddał mu sztylet, mówiąc:

— Widzisz, do jakiej zguby doprowadziła cię twoja zarozumiałość i jakiemi słabemi środkami, jeśli jest taka wola niebios, twoje doświadczenie i wychwalana zręczność mogą być pokonane. Lecz strzeż się, Ilderimie, bo gdyby nie pewien blask w twej gwieździe, który wskazuje, iż we właściwym czasie i ty doczekasz się łaski boskiej, nie byłbym cię wypuścił z moich uścisków, nie rozdarłszy ci gardła, które przed chwilą wyśpiewywało takie bluźnierstwa.

— Hamako — rzekł na to Saracen — szanuję tych, których Bóg pozbawił pospolitego rozumu, aby ich natchnąć duchem proroctwa, lecz skup cały swój rozsądek i pojmij, że jeżeli jeszcze użyjesz kiedykolwiek przemocy przeciw mnie, zdejmę ci twój kudłaty łeb z chudych ramion. A tobie, mój przyjacielu — dodał, zwracając się do Kennetha i dosiadając wierzchowca — wyznam, że w towarzyszu po-

dróży bardziej cenię przyjacielskie przysługi od próżnych słów.

— Na mój honor, Saracenie — odparł chrześcijanin — jeśli chcesz wiedzieć szczerą prawdę, myślałem, że ta dziwna postać to djabeł, a słysząc o twojem z nim pokrewieństwie, sądziłem, że tarzając się po piasku, powierzacie sobie rodzinne tajemnice.

— Twoje żarty nie są dostatecznem wytłumaczeniem — rzekł mu na to Saracen — gdyby mój napastnik był nawet księciem ciemności, obowiązany byłeś stanąć z nim do walki w obronie swego towarzysza. Jakakolwiek ta napaść była, szaleńcza czy wroga, wiedz o tem, że Hamako bliższy jest tobie, niżli mnie, gdyż on to jest właśnie tym anachoretą*, którego przybyłeś odwiedzić.

— On? — zawołał sir Kenneth, spoglądając na atletyczną, choć wyniszczoną postać, stojącą przed nim. — On? Żartujesz sobie ze mnie, to nie może być czcigodny Teodoryk! To szaleniec!

— I właśnie święty — odparł mahometanin, gdyż wedle znanego wierzenia wschodniego szaleńcy uważani są za natchnionych przez Boga.

Głos Saracena został zagłuszony w tej chwili przez pustelnika, który zaczął wołać śpiewnym tonem:

— Jam jest Teodoryk z Engaddi*, jam jest pochodnią pustyni, jam jest biczem niewiernych! Lew i lampart są moimi towarzyszami; gdy w nocy schronią się do mej celi, nawet koza nie obawia się ich pazurów! Jam jest pochodnią i światłem! *Kyrie eleison!*

Gdy skończył śpiewać, pobiegł naprzód i podskoczył trzykrotnie. Szkocki rycerz był tem wszystkiem zmieszany i zdumiony.

Saracen zdawał się rozumieć pustelnika.

— Widzisz — rzekł do rycerza — on przypuszcza, że pójdziemy za nim do jego pustelni, która istotnie jest dla nas na tę noc jedynem możliwem schronieniem. Nazwał cię

lampartem z powodu podobizny tego zwierzęcia, jaka jest na twej tarczy, mnie zaś lwem dla mego imienia, a siebie nazwał kozą, gdyż jest przybrany w skórę koźlą. Musimy się go trzymać zbliska, gdyż jest rączy, jak dromader.

Istotnie, trudne to było zadanie, gdyż pustelnik wiódł rycerzy poprzez przepaście i ścieżki, gdzie niebezpieczeństwo groziło nawet lekko uzbrojonemu Saracenowi na znakomicie ujeżdżonym berberyjskim wierzchowcu. Zakuty w żelazo Europejczyk i jego obciążony wierzchowiec znaleźli się w takich opałach, że rycerz stokroć wolał niebezpieczną bitwę. Zadowolony był, gdy wreszcie po tej szalonej jeździe dogonił świętego męża, który stał przed jaskinią, trzymając w ręku pochodnię, zrobioną z kawałka drzewa, umaczanego w smole ziemnej. Pochodnia ta rzucała jasne i migocące światło, wydając silny zapach siarki.

Niezrażony duszącym dymem, rycerz zsiadł z konia i wszedł do jaskini. Była ona podzielona na dwie części i zdawała się być pozbawioną wszelkich wygód. Pustelnik był zajęty przygotowaniem wewnętrznej części swego mieszkania na przyjęcie gości, którzy wkrótce za nim tam podążyli.

Stół i dwa krzesła zdradzały swojemi kształtami, różnemi zupełnie od sprzętów, wyrabianych na wschodzie, że były własnoręcznem dziełem pustelnika. Na stole stały nietylko jarzyny, ale także i suszone mięso, które Teodoryk starannie ułożył, żeby pobudzić apetyt swych gości. Ruchy pustelnika stały się teraz spokojne. Chodząc po jaskini, robił wrażenie człowieka, który był przeznaczony do rozkazywania, lecz porzucił swą władzę, aby zostać sługą Bożym.

Nawet Saracen spoglądał na anachoretę z pewnym szacunkiem i szepnął pocichu do sir Kennetha:

— Hamako jest w lepszem usposobieniu; lecz nic już nie powie, dopóki nie zjemy, gdyż tak ślubował.

Jakoż Teodoryk wskazał Szkotowi w milczeniu niskie krzesło, podczas gdy Szerkof podług zwyczaju narodowego

siadł na poduszce z mat. Pustelnik wówczas podniósł dłonie do góry, jakgdyby błogosławił posiłek, zastawiony przed gośćmi, którzy zaczęli go spożywać, milcząc tak, jak gospodarz.

Gdy skończyli jeść, pustelnik, który sam nie wziął do ust ani kawałka, sprzątnął resztki ze stołu i postawił przed mahometaninem dzban z napojem owocowym, a Szkotowi wskazał na flaszę wina.

— Pijcie, moje dzieci — rzekł, a były to pierwsze słowa, które wymówił — i cieszcie się z darów bożych, wspominając ich Stwórcę.

Wyrzekłszy to, usunął się do zewnętrznej części groty.

Wówczas sir Kenneth usiłował wybadać Szerkofa, co ten wiedział o pustelniku. Kierowała nim nietylko prosta ciekawość. Teodoryk, jako pustelnik z Engaddi, korespondował z papieżami i z soborami. Chrześcijański rycerz, mając mu do zakomunikowania ważne polecenia od przywódców krzyżowej wyprawy, a znalazłszy tego wielebnego i czczonego męża, zachowującego się, jak szalony fakir, odłożył na później wypełnienie swego posłannictwa.

Niewiele mógł się dowiedzieć od emira, a to, czego się dowiedział, da się streścić w następujących słowach: podobno, jak Szerkof słyszał, pustelnik był kiedyś odważnym i bitnym żołnierzem, dobrym do rady i szczęśliwym na polu walki; zjawił się w Jerozolimie jako jeden z pielgrzymów, którzy uczynili ślub, że do końca życia mieszkać będą w Świętej Ziemi. Był to człowiek tak uczony, że mógł godzinami całemi nauczać o cnocie lub rozumie. Czasem bywał dziki i gwałtowny, ale nigdy nie widział go tak rozwścieczonym, jak dziś. Sława jego rozniosła się daleko, nawet Saladyn wydał specjalne rozkazy, aby go oszczędzano i broniono. On sam i paru innych znaczniejszych mahometan parokrotnie odwiedzali jaskinię poczęści z ciekawości, a poczęści w nadziei, że ten uczony mąż odkryje im tajemnicę ich przyszłości.

Oto w głównych zarysach informacje emira Szerkofa.

Nie wyjaśniły one jednak sir Kennethowi, czy nienormalne objawy w postępowaniu pustelnika wypływały z chwilowego zbytku gorliwości, czy też wogóle były udane dla tem większej swobody działania. Zauważył, że było więcej zażyłości między pustelnikiem, a mahometaninem, niż wedle słów tego ostatniego można się było spodziewać; nie uszło też jego uwagi, że pustelnik nazwał Szerkofa innem imieniem, niż on sam sobie nadał.

— Ale, mój przyjacielu — rzekł — zdaje mi się, że wyobraźnia naszego gospodarza ponosi go także na polu imion. Twe imię jest Szerkof, a on ciebie nazwał zupełnie inaczej.

— Gdy mieszkałem jeszcze w namiocie mego ojca, nazywano mnie Ilderimem — odparł Saracen — i wielu dotychczas zna mnie pod tem imieniem. W polu i przez żołnierzy zwany jestem Lwem Górskim — to imię zdobył mi mój miecz. Lecz uciszmy się, Hamako się zbliża, aby nas nakłonić do spoczynku. Znam jego zwyczaj: wszyscy muszą spać, gdy on czuwa.

Istotnie anachoreta wszedł, stanął przed nimi i, skrzyżowawszy ramiona na piersiach, rzekł uroczystym głosem:

— Błogosławione niech będzie Imię Stworzyciela nocy, która następuje po pracowitym dniu, Stworzyciela spokojnego snu, który odświeża zmęczone członki i uspokaja wyczerpany umysł!

Obaj rycerze odpowiedzieli — Amen! — Poczem powstali z za stołu.

Gospodarz wskazał im ręką posłania i, skłoniwszy się każdemu z nich, wyszedł z celi.

Rycerze, nim legli na spoczynek, pomodlili się, a wkrótce potem spali głęboko, zmęczeni podróżą i znojem.

IV. CUD SKALNEJ KAPLICY.

Kenneth nie wiedział, jak długo jego zmysły pogrążone były w głębokim spoczynku, gdy otworzywszy oczy, ujrzał

stojącego nad sobą anachoretę z prawą ręką, przyciśniętą do piersi, a w lewej, trzymającego srebrną lampkę.

— Milcz — rzekł pustelnik do leżącego rycerza, który spoglądał na niego ze zdumieniem — chcę ci powiedzieć coś, czego nie powinien usłyszeć ten niewierny. Powstań — ciągnął dalej — zarzuć na siebie płaszcz i nie mów nic, tylko chodź za mną, stąpając, jak możesz najciszej.

Sir Kenneth wstał i przygotował się, aby pójść za swym tajemniczym gospodarzem.

Pustelnik ruszył powoli naprzód, a za nim szedł rycerz. Wysunęli się jak cienie do zewnętrznej celi, nie obudziwszy pogrążonego we śnie emira. Tam przed ołtarzem, na którym stał krzyż, paliła się jeszcze lampka, leżał otwarty mszał, a na podłodze spoczywała dyscyplina czyli pokutniczy bicz, zrobiony ze sznurów i drutów. Tu Teodoryk ukląkł i wskazał rycerzowi miejsce obok siebie na ostrych kamieniach. Szkocki rycerz z głębokiem wzruszeniem wziął udział w modłach, a gdy powstali z klęczek, stanął przed pustelnikiem pełen szacunku, jak uczeń przed uwielbianym mistrzem. Teodoryk stał obok niego przez chwil kilka w milczeniu, zatopiony w rozmyślaniach.

— Zajrzyj, mój synu, do tego schowka — rzekł, wskazując na dalszy kąt celi — znajdziesz tam zasłonę, którą tu przyniesiesz.

Rycerz przyniósł zasłonę anachorecie, który spojrzał na nią z głębokiem, acz stłumionem wzruszeniem i, westchnąwszy ciężko, rzekł do rycerza:

— Za chwilę ujrzysz największe skarby świata, jak mi powiadano, gdyż moje oczy niegodne są na nie spojrzeć. Niestety, jestem tylko marnym i wzgardzonym przewodnikiem, wskazującym zmęczonym podróżnikom przystań, w której mogą spocząć bezpiecznie, podczas gdy ja sam na wieki muszę pozostać za jej progiem.

Przerwał sobie na chwilę i, zwracając się do rycerza, rzekł pewniejszym już głosem:

— Wszak przynosisz mi pozdrowienie od Ryszarda angielskiego?

— Przybywam jako wysłannik rady chrześcijańskich książąt — odrzekł rycerz. — Król angielski jest chory, nie przywożę więc poleceń od niego.

— Czy masz jaki znak? — zapytał pustelnik.

Sir Kenneth zawahał się:

— Hasło moje brzmi: — rzekł wreszcie — „Królowie proszą żebraków o jałmużnę".

— Dobrze — odparł pustelnik, gdy rycerz przestał mówić — znam cię dobrze, lecz żołnierz na placówce, a moja jest bardzo ważna, nie ufa zarówno przyjaciołom jak wrogom.

Wówczas, niosąc wciąż w ręku lampę, ruszył znów naprzód, kierując się zpowrotem do celi, którą przed chwilą opuścili. Saracen leżał na swem posłaniu głęboko uśpiony. Pustelnik wstrzymał się obok jego tapczana i, spojrzawszy na niego, rzekł:

— Śpi, pogrążony w ciemnościach, i nie należy go budzić. Śpi w ciemnościach, lecz i dla niego nadejdzie godzina świtu. O Ilderimie, twe myśli na jawie są równie dzikie i puste, jak te, które w tej chwili wiodą swój zawrotny korowód w twej uśpionej głowie. Lecz rozlegnie się dźwięk trąb i zbudzi cię ze snu.

Mówiąc to, skinął na rycerza, aby wszedł za nim za ołtarz, tam za naciśnięciem sprężyny otworzyły się drzwiczki, umieszczone w ścianie jaskini, za temi drzwiami były wąskie schodki, wyciosane w skale.

— Weź tę zasłonę, którą mam w ręku — rzekł smutnym głosem pustelnik — i zawiąż mi oczy; gdyż zgrzeszyłbym, spojrzawszy na skarby, które za chwilę ujrzysz.

Nie odpowiedziawszy ani słowa, rycerz pośpiesznie zawiązał oczy pustelnikowi; poczem ten zaczął wstępować na schody, a za nim szedł rycerz. Zatrzymali się wreszcie w małej grocie o kształtach nieregularnych; w jednym ką-

cie były drzwi gotyckie, okute żelazem; ku nim pustelnik skierował swe chwiejne kroki.

— Zdejmij swe obuwie — rzekł do swego towarzysza — ziemia, po której stąpasz, jest święta.

Gdy rycerz zdjął swe obuwie, pustelnik kazał mu trzykrotnie zastukać do drzwi, które otworzyły się same. Wówczas rycerz uderzony został potokami jarzącego światła i mocnym, duszącym prawie zapachem wschodnich wonności.

Wszedłszy do groty, skąd płynęło to światło, ujrzał szereg srebrnych lamp, wypełnionych najczystszym olejem, wydającym ten silny zapach. Wisiały one na srebrnych łańcuchach ze sklepienia małej, gotyckiej kaplicy, wykutej w twardej skale, tak, jak całe to dziwne schronienie pustelnika.

W wyższej, wschodniej części kaplicy stał ołtarz, na którym bogata zasłona z perskiego jedwabiu, grubo zahaftowana złotem, zakrywała wnękę. Rycerz, zbliżywszy się do ołtarza, ukląkł przed nim i znów gorąco się pomodlił. Uwagę jego zajęła zasłona, która została odsunięta, za nią ukazała się wnęka, zawierająca skrzynię ze srebra i hebanu z podwójnemi drzwiami, zrobiona na podobieństwo minjaturowego gotyckiego kościoła.

Gdy wpatrywał się z niespokojną ciekawością w ołtarz, drzwi skrzyni otworzyły się także, odkrywając duży kawał drzewa z napisem „VERA CRUX“*, a jednocześnie chór kobiecy zaintonował „*Gloria Patri*“*. Gdy śpiew umilkł, drzwi od relikwiarza zamknęły się, a zasłona została zpowrotem zaciągnięta. Wówczas rycerz powstał i odważył się rozejrzeć za pustelnikiem; ujrzał go wciąż zakrytego zasłoną i leżącego na podłodze kaplicy, jak zbity pies. Szkocki rycerz pomyślał, że tylko pokuta, wyrzuty sumienia i pokora mogły powalić tak silne ciało i dumnego ducha.

Zbliżył się do niego, chcąc przemówić, lecz pustelnik z pod zasłony wyszeptał przytłumionym głosem:

— Poczekaj jeszcze, szczęśliwy człowieku, obrząd jeszcze nie skończony.

I wyczołgał się z kaplicy, drzwi za sobą zamknąwszy. Niepewny, co się stanie, lecz zdecydowany czekać na bieg wypadków, sir Kenneth chodził po pustej kaplicy, dopóki nie usłyszał dźwięku srebrnego dzwoneczka, rozlegającego się niewiadomo z której strony. Rycerz cofnął się jednak w najbardziej oddalony kąt kaplicy od ołtarza i oczekiwał na skutek tego niespodziewanego znaku.

Nie czekał długo, wkrótce jedwabna zasłona została ściągnięta i relikwja znów ukazała się jego oczom. Gdy ukląkł pobożnie, usłyszał chór głosów kobiecych, śpiewających jutrznię, wkrótce przekonał się, że głosy te zbliżały się do kaplicy i stawały się coraz głośniejsze. Wówczas otworzyły się drzwi po przeciwnej stronie groty i pozwoliły głosom popłynąć pod łukami sklepienia.

We drzwiach ukazała się procesja. Naprzód do kaplicy weszło parami czterech niezwykłej urody chłopców z odkrytemi ramionami, szyją i nogami, których bronzowa, wschodnia cera odbijała od śnieżno-białych tunik. Pierwsza para niosła kadzielnice, poruszając niemi w obie strony i zwiększając wonie, któremi kaplica była już przesiąknięta. Druga para rzucała kwiaty.

Za nimi kroczyło majestatycznie sześć niewiast; stanowiły one chór. Sądząc po czarnych szkaplerzach*, takich samych welonach i białych habitach, były to mniszki zakonu z góry Karmelu; niektóre z nich miały na głowie białe welony nowicjuszek. Rycerz zaskoczony był niespodziewanem ukazaniem się zakonnic, przesuwających się obok niego jak widma. Takie to zrobiło na nim wrażenie, że z trudnością mógł uwierzyć, iż procesję tę tworzyły śmiertelne istoty, a nie nadziemskie postacie, cześć oddające cząstce Krzyża Świętego. W zamglonem i mistycznem świetle lamp, przyćmionych chmurami dymu z kadzideł, zdawały się raczej płynąć, niż stąpać po ziemi.

Lecz gdy po raz wtóry, okrążając kaplicę, przechodziły obok klęczącego rycerza, jedna z dziewic w białym welo-

nie odczepiła pączek różany od różańca, który niosła w ręku, i upuściła go, może nieświadomie, do stóp sir Kennetha. Rycerz drgnął, lecz stłumił wzruszenie, zdając sobie sprawę, że mogło się to zdarzyć wypadkiem.

Pomimo to jednak, gdy procesja po raz trzeci okrążała kaplicę, myśli i oczy sir Kennetha dążyły wyłącznie za tą nowicjuszką, która upuściła pączek róży. Dreszcze przebiegały mu od serca aż do końca palców, gdyż spodziewał się drugiego znaku od tej, która, jak święcie wierzył, dała mu już pierwszy znak. Choć niedaleka była przestrzeń, którą procesja musiała przejść, aby po raz trzeci okrążyć kaplicę, chwila ta zdawała się rycerzowi wiekiem. Wreszcie postać, śledzona przez niego z taką uwagą, zbliżyła się i, gdy po raz trzeci przechodziła obok klęczącego Krzyżowca, z pod fałd welonu, jak promień księżyca poprzez wełniste chmurki w letnią noc, ukazała się mała i zgrabna rączka i znów pączek róży upadł do stóp rycerza Lamparta.

Ten powtórny znak nie mógł być przypadkowy, to nie był traf. Gdyby potrzebne były dalsze dowody, wystarczyłby blask owego niezrównanego rubinu w pierścieniu na śnieżno białym paluszku, którego bezmierną wartość Kenneth mniej cenił, niż najmniejszy ruch tego paluszka; pomimo welona zdołał także szczęśliwym trafem czy też za specjalną łaską dojrzeć ciemny promień włosów, którego każdy włosek był dla niego większym skarbem od złotych łańcuchów. Była to bowiem pani jego serca! Lecz wydawało mu się nieprawdopodobieństwem, żeby ona tu była w tej dzikiej i odosobnionej pustelni. Zaledwie ostatnia dziewica z chóru przestąpiła próg kaplicy, drzwi z hałasem zamknęły się za niemi; w tej samej chwili chór umilkł, światła w kaplicy pogasły, a sir Kenneth pozostał sam i w zupełnych ciemnościach. Lecz dla rycerza niczem była samotność, ciemności i niepewność jego tajemniczej sytuacji. Poszukał omackiem rzuconych mu pączków róż, przycisnął je do warg, do piersi — to jeden po drugim, to oba naraz; przy-

warł wargami do zimnych kamieni, po których jak przypuszczał, musiała stąpać jego pani, słowem, czynił wszelkie szaleństwa, do których pobudza i które usprawiedliwia miłość. Są to dowody silnego uczucia, powtarzające się przez wszystkie wieki, lecz szczególnie często zdarzały się one w czasach rycerstwa, kiedy to rycerz w najdzikszych nawet porywach zachwytu nie ośmielił się ani tropić, ani śledzić przedmiotu takiego romantycznego uczucia.

Romantyczność uczuć sir Kennetha wzmagały jeszcze szczególne okoliczności. Nie słyszał nigdy głosu swej ukochanej, choć często podziwiał jej piękność. Obracała się bowiem w środowisku, do którego jako rycerz mógł się zbliżyć, lecz do którego nie mógł należeć. Pomimo odznaczenia się czynami bohaterskiemi i wyprawami wojennemi ubogi rycerz szkocki mógł czcić swoje bóstwo tylko z oddalenia takiego prawie, jakie dzieli Persa od słońca, któremu oddaje cześć boską. Lecz czyż nie dozwoli duma kiedykolwiek kobiecie dojrzeć namiętnego przywiązania mężczyzny, choćby ten był niższego od niej stanu? W czasie turniejów oczy jej spoczywały na nim, w suchych jego raportach z codziennych potyczek dosłuchiwała się pochwał na swą cześć. A gdy hrabiowie, książęta, lordowie współubiegali się o jej łaski, obdarzała nią, może bezwiednie, ubogiego rycerza Lamparta, który dla podtrzymania swego stanowiska nie miał nic prawie prócz swego miecza.

Nie będziemy ukrywać prawdy przed czytelnikami. Gdy Edyta zdała sobie sprawę ze swych uczuć, choć urodzeniem swem stała blisko tronu angielskiego, choć dumę jej bezustannie podsycała cześć, oddawana jej w milczeniu przez rycerza, wyróżnionego przez nią, jednak chwilami uczucia kobiety kochającej i kochanej buntowały się przeciw tym więzom stanu i form towarzyskich; czasem winiła nawet nieśmiałość swego ukochanego, który nie starał się ich zerwać. Bezwiednie kiełkowała w niej myśl, że ona pierwsza musi się odważyć wysunąć chociażby sam koniuszczek swej

maleńkiej nóżki poza tę granicę; nie miała jednak nadziei, żeby rycerz, taki skromny i nieśmiały, dał jej sposobność wyświadczenia sobie najdrobniejszej łaski. Edyta, choć płynęła w jej żyłach krew panujących, nie była córą królewską; rycerz Lamparta zaś nie był niskiego pochodzenia, los więc nie postawił ich uczuciom przeszkody nie do przebycia. Jednak coś w sercu dziewczęcia, nie wspominając już o wyższości jej stanu, wzbraniało jej uczynić pierwsze kroki, które delikatność sama wskazuje, że powinien uczynić mężczyzna.

Musiała się jednak zdradzić, pomimo, że się miała na baczności, jakiemś lekkiem wyróżnieniem, gdyż sir Kenneth nie byłby z taką łatwością i bez najmniejszego wahania poznał jej cudnej ręki i nie byłby tak pewny, że dwa te kwiatki, upuszczone mu do stóp, były znakiem, danym mu przez jego panią serca. Lecz jakiemi drogami, jakiemi tajemniczemi znakami i spojrzeniami, czy ruchami, jakim instynktem miłości doszło do takiego porozumienia między Edytą, a jej ukochanym, nie pokuszę się opisać, gdyż jestem stary, a takie słabe oznaki uczucia, łatwo zwracające na siebie uwagę młodych oczu, wymykają się moim. Powiem tylko, że uczucie takie istniało między dwojgiem ludzi, którzy nigdy ze sobą nie zamienili ani jednego słowa.

V. ZAGADKOWA PARA KARŁÓW.

Po upływie godziny w sklepionej kaplicy rozległo się przenikliwe gwizdanie, podobne do tego, jakiem sokolnicy wzywają swe sokoły do powrotu. Przypomniało to sir Kennethowi, że powinien się mieć na baczności. Zerwał się z kolan i położył rękę na sztylecie. Usłyszał wówczas skrzypiący odgłos, jakgdyby śruby lub windy; promień, który nagle padł zdołu, zdradził otwierające się w podłodze drzwi. W chwilę potem chude ramię, częściowo tylko zakryte rękawem z czerwonego aksamitu, ukazało się w otworze, trzymając wysoko wzniesioną lampę, a za niem powoli

wychyliła się cała postać. Był to okropny karzeł z wielką głową, ubrany w kołpak z trzema pawiemi piórami i w czerwoną aksamitną szatę; bogactwo tego stroju jeszcze uwydatniało brzydotę karła. Pomimo swej nieproporcjonalnej postaci silny był i zręczny.

Gwizdnął po raz wtóry, zdołu wzywając towarzysza. I znów z podziemi wychyliła się kobieca postać, zupełnie z kształtów i wzrostu podobna do pierwszej. W ręku też trzymała lampę. Suknia jej była również z czerwonego aksamitu o fantastycznym kroju i ozdobiona dziwacznemi falbanami.

Sir Kenneth patrzył na nich jak urzeczony, podczas gdy ta wstrętna para posuwała się wokoło kaplicy, zamiatając podłogę, jak czynią zwykłe sługi. Gdy w czasie tego zbliżyli się do rycerza, przestali na chwilę zamiatać, stanęli obok siebie, a naprzeciw sir Kennetha i, zwróciwszy światło obu lamp wprost na niego, roześmieli się głośnym, skrzeczącym śmiechem, który zabrzmiał mu w uszach tak przeraźliwie, że aż się wstrząsnął i szybko zapytał, kim są i jak się ośmielają bezcześcić święte miejsce błazeńskiem zachowaniem się i niewczesnym śmiechem.

— Jam jest karzeł Nektabanus — rzekł mały człowieczek skrzeczącym głosem.

— A ja jestem Ginewra, pani jego serca — dodała karlica.

— Skąd wzięliście się tutaj — zapytał znów rycerz, nie wierząc, że ma przed sobą ludzkie istoty.

— Jam jest — odparł karzeł z powagą i godnością — Mohammed Mohadi, przewodnik i kierownik wiernych, a to jest jedna z mych hurysek.

— Kłamiesz — przerwała mu jego towarzyszka, głosem bardziej jeszcze niż jego przenikliwym. — Nie jestem twą huryską.

— Ale bez żartów, szlachetny panie, jesteśmy prześladowanymi książętami, którzy się ukryli pod opiekuńcze skrzydła króla jerozolimskiego, Gwidona*.

— Zamilczcie — rozległ się nagle głos od strony, z której przyszedł rycerz — zamilczcie, błazny, i wynoście się precz! Wasza służba skończona.

Karły, usłyszawszy rozkaz, zaszwargotały do siebie przeraźliwym szeptem i, zgasiwszy światła, pozostawiły rycerza w zupełnych ciemnościach.

W parę chwil potem wyszli, otworzywszy zwolna drzwi i pozostawiwszy je otwarte. Na progu błyszczało słabe światło latarni, której wątły i chwiejny blask ukazał rycerzowi postać, opartą o drzwi poza obrębem kaplicy. Zbliżywszy się, poznał w niej pustelnika.

— Wszystko już skończone — rzekł pustelnik, usłyszawszy zbliżającego się rycerza. — Weź światło i sprowadź mnie ze schodów, gdyż nie mogę odsłonić oczu, dopóki nie znajdę się w pewnej odległości od tego świętego miejsca.

Szkocki rycerz poprowadził pustelnika przez tajemne przejścia i schody, któremi poprzednio wchodzili. Wreszcie znaleźli się w zewnętrznej celi groty pustelnika.

— Skazaniec powrócił do swego więzienia; wyrok odwleka się z dnia na dzień, aż wreszcie straszny sędzia wyda rozkaz wykonania kary.

Mówiąc te słowa, pustelnik odłożył zasłonę, którą zdjął z oczu, i dodał szybko a posępnie:

— Idź już, idź na spoczynek! Powinieneś i możesz spać; a ja nie mogę i nie powinienem zasnąć.

Szanując wzburzenie, z jakiem te słowa były wypowiedziane, rycerz cofnął się do wewnętrznej celi, lecz nim opuścił pierwszą grotę, rzucił za siebie spojrzenie i ujrzał, jak pustelnik gorączkowo zdzierał z ramion wytarty swój płaszcz. Nim Kenneth zamknął cienkie drzwi, oddzielające obie części jaskini, usłyszał uderzenia dyscypliny i jęki pokutnika pod własnemi razami.

Gdy się zbudził rano, odbył z pustelnikiem tajemną naradę nad ważnemi sprawami i na skutek tego postanowił pozostać dwa dni dłużej w jaskini.

VI. RYSZARD LWIE SERCE.

Musimy się przerzucić z dzikiej pustyni nad Jordanem do obozu angielskiego, położonego wówczas między Jean d'Acre* (Żandakr), a Ascalon* (Askalą). W obozie tym znajdowały się zastępy Krzyżowców, na których czele Ryszard Lwie Serce obiecywał sobie wjazd triumfalny do Jerozolimy, gdyby mu nie była stanęła na przeszkodzie zazdrość chrześcijańskich książąt, biorących udział w tej wyprawie.

Szeregi Krzyżowców codziennie malały, nietylko z powodu ucieczki poszczególnych wojowników, ale całe oddziałki z feudalnymi panami na czele usuwały się od walki. Klimat okazał się również fatalny w swych skutkach dla żołnierzy z północy, a do tych zniechęcających strat należy jeszcze dodać miecz nieprzyjaciela.

Saladyn, najsławniejszy wódz z historji Wschodu, doświadczył dotkliwie na swych lekko uzbrojonych wojownikach, że nie byli zdolni stawić czoła zakutym w żelazo Frankom. Ale choć zastępy jego nieraz bywały rozbite i zdziesiątkowane, w małych jednak utarczkach, które były nieuniknione, Saracenom dawała wielka ich mnogość przewagę nad chrześcijanami.

W miarę, jak wojska najezdników malały, wycieczki sułtana przeciw nim stawały się coraz częstsze i coraz śmielsze. Obóz Krzyżowców był otoczony, omal nie oblężony przez chmary lekkiej jazdy, która, jak roje os, zdawała się być obdarzona skrzydłami, tak potrafiła unikać spotkania z liczniejszym nieprzyjacielem, a ku swej obronie miała żądła strzał. Zdarzały się ciągłe napaści na poczty i furaż, podczas których niejeden godny rycerz stracił życie: konwoje bywały zatrzymywane, a komunikacja przerywana.

Stanowczy i czynny król Ryszard umiał zapobiegać tym klęskom. Lecz nawet żelazne zdrowie króla Ryszarda nie mogło wytrzymać szkodliwego klimatu w połączeniu z ciągłym wysiłkiem umysłowym i fizycznym. Trapiła go jedna

z tych powolnie wyczerpujących gorączek azjatyckich i pomimo wielkich sił stał się najprzód niezdolnym dosiąść rumaka, a potem nawet brać udziału w radzie wojennej, na którą od czasu do czasu zbierali się Krzyżowcy. Trudno powiedzieć, czy ten stan przymusowej bezczynności stał się znośniejszym, czy też raczej bardziej mu dokuczał od chwili, gdy rada wojenna postanowiła zawrzeć z sułtanem Saladynem trzydziestodniowe zawieszenie broni.

Ryszarda gniewała bezczynność, która zapanowała w obozie od chwili, gdy choroba jego wzięła poważny obrót, gniewały go też wieści, znoszone mu przez niechętne sługi.

Król angielski na te wieści miotał się jak lew w klatce, który widzi swą zdobycz poprzez żelazne kraty. Tylko wierny baron Tomasz de Vaux (Wo), bezmiernie przywiązany do króla (może z powodu podobieństwa charakterów), miewał odwagę stanąć w obliczu jego gniewu i ze spokojem, lecz stanowczo, roztaczał opiekę nad chorym.

Sir Tomasz był panem na Gilslandzie w hrabstwie Cumberland (Kombirlend). W owych czasach przydomki i nazwiska nie były przywiązane do poszczególnych osób jak dziś, Normanowie* nazywali go więc lordem de Vaux, a Saksończycy*, dumni, że krew saksońska płynie w żyłach sławnego rycerza, nazywali go w języku angielskim, który był jego językiem ojczystym, Tomaszem lub bardziej poufale Tomem z Gills lub Narrow Valleys (Narau Walejs); nazwę tę nosiły jego rozległe dobra.

Odznaczał się nietylko jako wódz, lecz znana była także jego osobista odwaga. Z drugiej strony był to szorstki żołnierz, nieokrzesany i zaniedbany, w towarzystwie milczący, prawie ponury, daleki od wszelkiej przebiegłości i dworactwa.

Dzień się miał ku końcowi; Ryszard, leżąc na swem łożu boleści, przeklinał w myśli chorobę, która go do niego przykuwała. Przewracał się z boku na bok, to przyciągając ku sobie kołdrę, to znów po chwili odrzucając ją. Po ru-

chach łatwo można było odgadnąć, jaką męką była ta bezczynność dla jego czynnej natury.

Obok królewskiego łoża stał Tomasz de Vaux, którego postawa i ruchy stanowiły wyraźny kontrast z postacią króla. Był ogromnego wzrostu, a włosy jego podobne były do kędziorów Samsona, ale obciętych już przez Filistynów, gdyż de Vaux strzygł swoje włosy krótko, aby móc je zmieścić pod hełmem. Ciało jego zdawało się urągać ze zmęczenia i upałów: był wąski w biodrach, szeroki w barach, pierś miał wypukłą, długie ręce i silne nogi. Baron zrzadka zmieniał swoją postawę, chyba tylko na to, ażeby podać Ryszardowi lekarstwo lub napój orzeźwiający, na które żaden z jego najbardziej ulubionych sług nie mógł namówić niecierpliwego monarchę.

Namiot, w którym się znajdowali, jak przystało na owe czasy i zgodnie z usposobieniem Ryszarda, urządzony był z prostotą rycerską, bez wspaniałości monarszej. Skóry dzikich zwierząt, zabitych na łowach, leżały na ziemi lub pod ścianami namiotu, a na nich spoczywały trzy białe jak śnieg, ogromne ogary, jak wówczas zwano psy gończe.

W wewnętrznej części namiotu stało dwóch czy trzech oficerów, należących do królewskiego dworu, zgnębionych i niespokojnych o zdrowie króla i o swą własną przyszłość w razie jego śmierci.

— Czyż nie mogłeś mi przynieść lepszych wiadomości, sir Tomaszu? — zapytał król. — Rycerze nasi zamienili się w niewiasty, a niewiasty w dewotki.

— Rozejm wzbrania nam czynów rycerskich — rzekł de Vaux — a nasze piękne damy udały się z królową i księżniczkami z pobożną pielgrzymką do klasztoru w Engaddi, aby dotrzymać ślubu, uczynionego na intencję powrotu do zdrowia Waszej Królewskiej Mości.

— Matrony i dziewczęta nie powinny były z takiego powodu narażać swego życia — rzekł Ryszard.

— Saladyn — odparł de Vaux — zapewnił im bezpieczeństwo swem słowem.

— Tak jest, istotnie, zapomniałem — zawołał Ryszard — byłem niesprawiedliwy względem sułtana; winienem mu to wynagrodzić. Dałby Bóg, żebym mógł na tyle odzyskać zdrowie, abym to uczynił w obliczu całego rycerstwa chrześcijańskiego i pogańskiego.

De Vaux, w swym charakterze pielęgniarki, nakłonił króla do położenia się zpowrotem na łożu i nakrył muskularne jego ramiona, szyję i barki z troskliwością matki niecierpliwego dziecięcia.

— Jesteś, de Vaux, surową, choć dbałą o zdrowie niańką — rzekł król, śmiejąc się gorzko. — Taką niańką i takiem dziecięciem, jak my, możnaby straszyć dziewczęta.

— Straszyliśmy w swoim czasie rycerzy, Miłościwy Panie — odparł de Vaux — i myślę, że, jeśli Bóg da, będziemy ich jeszcze straszyć. Cóż znaczy gorączka? Należy ją tylko znosić cierpliwie, łatwiej się jej wtedy pozbędziemy.

— Tak! — zawołał popędliwie Ryszard. — Mnie obezwładniła gorączka, lecz co się stało książętom chrześcijańskim, że nie dotrzymują najświętszego dla rycerzy przyrzeczenia, że zobojętnieli na swoją sławę i zapomnieli o Bogu!

— Na miłość boską — rzekł de Vaux — niech Wasza Królewska Mość się pohamuje. Choroba Waszej Miłości jest źródłem bezczynnego życia naszego rycerstwa.

— Pochlebiasz mi, de Vaux — rzekł Ryszard — lecz czemu książęta nie zbiorą się, aby wybrać jednego z pośród siebie, któremuby poruczyli dowództwo nad wojskiem?

— Za pozwoleniem Waszej Królewskiej Mości — odrzekł de Vaux — słyszałem, że na radach książęta mówili już o tem.

— Ha! Kto? — zawołał Ryszard. — Czyż już moi sojusznicy zapomnieli o mnie? Czy też myślą, żem już umarł? I kogoż wybrali na wodza chrześcijańskich wojsk?

— Stanowisko i godność wskazuje na króla Francji — odparł de Vaux.

— Tak! Jednej tylko rzeczy się obawiam, żeby nie pomieszał słów *„En arrière“** (an arjer) z *„En avant“** (an awan), i przez pomyłkę nie poprowadził nas zpowrotem do Paryża zamiast do Jerozolimy.

— Może wybiorą arcyksięcia austrjackiego? — rzekł de Vaux.

— Czemu? Czy dlatego, że jest taki wielki i tęgi, jak ty, Tomaszu, i prawie równie tępego dowcipu, tylko że nie dorównywa ci odwagą?

— Jest także wielki mistrz Templarjuszów* — ciągnął dalej baron, zadowolony, że może oderwać umysł króla od myśli o chorobie. — Co Wasza Królewska Mość sądzi o wielkim mistrzu jako o wodzu Krzyżowców?

— Ha! Beau-Seant* (Bo Seant) — odrzekł król. — Brat Giles Amaury* (Żil Amori) umie obmyślić plan bitwy i później walczyć w niej dzielnie, lecz jest bałwochwalcą, czarnoksiężnikiem, oddaje cześć djabłu.

— Wielki mistrz zakonu Joannitów nie jest podejrzany ani o herezję, ani o czarną magję — rzekł de Vaux.

— Lecz to brudny sknera — odparł Ryszard pośpiesznie. — Lepiej już oddać armję kupcom weneckim i lombardzkim kramarzom, niż powierzać ją wielkiemu mistrzowi Joannitów.

— W takim razie zaproponuję jeszcze kogo innego — rzekł baron. — Coby Wasza Królewska Mość powiedział na margrabiego na Montserrat (Mąsera), taki jest rozumny, obyty, taki z niego dzielny rycerz?

— Rozumny! Powiedz raczej przebiegły — odparł Ryszard. — To rycerz? Dobrze wygląda na koniu, nie przeczę, i dzielnie się spisuje, ale na turnieju! Zdaje mi się, że byłeś wówczas ze mną, gdym zaproponował temu fircykowatemu margrabiemu: „Jest nas tu trzech chrześcijańskich rycerzy, a na tem oto błoniu hasa sobie kopa

Saracenów, możebyśmy tak znienacka napadli na nich? Na każdego z nas wypadnie zaledwie po dwudziestu pogan.

— Pamiętam odpowiedź margrabiego — dodał de Vaux. — Powiedział, że jest z mięsa, a nie z żelaza i że woli mieć w piersiach serce człowieka, niźli zwierza, choćby tym zwierzem był lew. Lecz wiem, jaki będzie koniec tych narad: skończymy tak, jakeśmy zaczęli. Straciłem nadzieję pomodlenia się u Świętego Grobu, dopóki Bóg nie wróci zdrowia królowi Ryszardowi!

Słysząc te słowa, wypowiedziane poważnym tonem, Ryszard wybuchnął tak serdecznym śmiechem, jakiego oddawna w ustach jego nikt nie słyszał.

— Jeśli kto czego chce, to tego dokona! Nawet ten tępy, północny rycerz potrafił wyspowiadać swego pana! Lecz, słuchaj! Co to za trąby słychać woddali?

— Zdaje się, że to trębacze króla Filipa — rzekł de Vaux.

— Ogłuchłeś, Tomaszu — odparł król, usiłując powstać. — Czyż nie słyszysz brzęku i szczęku? Na Boga, to Turcy w obozie. Poznaję ich *lelie**.

Znów spróbował powstać, aż de Vaux zmuszony był użyć siły i wezwać na pomoc dworzan z zewnętrznej części namiotu, aby go powstrzymać.

— Jesteś zdrajcą, de Vaux — rzekł nierozsądny monarcha, gdy pod przeważającemi siłami musiał położyć się spokojnie na łożu. — Chciałbym być dość silny, aby ci roztrzaskać głowę czekanem.

— I jabym tego pragnął, gdyż byłby to dowód, żeś odzyskał siły, Miłościwy Panie.

— Mój dobry, wierny sługo — rzekł Ryszard, wyciągając dłoń, którą baron ze czcią ucałował — przebacz swemu panu jego niecierpliwość. Lecz idź, błagam cię i przynieś mi wiadomości, co za cudzoziemcy przybyli do obozu?

De Vaux opuścił namiot, aby wypełnić rozkaz króla, polecając dworzanom, paziom i świcie mieć pilne na niego baczenie.

VII. MAURYTAŃSKI LEKARZ.

Znaczna liczba Szkotów przyłączyła się do Krzyżowców i oddała się pod rozkazy króla angielskiego; byli oni tak, jak i angielscy rycerze, pochodzenia saskiego i normandzkiego, mówili temi samemi narzeczami, niektórzy z nich posiadali majętności w Anglji i w Szkocji, a wielu było spokrewnionych przez małżeństwa z rycerstwem angielskiem. Lecz z powodu choroby króla i niepomyślnych okoliczności, w jakich znajdowali się Krzyżowcy, niesnaski narodowe rozwinęły się wśród różnorodnych oddziałów, z jakich składała się armja chrześcijańska.

Szkoci i Anglicy, zazdrośni o siebie, przytem mężni i drażliwi (Anglicy, jako uboższy i słabszy naród byli może jeszcze bardziej drażliwi), wszczęli między sobą wewnętrzne niesnaski, korzystając z rozejmu, który zabraniał im wywierać wspólnej zemsty na Saracenach. Jak w starożytności rzymscy wodzowie, tak teraz Szkoci nie uznawali niczyjej wyższości, a ich południowi sąsiedzi nie znosili nikogo równego sobie.

Ze wszystkich rycerzy, którzy podążyli za królem do Palestyny, de Vaux był najbardziej uprzedzony do Szkotów. Byli jego bliskimi sąsiadami, z którymi wiódł nieustannie wojnę tak w prywatnem, jak i w publicznem życiu. Nieraz dobrze im dopiekł, ale i oni oddawali mu pięknem za nadobne. De Vaux z zazdrością i niezadowoleniem śledził najmniejszy objaw uprzejmości czy łaski, jaką król obdarzał przedstawicieli tej kłamliwej i okrutnej narodowości. Należy dodać, że on sam był szorstki i szczery, tak jak wszyscy Anglicy, i nie umiał ukrywać odruchów przyjaźni, czy też nienawiści. Uważał więc grzeczność Szkotów za dowód chytrze i przebiegle ukrywanych złych zamiarów przeciw sąsiadom, z którymi nic nie mogli wskórać samą tylko odwagą.

Choć de Vaux nie zmienił swych poglądów na Szkotów, jednak pomny na przysięgę Krzyżowca, im tylko okazywał

swą niechęć przez unikanie ich towarzystwa, a przy spotkaniu przez ponure milczenie i pogardliwe spojrzenia. Wzgarda, jaką otaczał szkockich baronów, nie przeszła niepostrzeżenie; uważany był za zdecydowanego i czynnego nieprzyjaciela Szkotów, których w rzeczywistości tylko nie lubił i do pewnego stopnia lekceważył.

Zaledwie Tomasz de Vaux uszedł parę kroków od królewskiego namiotu, gdy ujrzał prawie w samym środku obozu tłumy bezczynnych żołnierzy, otaczających kołem miejsce, skąd dochodziła muzyka; pośród hełmów najrozmaitszych kształtów, jakie nosili Krzyżowcy różnych narodowości, dostrzegł z największem zdumieniem białe turbany i długie piki, wskazujące na obecność zbrojnych Saracenów.

Zdziwiony i niezadowolony z tego niespodziewanego i dziwnego widoku, baron niecierpliwie rozejrzał się wokoło za kimś, ktoby mu objaśnił przyczynę tego niepokojącego zdarzenia.

Napotkawszy rycerza, w którym od pierwszego rzutu oka poznał Szkota, mruknął do siebie:

— To rycerz Lamparta. Widziałem, jak walczył niezwykle dzielnie.

Północny rycerz, przybliżywszy się do niego, rzekł uprzejmie:

— Mam do Waszej Miłości polecenie.

— Ha? — zapytał de Vaux. — Do mnie? Mów śpiesznie, proszę cię, gdyż jestem na służbie królewskiej.

— Moje polecenie dotyczy właściwie króla Ryszarda — odrzekł sir Kenneth. — Przynoszę mu zdrowie.

Tomasz de Vaux odparł mu na to:

— O ile wiem, nie jesteś medykiem, panie Szkocie.

Sir Kenneth odpowiedział na to ze spokojem:

— Od zdrowia Ryszarda zależy sława i powodzenie chrześcijańskiego oręża. Lecz każda chwila jest droga. Czy mogę zobaczyć się z królem?

— Nie, to nie jest możliwe, dopóki nie będę wiedział wyraźnie, jakie jest to polecenie — odparł mu baron.

— Mój panie — rzekł wówczas Kenneth — przywiozłem ze sobą maurytańskiego lekarza, który podejmuje się wyleczyć króla Ryszarda.

— A któż zaręczy — zapytał de Vaux — że nie przywiózł ze sobą trucizny zamiast leków?

— Odpowiada własnem swem życiem i głową.

— Znałem wielu odważnych łotrów, którzy mało cenili swoje życie, dobrze wiedząc, jak niewiele jest warte.

— Lecz tego lekarza przysyła Saladyn — zauważył Szkot — z życzeniem, jakie wyrazić może tylko szlachetny nieprzyjaciel; pragnie bowiem, aby Ryszard wyleczył się z gorączki, gdyż wówczas będzie mógł przyjąć odwiedziny Saladyna, przybywającego z obnażonym mieczem w ręku na czele stutysięcznego wojska.

— Niesłychane! — zawołał de Vaux, jakby mówiąc do siebie. — A któż odpowiada za honor Saladyna, jeśli ten zechce pozbyć się w ten sposób swego najpotężniejszego przeciwnika?

— Ja sam odpowiadam za niego moim honorem, życiem i majątkiem.

— Bardzo to wszystko dziwne! — wyrzekł wreszcie de Vaux. — Północ zaręcza za południe, Szkot ręczy za Turka. Czy mogę cię zapytać, panie rycerzu, jakim sposobem zostałeś wmieszany w tę sprawę?

— Udałem się w pielgrzymkę — odparł sir Kenneth — a po drodze miałem zawieźć pewne polecenia świętemu pustelnikowi z Engaddi.

— Czy nie mógłbym się dowiedzieć, jaka była treść tego polecenia i co ten święty mąż na nie odpowiedział?

— Nie mogę tego wyjawić — odparł Szkot. — Byłem wysłany przez naczelną radę królów, książąt i najwyższych wodzów Krzyżowców i im tylko zdam sprawę z mego posłannictwa.

— Tak powiadasz? — odparł mu na to dumnie baron de Vaux. — Ale wiedz, że chociażbyś był wysłannikiem książąt i królów, żaden lekarz nie zbliży się do łoża królewskiego bez mojego, pana na Gilslandzie, pozwolenia.

Chciał odejść, ale Szkot, przystąpiwszy do niego bliżej, zapytał go spokojnym, lecz dumnym głosem:

— Czy lord na Gilslandzie wie, z kim ma do czynienia?

— Grzechem byłoby wątpić w twą odwagę, panie rycerzu, gdy ktoś widział, jak sumiennie i odważnie wypełniałeś swój obowiązek — odparł Tomasz de Vaux.

— Przysięgam więc na Święty Krzyż, którego znak noszę na płaszczu — mówił szkocki rycerz — że pragnę tylko dobra Ryszarda Lwie Serce, polecając mu usługi maurytańskiego lekarza.

Anglika uderzyły te błagalne słowa, więc odparł:

— Powiedz mi, rycerzu Lamparta, czyż mogę w kraju, gdzie sztuka przyrządzania trucizn jest równie rozpowszechniona, jak sztuka kucharska, dopuścić nieznanego lekarza do łoża króla, którego zdrowie jest tak cenne dla całego świata chrześcijańskiego?

— Mój giermek w ostatnich czasach zachorował niebezpiecznie na tę samą gorączkę, która powaliła króla Ryszarda. Ten lekarz maurytański, El Hakim*, przed dwiema godzinami dał mu jakieś leki, po których giermek zapadł w ożywczy sen. Nie wątpię, że może wyleczyć Ryszarda z tej nieszczęsnej choroby, a odpowiadają za niego listy polecające Saladyna, który jest szczery i uczciwy.

Po chwili milczenia Anglik wreszcie spojrzał na niego i zapytał:

— Czy mogę pójść zobaczyć tego chorego giermka?

— Z chęcią ci go pokażę, mój panie — odparł szkocki rycerz i dodał, dumnie podkreślając te słowa: — Biednie mieszkam.

I poprowadził go, acz niechętnie do swego czasowego pomieszczenia.

— Hańba rycerzom Krzyża, — rzekł de Vaux — którzy, dążąc na podbój Świętego Miasta, myślą o doczesnych dostatkach i wygodach.

Tymczasem doszli do tego miejsca w obozie, gdzie rycerz Lamparta miał swoją kwaterę.

Przestrzeń, na której mogłoby się pomieścić najmniej trzydzieści namiotów, była częściowo zajęta przez nędzne chatki, pośpiesznie sklecone z gałęzi i nakryte palmowemi liśćmi. Przed środkową chatą, która stanowiła pomieszczenie wodza, zwisał w spokojnych fałdach proporzec, umieszczony na końcu kopji. Lecz przy tem godle feudalnej potęgi nie stał na straży nikt, ani paź, ani giermek, ani nawet zwykły żołnierz.

Sir Kenneth, tłumiąc swe uczucia, wszedł do chaty, skinieniem zapraszając za sobą barona.

Wnętrze chaty zajęte było głównie przez dwa łoża. Jedno z nich, sądząc po częściach zbroi, które leżały obok niego i po srebrnym krucyfiksie, stojącym w głowach, było to łoże samego rycerza. Na drugiem posłaniu leżał chory, o którym sir Kenneth opowiadał; był to człowiek w średnim wieku, dobrze zbudowany, o ostrych rysach twarzy. Łoże jego było lepiej zasłane, niż łoże pana. Przed chatą siedział chłopiec, odziany w obuwie z niewyprawnej jeleniej skóry, w niebieską szkocką czapkę, w wytarty i wypłowiały kaftan. Udziec antylopy wisiał na głównej przyporze chaty; z łatwością można było odgadnąć, kto upolował antylopę, widząc ogromnego ogara, odpoczywającego ze wzrokiem, wlepionym w piekący się placek owsiany. Pies ten był piękniejszy i większy od tych, które leżały przy łożu króla Ryszarda.

Obok posłania chorego na poduszce ze skór siedział modą wschodnią ze skrzyżowanemi nogami maurytański lekarz, polecany przez sir Kennetha. Anglik stanął, przejęty uczuciem grozy i poważania. Przez chwilę było słychać tylko głęboki i spokojny oddech chorego, który zdawał się być pogrążony we śnie.

— Nie spał przedtem przez sześć nocy zrzędu, jak mi mówił jego sługa — rzekł sir Kenneth.

— Szlachetny panie — odparł wówczas de Vaux, uścisnąwszy Szkota za rękę z serdecznością większą, niż mógł wyrazić słowami — przebacz moją podejrzliwość.

Słowa te wypowiedział głosem podniesionym, zwykłym sobie, zdecydowanym tonem. Chory poruszył się we śnie.

Wówczas lekarz, podniósłszy się ze swojego miejsca obok łoża chorego, którego puls ciągle badał, uspokoił go, kładąc mu rękę na piersi; zbliżył się potem do rycerzy, wziął każdego z nich pod ramię i, nakazawszy milczenie, wyprowadził przed chatę.

— W imię Issa ben Mariam*, którego czczę narówni z wami — rzekł lekarz — nie niweczcie działania leku, który chory wypił. Ktoby go teraz zbudził, pozbawiłby go rozumu lub życia, lecz powróćcie, gdy muezzin* wzywać będzie na wieczorną modlitwę, a obiecuję wam, że jeśli nikt do tego czasu nie zbudzi chorego Franka, będzie mógł bez szkody dla zdrowia porozmawiać krótką chwilę z jednym z was, najlepiej, gdy jego pan będzie mu zadawał pytania.

Rycerze usłuchali rozkazującego tonu lekarza. Zatrzymali się jednak na progu chaty; sir Kenneth, jakgdyby spodziewając się, że gość go pożegna, a de Vaux — jakgdyby go zatrzymywała tajemna myśl. Za nim wysunął się z namiotu pies i wsunął w rękę swego pana długi, szorstki pysk, prosząc o pieszczotę, a gdy rycerz go pogłaskał, puścił się pędem, galopując we wszystkie strony z wyciągniętym ogonem. Wreszcie po kilku skokach, powrócił do swego pana, porzuciwszy figle.

— Dobry, zdatny pies — rzekł Anglik. — Jeśli ma równie dobry węch, jak nogi, zdaje mi się, że żaden z gończych króla Ryszarda nie mógłby się z nim mierzyć. Lecz czyż nie wiesz, szlachetny panie, że nikt, kto nie nosi tytułu książęcego, nie może trzymać bez pozwolenia królewskiego psów gończych w obozie? Zaraz po powrocie do

królewskiego namiotu przyślę dla tego ogara takie pozwolenie.

— Dzięki, miłościwy panie — rzekł Szkot — królewski koniuszy czy dojeżdżacze, traktując Rozwala jako szkodnika, mogliby go skrzywdzić. Widziałeś moje ubogie gospodarstwo — dodał z uśmiechem — nie potrzebuję więc ukrywać przed tobą, że głównie Rozwal zaopatruje nas w żywność; mam nadzieję, że król Ryszard Lwie Serce nie będzie, jak ten lew z bajki minstrelów*, który na łowach łupy zachowywał dla siebie.

— Na mój honor, dobrze sądzisz króla — rzekł baron. — A teraz pożegnam cię, gdyż muszę wracać do królewskiego namiotu. O zachodzie, jeśli pozwolisz, powrócę do twej kwatery, aby porozmawiać z lekarzem.

Rycerze rozstali się lepszymi przyjaciółmi, niż w chwili spotkania; lecz nim się rozeszli, Tomasz de Vaux szczegółowo rozpytał się o wszelkie okoliczności, tyczące się wschodniego lekarza, i otrzymał z rąk rycerza Lamparta listy wierzytelne, które ten przywiózł królowi Ryszardowi od Saladyna.

VIII. PRÓBA LECZENIA.

— Dziwne mi rzeczy opowiadasz, sir Tomaszu — rzekł chory monarcha, wysłuchawszy sprawozdania wiernego barona. — Zali jesteś pewien, że ten Szkot jest człowiekiem uczciwym i szczerym?

— Za to nie mogę zaręczyć — odparł de Vaux — lecz postępuje tak, jak uczciwy człowiek; muszę mu to przyznać z czystem sumieniem.

— A jako rycerz, jakże sobie poczyna? — pytał król.

— Nie moja to rzecz, lecz raczej Waszej Królewskiej Mości śledzić wojenne czyny rycerstwa: pewny jestem, żeś zauważył, jak rycerz Lamparta zachowuje się w czasie bitwy. Dużo o tem mówiono.

— Masz słuszność, Tomaszu — odparł król. — Istotnie śledziłem go i zauważyłem, jak spełnia swe obowiązki. Lecz zauważyłem też jego zarozumiałość i zuchwałą pychę.

— Obawiam się narazić Waszej Królewskiej Mości, osłaniając jego zuchwałość — rzekł baron, zauważywszy zmianę w wyrazie twarzy króla.

— Ty, Tomaszu? — zawołał król, zdziwiony i niezadowolony. — To nie może być!

— Pozwoli mi Wasza Królewska Mość przypomnieć sobie, że mam z urzędu prawo wydawać pozwolenia rycerzom szlachetnego rodu na utrzymywanie w obozie jednego lub dwóch psów dla podtrzymania szlachetnej sztuki łowiectwa; z drugiej zaś strony grzechem byłoby okaleczyć czy zabić tak piękne zwierzę, jakiem jest pies tego rycerza.

— Czyż naprawdę jest taki rasowy? — zapytał król.

— Najdoskonalsze stworzenie pod słońcem, szlachetnej północnej rasy — odpowiedział baron. — Taki jest silny, że mógłby powalić byka, a w zwinności prześcignie antylopę.

Król roześmiał się z tego zapału.

— Dałeś mu pozwolenie dla tego psa, niech i tak będzie; ale powróćmy do tego uczonego poganina. Mówiłeś więc, że Szkot spotkał go na pustyni?

— Nie! Wasza Królewska Mość. Szkot opowiada, że będąc wysłany do pustelnika z Engaddi, o którym tyle opowiadają...

— Przez kogo wysłany i w jakim celu? — zapytał Ryszard. — Kto ośmielił się wysyłać do klasztoru w Engaddi posłów, wówczas, gdy królowa podążyła tam z pobożną pielgrzymką na intencję mojego powrotu do zdrowia?

— Wysłała go tam rada Krzyżowców — odparł de Vaux, ale nie chciał mi wyjawić, w jakim celu.

— A więc ten Szkot, — rzekł Ryszard — ten wysłannik spotkał się z wędrownym lekarzem w grocie engaddyjskiej?

— Niezupełnie tak było — odparł de Vaux. — Spotkał on wpobliżu groty saraceńskiego emira, z którym miał ja-

kiś zatarg z bronią w ręku i, uważając go za godnego towarzystwa rycerza, razem podążyli do groty.

— I tam spotkali tego lekarza? — pytał król z niecierpliwością.

— Nie — odparł de Vaux. — Tam Saracen ów, dowiedziawszy się o ciężkiej niemocy, jaką Wasza Królewska Mość jest złożony, obiecał, że Saladyn przyśle własnego, znakomitego lekarza; przywiózł on istotnie listy uwierzytelniające od Saladyna.

— Czy je czytał Giacomo (Dżiakomo) Loredani?

— Nim je tu przyniosłem, pokazałem je tłumaczowi i oto treść ich po angielsku.

Król wziął zwitek pergaminu, który zawierał następujące słowa:

„Dowiedziawszy się, że ciężka niemoc zwaliła na łoże boleści mojego królewskiego brata i że leczą go tylko chrześcijańscy i żydowscy medycy, którzy pracują bez błogosławieństwa Allaha i jego świętego Proroka, posyłamy ci, aby cię pielęgnował i służył, naszego osobistego lekarza Adonbeka El Hakima. Na jego widok anioł śmierci, Azrael, rozwinąwszy skrzydła, opuszcza łoże chorego. Prosimy więc, aby nasz brat zechciał wykorzystać umiejętności tego lekarza, którego posyłamy mu nietylko dlatego, że chcemy przysłużyć się tak zasłużonemu mężowi, dumie i chwale całego Frankistanu*, ale również dlatego, że pragniemy załatwić wreszcie nasz spór, albo drogą zaszczytnego pokoju, albo spróbowawszy sił naszych na otwartem polu.

— Zwolna! Zwolna! — zawołał Ryszard. — Owszem, każę tu przyprowadzić lekarza, owszem, oddam się pod jego opiekę, gdyż chcę się odwdzięczyć szlachetnemu Saladynowi za jego wspaniałomyślność; chcę z nim stanąć do walki w otwartem polu, jak to sam tak szlachetnie proponuje. Nie będzie mógł posądzić Ryszarda angielskiego o niewdzięczność, gdy powalę go mym toporem na ziemię

i będę go nawracać na naszą świętą wiarę takiemi razami, jakiemi go zapewne nikt jeszcze nie poczęstował.

— Miłościwy Panie — rzekł baron — zastanów się jeszcze; jesteś jego najniebezpieczniejszym przeciwnikiem...

— Nic więc też dziwnego, że chce mi oddać taką przysługę. Powtarzam ci, że kocha mnie tak, jak ja jego, grzechem byłoby wątpić w jego dobrą wiarę.

— Pomimo to, Miłościwy Panie, może należałoby poczekać, jak leki maurytańskiego lekarza podziałają na tego szkockiego giermka — rzekł de Vaux.

— Dawniej nie wahałeś się nigdy, gdy chodziło o życie — odparł z wymówką Ryszard.

— Postąpiłbym tak samo i teraz — odparł dzielny baron — gdyby chodziło tu o moje życie, a nie o twoje, Miłościwy Panie.

— Idź więc, podejrzliwy człeku — odrzekł król — doglądać skutków tych leków maurytańskich.

Baron szybko wyszedł; postanowił się jednak z kimś podzielić swemi wątpliwościami.

Arcybiskup Tyru wysłuchał wyłuszczonych przez barona de Vaux argumentów. Wreszcie rzekł:

— Medycy tak, jak i ich leki, są nieraz pożyteczni, choćby ci lekarze byli niskiego pochodzenia, a leki były wyciągane z najpodlejszych materyj. Chrześcijanie mogą korzystać z usług pogan i niewiernych; należy bowiem przypuszczać, że Bóg pozwala im przebywać na ziemi dla wygody wiernych.

Rozumowanie to usunęło wszelkie skrupuły Tomasza de Vaux.

Pokazał list polecający od Saladyna biskupowi, który go parę razy przeczytał, porównywając oryginał z tłumaczeniem.

— List ten, to potrawa przyrządzona wedle gustu Ryszarda; to też nie mogę się obronić przed podejrzliwością

względem tego Saracena. Sztukę trucicielską doprowadzili do mistrzostwa. Umieją w najsubtelniejszy sposób zatruwać sukno, skórę, nawet papier i pergamin. Lecz — ciągnął dalej — chodźmy do namiotu chorego giermka, gdzie dowiemy się, czy rzeczywiście Hakim posiada taką, jak powiada, umiejętność leczenia, i wówczas dopiero będziemy się zastanawiać, czy można mu powierzyć bezpiecznie zdrowie króla Ryszarda.

Gdy stanęli przed nędzną lepianką, biskup rzekł do Tomasza de Vaux:

— Rycerz ten podobno odważnie walczył w bitwach, podczas rozejmu powierzono mu ważną misję, a giermek jego mieszka w lepiance, gorszej od najnędzniejszej psiej budy z całej Anglji. Co sądzisz o tem, baronie?

— Myślę, że zasługuje na nazwę dobrego pana ten, który swojemu słudze daje mieszkanie nie gorsze od własnego — odparł de Vaux, wchodząc do chaty.

Biskup wszedł za nim nie bez widocznej niechęci i przekroczył próg chaty z wyniosłością, która, jak sądził, powinna była nakazać szacunek cudzoziemcowi.

Gdy weszli do chaty szkockiego rycerza, nie zastali w niej gospodarza; maurytański lekarz siedział ze skrzyżowanemi nogami na macie z plecionych liści przy łożu chorego, który zdawał się być pogrążony w głębokim śnie; od czasu do czasu lekarz badał mu puls. Biskup pozdrowił go w *lingua franca*, zwykle używanym w tym kraju; lecz Maur odpowiedział mu wschodniem pozdrowieniem:

— *Salem alejkum*, pokój niech będzie z tobą.

— Czy to ty, niewierny, jesteś lekarzem? — zapytał biskup, zmieszany nieco tem chłodnem przyjęciem. — Chciałbym z tobą o twej sztuce pomówić.

— Wyjdźmy z chaty, jeśli masz mi coś do powiedzenia — odparł El Hakim, wstając i kierując się ku wyjściu.

Gdy już wyszli przed chatę, biskup przez kilka chwil

przyglądał się Adonbekowi, nim zdecydował się, w jaki sposób rozpocznie z nim rozmowę.

Uderzony jego niezwykle młodym wyglądem, przerwał wreszcie milczenie, pytając się Maura, w jakim jest wieku.

— Lata zwykłych śmiertelników obliczane bywają wedle zmarszczek na ich twarzy — odparł mu lekarz — a wiek mędrców wedle lat ich nauki. Obliczam więc mój wiek najwyżej na setkę lat*).

Baron de Vaux, który zrozumiał dosłownie, że lekarz ma sto lat, spojrzał powątpiewająco na biskupa; ten odpowiedział na jego spojrzenie kiwnięciem głowy i zapytał się rozkazującym tonem, jaki dowód swej znajomości sztuki lekarskiej może Adonbek złożyć.

— Masz zapewnienie potężnego Saladyna, czego chcesz więcej, Nazareńczyku? — rzekł mędrzec.

— Chciałbym mieć oczywisty dowód twej wiedzy — rzekł baron — gdyż inaczej nie dopuszczę cię do królewskiego łoża.

— Najlepszym dowodem umiejętności lekarza jest wyleczenie chorego. Przyjrzyj się temu giermkowi, spójrz na jego palce i ramiona wychudłe, jak łapy i pazury żórawia. Jeszcze dziś rano śmierć go trzymała w swych szponach. Nie przeszkadzaj mi pytaniami, lecz czekaj w milczeniu na chwilę przesilenia, a wówczas podziwiać będziesz cudowne wyzdrowienie.

Lekarz poradził się swego kątomierza, wyroczni wschodniej mądrości, i z powagą oczekiwał chwili wieczornej modlitwy; wówczas upadł na kolana i z twarzą zwróconą w stronę Mekki, odmówił modlitwy, które kończą całodzienny trud mahometanina.

Biskup z baronem zamienili spojrzenia, wyrażające całą ich wzgardę i oburzenie.

---

*) Rozumiał przez to, że wiedzę, jaką posiadał, można zdobyć, ucząc się wiek cały.

Maurytański lekarz, powstawszy z klęczek, wszedł do chaty, w której chory leżał wyczerpany, wyjął ze srebrnego pudełeczka gąbkę i włożył ją w nos chorego. Ten kichnął i, obudziwszy się, spojrzał dokoła nieprzytomnym wzrokiem. Widać zdziwiony był obecnością takich gości, gdyż zapytał przytłumionym i pokornym głosem o swego pana.

— Czy nas znasz? — zapytał lord Gilsland.

— Niezupełnie, dostojny panie — odparł giermek słabym głosem. — Sądząc po czerwonym krzyżu na twym płaszczu, zapewne jesteś potężnym angielskim panem, a oto świętobliwy biskup, którego błagam o błogosławieństwo dla mnie grzesznego.

— Niech i tak będzie — odparł biskup, uczyniwszy nad nim znak krzyża świętego.

— Przekonaliście się na własne oczy, że gorączka spadła — rzekł. — Zbadajcie sami jego puls.

— To istotnie nadzwyczajne zdarzenie — rzekł rycerz. — Ten człowiek jest rzeczywiście wyleczony. Muszę natychmiast zaprowadzić lekarza do namiotu królewskiego.

— Pójdę z wami — rzekł Maur — gdy tylko dam choremu drugi kubek tego zbawczego leku.

Mówiąc to, wyjął srebrny kubek i, napełniwszy go wodą z manierki, wsypał doń zawartość jedwabnego woreczka; poczem przez parę minut napój pozostawił w spokoju.

— Zaprowadzimy go zaraz do króla — zawołał baron. — Udowodnił, że posiada tajemnicę leków, które mogą uzdrowić Ryszarda.

Gdy już kierowali się ku wyjściu, chory zawołał za nimi:

— Na litość boską, powiedzcie mi, co się stało z moim drogim panem?

— Przyjacielu — rzekł baron — twój pan powrócił do obozu i wkrótce go zobaczysz.

Chory, zmęczony wzruszeniem, pogrążył się znów w głębokim śnie.

— Kłamstwo, które uspokaja, bardziej jest na miejscu przy łożu chorego, od nieprzyjemnej prawdy.

— Czyż wasza świętobliwość przypuszcza, że skłamałbym, aby uratować nawet dwunastu takich, jak ten oto, chorych? — rzekł szybko de Vaux.

— A więc to prawda, że jego pan powrócił?

— Tak, powrócił — odparł de Vaux — rozmawiałem z nim przed paroma godzinami. Ten uczony lekarz przybył z nim do obozu.

— Najświętsza Panno! Czemuś mi wcześniej nie powiedział o jego powrocie? — zawołał biskup najwidoczniej zaniepokojony. — Lecz dokąd mógł się teraz udać? Niech Bóg nas ma w swej opiece, boję się, aby z tego nie wynikły jakieś fatalne pomyłki.

— Sługa, który siedzi przed chatą, pewnie nas objaśni, gdzie jest rycerz — odparł de Vaux, zdziwiony trochę niepokojem biskupa.

Zapytany chłopak odpowiedział językiem prawie niezrozumiałym dla nich. Wreszcie pojęli, że jeszcze przed ich przybyciem jakiś oficer wezwał rycerza do królewskiego namiotu.

IX. TOAST.

Baron z niepokojem w sercu szedł wolnym krokiem w kierunku królewskiego namiotu. Był tylko pewien siebie na polu bitwy, a do swych zdolności umysłowych odnosił się nieufnie. Lecz dziwnem mu się wydawało, że uwagę biskupa od nadzwyczajnej kuracji odwróciła wiadomość, zda się, bardzo zwykła o powrocie ubogiego szkockiego rycerza. Umysł barona pracował usilnie, chcąc stąd wyciągnąć jakieś wnioski.

— Może też — mówił do siebie baron — El Hakim i cała jego kuracja jest tylko podstępem, w którym rycerz Lamparta odgrywa uboczną rolę, a biskup Tyru, choć osoba duchowna, bierze też w nim udział.

Postanowił otwarcie wyznać królowi swe wątpliwości, gdyż o rozumie Ryszarda miał równie wysokie pojęcie, jak o moralnej jego wartości.

Tymczasem Ryszard wysłał gońca do rycerza Lamparta, rozkazując mu stawić się natychmiast, chcąc zaspokoić swą ciekawość bardziej szczegółowem wytłumaczeniem powodów wyjazdu rycerza z obozu.

Król znał szkockiego rycerza zaledwie z widzenia. Przyglądał mu się uważnie, gdy ten, zbliżając się do królewskiego łoża, przykląkł, a potem, powstawszy, wyprostował się z szacunkiem, lecz bez pokory czy służalczości.

— Imię twe jest Kenneth, rycerz Lamparta — rzekł król. — Kto pasował cię na rycerza?

— Pasował mię swym mieczem Wilhelm Lew, król Szkocji — odpowiedział Kenneth.

— Godny był to miecz, a uderzył w ramię, które zasłużyło na ten zaszczyt. Widziałem, jak w czasie bitwy walczyłeś odważnie i po rycersku, lecz pod innemi względami jesteś tak zarozumiały, że zasłużyłeś co najwyżej na przebaczenie. Cóż mi odpowiesz? I choć żołnierze obowiązani są słuchać rozkazów — ciągnął król dalej — a wasale powinniby szanować życzenia swych lenników, gotowi jednak jesteśmy przebaczyć dzielnemu rycerzowi większe nawet przewinienia, niż trzymanie psa w obozie wbrew naszym publicznym zakazom.

— Wasza Królewska Mość — odparł Szkot — powinien być pod tym względem wyrozumiały dla nas ubogich Szkotów, gdyż Saraceni bardziej ucierpią od naszych ciosów, gdy od czasu do czasu dołączymy do jarzyn i owsianych placków kawałek suszonej zwierzyny.

— Moja zgoda nic już nie znaczy — rzekł Ryszard — gdy Tomasz de Vaux, który tu robi wszystko wedle własnego widzimisię, dał ci już pozwolenie na polowanie z psami i sokołami.

— Tylko na polowanie z psami — przerwał Szkot —

lecz jeśli Wasza Miłość pozwoli mi też polować z sokołami, zaopatrzę stół królewski w wodne ptactwo.

— Obawiam się, że jeśli posiadasz sokoła — rzekł król — używałeś go, nie czekając na moje pozwolenie. Lecz dość już o tem. Chciałbym się dowiedzieć, rycerzu, poco i z czyjego rozkazu odbyłeś podróż do pustyni nad Martwem morzem i do pustelni w Engaddi?

— Na rozkaz rady książąt wyprawy krzyżowej — odparł rycerz.

— I kto ośmielił się wydać taki rozkaz bez mojej wiadomości? Nie jestem przecież ostatnim z pośród książąt Ligi?

— Za pozwoleniem Waszej Królewskiej Mości — odparł Szkot. — Nie mogłem rozpytywać się o takie szczegóły. Muszę się słuchać tych, którzy mają prawo rozkazywania.

— Dobrze mówisz — rzekł król. — A jaka była treść twego posłannictwa?

— Za pozwoleniem Waszej Królewskiej Mości — odparł sir Kenneth — zdaje mi się, że o to należałoby się zapytać tych, którzy mnie wysłali.

— Nie wykręcaj się, panie Szkocie, niebardzo to bezpiecznie — rzekł podrażniony król.

Na to rycerz odparł ze stanowczością:

— Gdy ofiarowałem się udać na wyprawę krzyżową, musiałem porzucić myśl o mem bezpieczeństwie, jako o rzeczy bezwartościowej.

— Dzielny z ciebie rycerz — rzekł król Ryszard. — Lubię naogół Szkotów, bo to odważny naród, choć uparty i nieustępliwy. Zasłużyłem sobie na ich miłość, gdyż dobrowolnie przyznałem im to, czegoby sobie nigdy nie wywalczyli. Pozyskałem sobie tym sposobem godnych i niezależnych przyjaciół tam, gdzie poprzedni królowie Anglji mieli niechętnych i zbuntowanych wasali. To też pomnąc na moje zasługi, powiedz mi to, co powinienem jako król wiedzieć. Od ciebie dowiem się prędzej prawdy, niż od innych.

— Miłościwy Panie — odparł Szkot — wobec takiego zaklęcia wyznam ci prawdę: polecono mi za pośrednictwem pustelnika z Engaddi, świętego męża, którym sam Saladyn opiekuje się i szanuje, zaproponować...

— Pewnie przedłużenie rozejmu? — król przerwał mu gwałtownie.

— Nie, Miłościwy Panie — rzekł szkocki rycerz. — Zaproponowałem zawarcie trwałego pokoju i wycofanie naszych wojsk z Palestyny.

— I na jakich warunkach miał być zawarty ten obiecujący pokój? — spytał Ryszard, tłumiąc z trudnością gniew, który kipiał mu w sercu.

— Nie wyjawiono mi warunków pokoju — odparł rycerz Lamparta. — Doręczyłem je zapieczętowane pustelnikowi.

— A co sądzisz o tym czcigodnym pustelniku? — zapytał król. — Zali to głupiec, warjat, zdrajca czy święty?

— Wydaje mi się — odparł Szkot — że on udaje szalonego, aby zdobyć szacunek i łaskę u pogan, którzy uważają warjatów za natchnionych przez Boga. Zauważyłem szaleństwo jego raz jeden i jakby umyślnie odegrane, przyczem nie zaciemniło jego zdolności umysłowych tak, jak zwykłe szaleństwo.

— Chytra odpowiedź — rzekł monarcha, kładąc się zpowrotem na łoże, z którego nawpół powstał. — Teraz powiedz mi co o jego pokucie?

— Pokuta jego wydaje mi się szczera — ciągnął dalej Kenneth. — Wynika ona z wyrzutów sumienia, spowodowanych okropną jakąś zbrodnią, za którą, jak sobie wyobraża, zasłużył na potępienie.

— A jakie są jego poglądy polityczne? — pytał dalej król.

— Zdaje mi się, że zwątpił o zdobyciu Palestyny, jak o swem własnem zbawieniu; przynajmniej od czasu, gdy rycerz Lwie Serce przestał walczyć, wierzy jeszcze tylko w cud.

— Pochlebiasz mi, panie rycerzu — rzekł król. — Lecz się nie wykręcisz. Muszę się więcej jeszcze dowiedzi od ciebie. Czyś widział w Engaddi moją małżonkę?

— Może bez mojej wiedzy, Miłościwy Panie — odparł Kenneth.

— Pytam się ciebie — rzekł król surowym głosem — czyś był w kaplicy Karmelitanek w Engaddi i czyś tam widział Berengarję, królowę Anglji i damy jej dworu?

— Miłościwy Panie — odparł sir Kenneth. — Wyznam ci całą prawdę, jak w konfesjonale. W podziemnej kaplicy, do której zaprowadził mnie pustelnik, widziałem chór kobiecy, który modlił się do Najświętszej Relikwji, lecz nie widziałem ich twarzy, i słyszałem tylko chór głosów; nie mogę więc powiedzieć, czy w ich gronie była też królowa Anglji.

— A czy nie było wpośród nich żadnej ze znajomych ci dam?

— Miłościwy Panie — rzekł sir Kenneth. — Tego mogę się tylko domyślać.

— Ja się też domyślam — rzekł król, marszcząc brwi surowo. — Lecz dość już tego. Choć jesteś lampartem, strzeż się pazurów lwa.

Wtem doszedł ich uszu gwar głosów z zewnętrznej części namiotu. Król, powracając do zwykłego swego tonu, rzekł:

— Dość już tej rozmowy. Możesz odejść, wezwij tylko do mnie de Vaux, aby przyszedł z tym arabskim lekarzem. Życie moje powierzam Saladynowi.

Rycerz Lamparta odszedł, a wkrótce potem szambelan oznajmił, że przybyła odwiedzić króla deputacja rady książąt.

— Dobrze, że mają mnie jeszcze za żywego — odpowiedział król. — Któż jest w tej deputacji?

— Wielki mistrz Templarjuszów i margrabia na Montserrat.

Konrad na Montserrat miał powierzchowność znacznie przyjemniejszą, niż jego towarzysz, ponury i tajemniczy rycerz-zakonnik.

Gdy dygnitarze pozdrowili króla Ryszarda, który im uprzejmie odpowiedział, margrabia na Montserrat przystąpił do objaśnienia przyczyny ich odwiedzin. Wysłani byli, jak mówił, przez królów i książąt, stanowiących radę Krzyżowców, którzy, niespokojni o zdrowie dzielnego króla Anglji, pragnęli się dowiedzieć, jak się miewa.

— Wiemy, jaką wagę członkowie rady przywiązują do naszego zdrowia — odparł Ryszard — i rozumiemy, jak musieli cierpieć, gdy przez dwa tygodnie tłumili swą ciekawość, nie chcąc widocznie pogorszyć mojego stanu swoim niepokojem.

Gdy potoki wymowy margrabiego zostały w ten sposób zatamowane, surowy jego towarzysz podjął wątek rozmowy i powiadomił króla, że przybywają prosić go w imieniu rady, aby nie dozwolił się leczyć niewiernemu lekarzowi, który, jak powiadają, przysłany został przez Saladyna.

— Wielki mistrzu świętego i dzielnego zakonu Templarjuszów i ty, szlachetny margrabio na Montserrat — odparł Ryszard — jeżeli zechcecie na chwilę wyjść do przyległego namiotu, zobaczycie na własne oczy, jak cenię te życzliwe rady naszych królewskich i książęcych towarzyszów świętej wojny.

Margrabia i wielki mistrz usłuchali i wyszli do sąsiedniego namiotu; zaledwie minęło parę minut, gdy zjawił się wschodni lekarz w towarzystwie barona de Vaux i sir Kennetha.

Mędrzec, wchodząc, ukłonił się wschodnią modłą margrabiemu i wielkiemu mistrzowi, który zapytał go ponurym głosem:

— Zali, niewierny, masz odwagę leczyć pomazańca boskiego?

— Słońce Allacha — odparł mędrzec — świeci jednakowo dla Nazareńczyka, jak i dla prawdziwego wyznawcy, więc i sługa jego nie może robić różnicy między nimi, gdy wzywają pomocy jego sztuki.

— Niewierny Hakimie — rzekł wielki mistrz — czy wiesz, że rozedrą cię dzikiemi końmi, jeśli król Ryszard umrze, pielęgnowany przez ciebie.

— Surowy to wyrok, zważywszy, że posługuję się tylko ludzką wiedzą, a wynik leczenia zapisany jest w księdze światłości. Mój pan, sułtan Saladyn, rozkazał mi wyleczyć nazareńskiego władcę i za łaską proroka wypełnię jego rozkazy. Lecz proszę nie stawiajcie mi przeszkód, które odwlekają chwilę rozpoczęcia leczenia.

— Kto mówi o zwłoce? — zapytał baron de Vaux, szybko wchodząc do namiotu. — Już i tak za długo zwlekaliśmy. Witam cię, lordzie na Montserrat, i ciebie, wielki mistrzu. Musimy natychmiast z tym oto lekarzem udać się do chorego króla.

— My przybywamy, baronie — rzekł margrabia — jako wysłannicy rady monarchów i książąt, którzy są przeciwni narażaniu na szwank drogocennego zdrowia króla Ryszarda powierzeniem go niewiernemu.

— Dostojny margrabio! — odparł szorstko baron. — Czas jest drogi. Jeśliby Mahomet we własnej osobie (choć go przeklinam) stanął we drzwiach namiotu z tak uczciwemi zamiarami, jak zamiary Adonbeka El Hakima, miałbym sobie za grzech wahać się choć chwilę. A więc, żegnam was, panowie!

— Lecz — rzekł margrabia — król Ryszard sam polecił nam pozostać w namiocie, podczas gdy medyk będzie go leczył.

Baron odparł mu na to:

— Moi panowie, jeśli macie dużo cierpliwości, bardzo prosimy, wejdźcie, lecz jeśli będziecie przeszkadzać czynem lub groźbami medykowi w wypełnianiu jego powinności, usunę was z namiotu Ryszarda bez względu na wasze wysokie stanowisko. Chodźmy więc, El Hakimie.

Wielki mistrz i margrabia weszli wraz z de Vaux i maurytańskim lekarzem do namiotu. Sir Kenneth uważał się też

za upoważnionego, aby iść za nimi, lecz trzymał się cały czas na uboczu.

Gdy się ukazali w namiocie królewskim, Ryszard zawołał:

— Zbliż się, El Hakimie, i bierz się do dzieła!

Lekarz długo z głęboką uwagą badał puls chorego, poczem wypełnił kubek wodą źródlaną i zanurzył w niej czerwony woreczek. Gdy podawał kubek królowi, ten powstrzymał go, mówiąc:

— Wstrzymaj się chwilę. Zbadałeś mój puls, pozwól więc, abym i ja twój zbadał. Tak jak przystoi rycerzowi, znam się nieco na sztuce lekarskiej.

Maur bez wahania wyciągnął rękę.

— Krew jego płynie spokojnie, jak u dziecka — rzekł król. — Nie tak bije puls truciciela królów. Pamiętaj, de Vaux, czy umrę, czy wyzdrowieję, wypraw tego lekarza całego i zdrowego z obozu.

Podniósł się na łożu i, wziąwszy kubek do ręki, rzekł, zwracając się do margrabiego i do wielkiego mistrza:

— Zapamiętajcie moje słowa i niech towarzysze moi w radzie wzniosą ten sam toast cypryjskiem winem: wznoszę ten toast na cześć pierwszych Krzyżowców, którzy będą walczyć u bram Jerozolimy włócznią czy mieczem, a na potępienie i hańbę wieczną tych, którzy się cofną.

Wypił kubek do dna i opadł na posłanie. Wówczas lekarz w milczeniu dał znak, aby wszyscy, oprócz niego i barona de Vaux, wyszli z namiotu.

X. DWAJ DOBRANI PRZYJACIELE.

— Jak się zmieniły te psy angielskie — rzekł wielki mistrz do Konrada, gdy minęli straże przed namiotem Ryszarda. — Dawniej przed namiotem królewskim wieczne były uczty i wrzawa!

— Są to wierne brytany — odparł Konrad — a Ryszard

zaskarbił sobie ich miłość, bo, będąc w dobrem usposobieniu, pierwszy z pośród nich gotów jest do zwad, walki i hulanek.

— Ryszard ma bardzo zmienne usposobienie — rzekł wielki mistrz. — Czyście zwrócili uwagę na toast, jaki wzniósł na naszą cześć zamiast modlitwy przed zażyciem lekarstwa?

— Inaczejby smakował mu ten puhar i zapewne byłby ostatnim w jego życiu — rzekł margrabia — gdyby Saladyn był podobny do zwykłych Turków, którzy noszą turbany i modlą się na wezwanie muezzina, zwróceni w stronę Mekki.

Byli już niedaleko wierzchowców, które stały w pewnej odległości od namiotu królewskiego, gdy Konrad zaproponował, aby poszli piechotą do swych kwater. Wielki mistrz zgodził się, poszli więc razem, wybierając, jakby się umówili, najmniej zamieszkałe części miasta namiotów.

Margrabia na Montserrat, zatrzymawszy się nagle, popatrzył chwilę na ponurą i nieugiętą twarz wielkiego mistrza i wreszcie odezwał się do niego w te słowa:

— Myślę, że nie popełnię wykroczenia przeciw twej godności duchowej, wielki mistrzu, gdy poproszę cię, abyś zechciał porozmawiać otwarcie z twym przyjacielem. A więc powiedz, co sądzisz o widokach powodzenia wyprawy krzyżowej? Dotyczy to także twego zakonu. Gdybyśmy byli pozostawieni sami sobie, uleglibyśmy pewnie burzy lub, wspomagani potrochu pieniędzmi i wojskiem, może zmusilibyśmy Saladyna do uznania naszej przewagi, i do zawarcia pokoju na dogodnych warunkach. Wobec jednak zbrojnych wysiłków potężnych Krzyżowców, którzy z całą bezwzględnością walczą z Saladynem, należy przypuszczać, że będzie się on starał zniweczyć braterską zgodę wśród chrześcijan; tyle przecież złego doznał od nich!

— Lecz — rzekł Templarjusz — może szczęście będzie sprzyjać awanturniczym Krzyżowcom i krzyż znów zatkną na murach Syjonu?

— I któż z tego skorzysta? Zakon Templarjuszów czy też Konrad na Montserrat? — zapytał margrabia.

— Zapewne ty z tego skorzystasz — odparł wielki mistrz. — Konrad na Montserrat łacno może zostać królem Jerozolimy.

— Pięknie to brzmi, lecz, niestety, to tylko pusty dźwięk — odparł margrabia. — Wyrażając się jasno, przekonany jestem, że jeśli Ryszard wyzdrowieje i będzie miał głos przy wyborze, kandydatura Gwidona Lusignan* będzie miała większe powodzenie, niźli moja.

— To mi wystarcza — rzekł wielki mistrz — przekonałeś mnie o swej szczerości.

— Nie zdradzisz mych zamiarów? — spytał Konrad, patrząc na wielkiego mistrza przenikliwie i podejrzliwie. — Jeśli mnie oskarżysz, stanę w szrankach przeciwko temu z Templarjuszów, który najlepiej włada kopją.

— Przysięgam ci — odparł wielki mistrz — na najświętszą świątynię, której nasz zakon obowiązany jest bronić.

— Na jaką świątynię przysięgasz? — zapytał margrabia, którego zamiłowanie do szyderstwa tłumiło nieraz przebiegłość i roztropność.

— Na jakąkolwiek świątynię przysięgam, bądź pewien, margrabio, że przysięga ta jest dla mnie święta — odparł ze spokojem wielki mistrz. — Chciałbym jednak wiedzieć, jaką przysięgą mógłbym ciebie związać?

— Przysięgnę ci na wierność — odparł, śmiejąc się, margrabia. — Wiążą nas wspólne interesy, jeżeliby sprzymierzeni książęta zdobyli Jerozolimę i osadzili tam na tronie króla z własnego wyboru, postaraliby się o zniszczenie niezależności twego zakonu i mojego margrabstwa.

— Stanowisko, przywileje i bogactwa naszego zakonu obronią nas przed poniżeniem, którem mnie straszysz — rzekł wyniośle Templarjusz.

— One właśnie gotują ci zgubę — odparł mu Konrad — i wiesz dobrze, że jeśli sprzymierzonym książętom powie-

dzie się w Palestynie, to odrzucą cię precz, jak połamaną kopję w czasie turnieju.

— Może masz słuszność — rzekł Templarjusz, uśmiechając się ponuro — lecz czyż możemy spodziewać się lepszego losu, gdyby sprzymierzeńcy wycofali swe wojska z Palestyny i pozostawili ją w posiadaniu Saladyna?

— Bezwątpienia wówczas los nasz byłby lepszy — odparł Konrad. — Sułtan ofiarowałby nam obszerne posiadłości dla zatrzymania przy sobie oddziału należycie uzbrojonych Franków. Zasilani przez ciągły napływ z Europy zapalczywych i awanturniczych duchów i nie kontrolowani przez sprzymierzonych monarchów, czegóż my tu nie zdziałamy?

— Dobrze mówisz, margrabio — rzekł wielki mistrz. — Lecz musimy być ostrożni; Filip, król francuski, jest równie mądry, jak odważny.

— Zazdrosny jest o króla Ryszarda, który jest jego naturalnym wrogiem; poza tem pragnie przeprowadzić swe ambitne plany raczej we Francji, niż w Palestynie.

— A arcyksiążę austrjacki? — zapytał wielki mistrz.

— Co się tyczy arcyksięcia — odparł Konrad — to jego fantazje i szaleństwa prowadzą do tego samego celu, co przebiegłość i mądrość Filipa. Sam dobrze wiesz, bo widziałeś na własne oczy, jak wszyscy najpotężniejsi i najbardziej wpływowi książęta, z wyjątkiem jednego, pragną wejść w układy z Saladynem.

— Istotnie, ślepy dojrzałby to na ostatnich naradach. Lecz podnieś jeszcze wyżej swą przyłbicę i zdradź przede mną, dlaczego nalegałeś na radzie książąt, aby z propozycją pokoju wysłać tego północnego Anglika, czy też Szkota, którego zwą rycerzem Lamparta.

— Było w tem pewne wyrachowanie — odparł Włoch. — Sam ten fakt, że jest Anglikiem, wzbudzał zaufanie Saladyna, a przynależność jego do narodowości szkockiej była rękojmią, że po powrocie nie porozumie się z chorym Ryszardem.

— Zbyt to chytrze było obmyślone — odparł wielki mistrz. — Czy nie widzisz, że tak starannie przez ciebie wybrany goniec przywiózł w osobie lekarza sposób wyleczenia tego Anglika o lwiem sercu i byczym karku, który, gdy będzie zdrów, poprowadzi dalej krzyżową wyprawę i któż wówczas ośmieli się cofnąć?

— Bądź spokojny — odparł Konrad — może znajdzie się sposób wywołania jakiego zatargu między Francuzem lub przynajmniej Austrjakiem, a ich sprzymierzeńcem Ryszardem; postaramy się przytem, aby rozłam ten był nie do załagodzenia.

— Jesteś pełen dobrych chęci, — odparł Templarjusz — lecz Konradzie, łuk twój jest zbyt przeciągnięty, obawiam się, że nie doniesie strzały do celu. Ryszard nie powinien już nigdy powstać!

Margrabia na Montserrat wstrząsnął się:

— Jakto? Czy myślisz o Ryszardzie, królu angielskim? O Ryszardzie Lwiem Sercu, obrońcy kościoła chrześcijańskiego?

Gdy to mówił, twarz mu pobladła, kolana pod nim zadrżały. Wielki mistrz patrzał na niego, a twarz jego niewzruszoną wykrzywił uśmiech pogardy, wreszcie rzekł ze spokojem, który go ani na chwilę nie opuszczał w czasie tej znamiennej rozmowy.

— Jeśli to robi na tobie takie wrażenie, zapomnijmy, że cokolwiek zaszło między nami, powiedzmy sobie, że to był sen i wizja znikła.

— Nigdy już nie zniknie — odparł Konrad.

Rozstali się. Konrad pozostał bez ruchu na tem samem miejscu, patrząc na biały płaszcz Templarjusza, gdy ten zwolna odchodził.

— Zbudziłem szatana zemsty — rzekł wreszcie margrabia, gdy znikł mu z oczu ostatni ślad płaszcz Templarjusza. — Chciałem istotnie zdusić tę dziką wyprawę, ale nie pragnę

uciekać się do tak gwałtownych środków, akie ośmielił się doradzać ten odważny mnich.

Tak rozmyślał margrabia, gdy nagle posłyszał wpobliżu głos herolda.

— Pamiętajcie o Świętym Grobie!

Pomimo, iż Konrad słyszał poprzednio w różnych okolicznościach ostrzegawczy ten głos, ale tym razem tak odpowiadał biegowi jego myśli, że wydał mu się głosem z nieba, ostrzegającym go przed postępkiem, który knuł w swem sercu.

Żywy umysł Konrada chwytał wlot pomysły. Jedno spojrzenie, rzucone na chorągiew Anglji, rozprószyło wątpliwości, które mu ciążyły. Podążył do swego namiotu szybkim i zdecydowanym krokiem człowieka, który ma już obmyślony plan działania.

— Jutro — rzekł do siebie — ucztuję u arcyksięcia austrjackiego, zobaczymy, czy się nie uda coś zrobić dla naszych zamiarów, nie uciekając się do zbrodniczych rad wielkiego mistrza.

XI. WALKA LWA Z ORŁEM.

Leopold, arcyksiążę austrjacki, był raczej słabym i próżnym, niż ambitnym i samowładnym monarchą. Jego zdolności umysłowe odpowiadały jego cechom fizycznym. Był wysoki, silny i przystojny, miał żywe rumieńce, odcinające się jaskrawo od białej cery, i długie, jasne kędziory. Lecz było coś w jego postawie, że wydawał się, jakgdyby nie miał dostatecznej energji, aby poruszyć z miejsca takie ogromne ciało. Tak samo, gdy był ubrany w najbogatsze troje, zawsze wyglądał, jakby nie na niego były skrojone.

Gdy Leopold przybył do obozu Krzyżowców z prawdziwie książęcym pocztem, zrazu pragnął zaprzyjaźnić się z Ryszardem. Lecz Ryszard, jak prawdziwy normandzki monarcha, pogardzał zamiłowaniem Leopolda do rozkoszy stołu

a szczególniej do nadmiernego używania wina. Dla tych i innych osobistych przyczyn król angielski wkrótce nie był zdolny ukryć swej wzgardy dla austrjackiego księcia. Rozdźwięk ten podsycany był jeszcze przez tajemną politykę Filipa, króla francuskiego, który tym sposobem dążył do wzmocnienia swej partji kosztem Ryszarda, łącząc pomniejszych książąt, należących do wyprawy krzyżowej, w ich oporze „przeciw uzurpowaniu władzy przez króla angielskiego“, jak się sam wyrażał.

Konrad na Montserrat postanowił wykorzystać zawiść arcyksięcia austrjackiego do króla angielskiego, celem zniszczenia lub przynajmniej rozluźnienia związku Krzyżowców. Wybrał na odwiedziny arcyksięcia godzinę południową, a za pretekst wziął jakieś wyborne wino cypryjskie.

Niemcy nietylko nie stracili nic z marsowego i szczerego charakteru swych przodków, którzy podbili rzymskie cesarstwo, ale zachowali też wiele ich cech barbarzyńskich. Siedząc za stołem arcyksięcia, Konrad był ogłuszony, ale zarazem i zabawiony głośnemi dźwiękami mowy teutońskiej, rozlegającej się wokoło pomimo uroczystej uczty książęcej.

Błaznów, karłów, minstrelów było na tej uczcie bardzo wielu i tak hałaśliwych i natrętnych, jak się nigdzie w lepszej kompanji nie spotykało, a że wolno im było korzystać z wina, które wokoło płynęło potokami, wrzawa stawała się coraz większa.

Arcyksiążę sam ściśle przestrzegał form towarzyskich, pragnąc widać, aby uszanowano jego godność i stanowisko. Choć chciał być uprzejmy dla margrabiego na Montserrat, którego posadził po prawej swej ręce, zwracał jednak znacznie więcej uwagi na nadwornego astrologa, stojącego za jego prawem ramieniem. Na wypadek, gdyby arcyksięcia znudziła mądrość astrologa, po drugiej stronie miał nadwornego błazna, Jonasa Schwankera.

Trudno powiedzieć, czy uczony, czy też błazen bardziej

zabawiał towarzystwo i którego z nich ich pan cenił więcej; dowcipy obu były jednakowo dobrze przyjmowane.

Konrad uważał, aby się nie zdradzić ze swemi rzeczywistemi uczuciami, lecz starał się robić wrażenie zadowolonego z tego, co słyszał, uśmiechał się i oklaskiwał dowcipy z takim zapałem, napozór przynajmniej, jak sam arcyksiążę. W rzeczywistości zaś uważał tylko, czy nie będzie poruszony temat, któryby sprzyjał jego zamiarom.

Jakoż nie czekał na to długo. Weszło trzech minstreli z harfami; jeden z pośród nich zaśpiewał pieśń, w której porównał arcyksięcia do orła, wzbijającego się w niebiosa.

— Lew wzniósł się wyżej od orła — rzekł niedbale Konrad, gdy pieśniarz zamilkł.

Arcyksiążę zaczerwienił się i utkwił wzrok w margrabiego, podczas gdy pieśniarz odparł:

— Niech Wasza Wysokość mi wybaczy, lecz lew nie może się wznieść ponad orła, gdyż lwy nie mają skrzydeł.

— Z wyjątkiem lwa świętego Marka — dorzucił błazen.

— Nie miałem na myśli lwa weneckiego — rzekł margrabia na Montserrat — lecz trzy lwy angielskie. Dawniej uważano je za lamparty; teraz zamieniły się one w lwy, które zagarnęły pod swoją władzę dzikie zwierzęta, ryby, ptaki, a biada opornym.

— Czy mówisz to poważnie, margrabio? — zapytał arcyksiążę, mocno już rozgrzany winem. — Czy istotnie przypuszczasz, że Ryszard rości sobie prawa do przewagi nad niezależnymi książętami, którzy dobrowolnie przyłączyli się do wyprawy krzyżowej?

— Wiem tylko jedno — odparł Konrad — że na środku obozu powiewa tylko jego chorągiew, tak, jakgdyby on był królem i wodzem całej armji chrześcijańskiej.

— I ty mówisz to cierpliwie i mówisz o tem ze spokojem? — rzekł arcyksiążę.

— Miłościwy Panie — odparł Konrad — skądżebym mógł protestować ja, nic nie znaczący margrabia Montser-

rat, gdy tę zniewagę cierpliwie znoszą tak potężni panowie, jak Filip, król francuski, i Leopold, arcyksiążę austrjacki. Jeśli wy tę hańbę znosicie, to ona mnie nie może zniesławić!

— Ja miałbym podlegać potomkom normandzkich rozbójników, władcy, który panuje nad połową wysepki? Nie, na Boga! Wstawajcie, lennicy i dzielni rycerze, wstawajcie i chodźcie za mną. Nie tracąc ani chwili, pójdziemy wznieść orła austrjackiego tak wysoko, jak nigdy jeszcze nie zawisło godło królewskie czy cesarskie.

Mówiąc to, zerwał się ze swego miejsca i wśród głośnych okrzyków gości i dworzan ruszył ku wyjściu. Chwyciwszy stojącą przed namiotem chorągiew, skierował się pośpiesznie na środkowe wzgórze, gdzie powiewała chorągiew Anglji. Doszedłszy doń, położył rękę na drzewcu.

— Miłościwy Panie — zawołał Jonas Schwanker, otaczając go ramionami — strzeż się, lew ma potężne kły.

— A orzeł ma szpony — odparł arcyksiążę.

— Orzeł jest królem ptaków — rzekł jeden z dworzan — tak, jak lew królem zwierząt. Szlachetny orle, nie ubliżaj królowi zwierząt. Niechaj wasze proporce jeden obok drugiego w zgodzie powiewają na tem wzgórzu.

Leopold cofnął rękę od drzewca chorągwi angielskiej i obejrzał się za Konradem na Montserrat, lecz nigdzie go nie zobaczył. Nie widząc gościa, do którego chciał zwrócić swą przemowę, arcyksiążę powiedział głośno, iż pragnie tylko bronić swych przywilejów i praw równości z królem Anglji; jednocześnie rozkazał przynieść beczkę wina, aby nią uraczyć widzów.

Ta tłumna wyprawa na wzgórze nie obyła się bez wrzawy, która zaalarmowała cały obóz.

Tymczasem nadeszła przełomowa chwila, w której wedle zapowiedzi lekarza można było bezpiecznie przebudzić królewskiego pacjenta. Lekarz po krótkich oględzinach zapewnił barona de Vaux, że gorączka opuściła monarchę

zupełnie i że dzięki silnej jego naturze nie będzie nawet potrzeba, tak, jak się to zazwyczaj czyni, powtórzyć dawki tego skutecznego leku. Ryszard zapytał barona, wiele jest pieniędzy w królewskiej szkatule.

— Wielki monarcho, — rzekł, usłyszawszy to, wschodni medyk — boski ten lek, wymieniony na złoto czy diamenty, traci swą moc.

— Muszę ci być posłuszny, Hakimie — rzekł król. — Piersi moje oddychają swobodnie: po tylu dniach przestał je wreszcie palić ten trawiący ogień, teraz marzę tylko o chwili, kiedy będę je mógł nadstawić w walce z dzielnym przeciwnikiem. Lecz posłuchajcie! Co znaczą te krzyki i muzyka w obozie? Idź, Tomaszu, i dowiedz się, co się stało?

De Vaux, powróciwszy po chwili nieobecności, oznajmił

— Arcyksiążę Leopold ze swymi towarzyszami od kufla urządza w obozie jakąś procesję.

— Czyż ten bezwstydny opój — zawołał król — nie może ukrywać swych wybryków pijaństwa pod namiotem, zamiast gorszyć niemi całe chrześcijańskie rycerstwo? Co sądzisz o tem, margrabio — dodał, zwracając się do Konrada na Montserrat, wchodzącego w tej chwili do namiotu.

— To, co czyni arcyksiążę, — odparł Konrad — nie ma zazwyczaj najmniejszego znaczenia nawet dla niego samego, gdyż zapewne nie wie najczęściej, co robi, ale, prawdę powiedziawszy, nie chciałbym brać udziału w dzisiejszej jego zabawie, gdy na wzgórzu świętego Jerzego, w samym środku obozu, zdziera chorągiew Anglji, aby swoją własną umieścić na jej miejscu.

— Co mówisz? — zapytał król podniesionym głosem.

— Niech się Wasza Miłość nie irytuje szaleństwami warjata — rzekł margrabia.

— Nie mówcie do mnie — zawołał Ryszard i, schwyciwszy miecz, oparty o filar namiotu, sam, nie wzywając nikogo ze świty, bez innej broni, wybiegł z namiotu.

Baron de Vaux, zwracając się do koniuszego królewskiego, rzekł mu szybko:

— Biegnij do kwatery lorda Salisbury, niech zbierze swych ludzi i natychmiast podąży za mną na wzgórza świętego Jerzego.

Koniuszy i inni dworzanie rozbiegli się do sąsiadujących namiotów i zaalarmowali całe angielskie rycerstwo. Trąbki brzmiały głośno, przenikliwie, przeciągle. Okrzyk wojenny: „Łuki i topory — łuki i topory!“ brzmiał od kwatery do kwatery, powtarzany wielokrotnie; rycerze, zawsze gotowi do walki, odpowiadali nań narodowem wezwaniem: „Święty Jerzy, broń Anglji!“.

Zaalarmowane zostały sąsiednie części obozu; gromadzili się rycerze, wśród których prawie każdy chrześcijański naród miał swego przedstawiciela; wszyscy chwytali za broń wśród ogólnego zamieszania, którego przyczyny nikt nie umiał wskazać.

Tymczasem Ryszard z mieczem w dłoni biegł szybko w kierunku wzgórza św. Jerzego; towarzyszył mu tylko de Vaux i paru dworzan.

Lecz pośpiesznie biegnącego króla zauważył rycerz Lamparta, a widząc, że niebezpieczeństwo jest bliskie, porwał swą tarczę i miecz i dogonił barona de Vaux, który z trudnością podążał za swym niecierpliwym i porywczym panem.

Król wkrótce dobiegł do podnóża pagórka św. Jerzego, którego zbocza i sam szczyt zajęte były przez świtę arcyksiążęcą, witającą wybuchami radości zatknięcie sztandaru austrjackiego. Ryszard z trudnością przedarł się przez ten hałaśliwy tłum.

— Kto się ośmielił zawiesić ten nędzny łachman obok proporca Anglji? — zapytał głosem, brzmiącym jak grzmot, poprzedzający trzęsienie ziemi, i położył dłoń na chorągwi austrjackiej.

— Ja, Leopold austrjacki — odparł arcyksiążę głosem, jak mógł najbardziej stanowczym.

— Zaraz też ujrzy Leopold austrjacki, jak jego chorągiew ceni Ryszard, król Anglji! — zawołał Ryszard i wyrwał z ziemi drzewce chorągwi, połamał na kawałki, a rzuciwszy chorągiew na ziemię, postawił na niej swą stopę.

— Depcę proporzec Austrji! Zali się znajdzie wśród rycerstwa teutońskiego choć jeden, który się ośmieli wystąpić przeciwko mnie?

— Ja... Ja... Ja... — rozległy się głosy wśród świty arcyksiążęcej, a i sam Leopold dołączył się do tych, którzy przyjęli wyzwanie królewskie.

— Dlaczego zwlekamy? — zapytał hrabia Wallenrod, ogromny rycerz z pogranicza Węgier. — Bracia, ten człowiek depce honor naszej ojczyzny. Brońmy jej od hańby i precz z dumną Anglją!

Mówiąc to, wyciągnął swój miecz i zadał cios królowi, który mógłby być śmiertelny, gdyby Szkot nie był zasłonił Ryszarda tarczą.

— Przysięgłem — rzekł król Ryszard — nie walczyć nigdy z rycerzami, noszącymi na ramieniu znak krzyża św., a więc żyj, Wallenrodzie, lecz popamiętasz Ryszarda angielskiego!

Z temi słowami objął ogromnego Węgra wpół i przerzucił go nietylko poprzez koło widzów, lecz nawet poprzez szczyt pagórka. Ten dowód nadnaturalnej prawie siły nie zachęcił arcyksięcia i jego dworzan do ponownego wyzwania króla do walki. Ci, którzy stali dalej, wołali:

— Zarąbać tego angielskiego brytana!

Bliżej stojący uspokajali ich słowami:

— Pokój! Pokój! Pamiętajcie o świętym grobie!

Ryszard, trzymając wciąż nogę na chorągwi arcyksiążęcej, rozglądał się wokoło. De Vaux i rycerz Lamparta stali tuż obok niego, a Salisbury ze swymi towarzyszami nadciągali z podniesionemi wgórę toporami i berdyszami i z naciągniętemi łukami.

W tej chwili król Filip w towarzystwie paru panów

przybył na wzgórze, aby się dowiedzieć o przyczynie zamieszki.

Filipa możnaby nazwać Ulissesem wyprawy krzyżowej tak, jak Ryszard był bezwątpienia jej Achillesem. Król Francji bystry, mądry, rozważny w radzie, pełen godności królewskiej i odwagi osobistej, był raczej politykiem niż rycerzem. W innych okolicznościach, czy w spokojniejszych czasach zapewne przewyższyłby sławą awanturniczego Ryszarda; lecz w czasie krzyżowej wyprawy zdrowy rozum był cnotą najmniej cenioną.

— Co znaczą te niesnaski między braćmi krzyżowymi, jego królewską mością, królem Anglji, a arcyksięciem Leopoldem? Czyż to możliwe, aby ci dwaj książęta, wodzowie i filary świętej wyprawy...

— Przerwij swe wymówki, Francuzie — rzekł Ryszard, który wrzał od pragnienia zemsty i wewnętrznego oburzenia, że go stawiają narówni z Leopoldem. — Ten arcyksiążę, ten filar, jak go nazwałeś, postąpił sobie zuchwale, więc go ukarałem, ot i wszystko! Kopnąłem psa, zbyt wiele o to hałasu!

— Miłościwy Panie, królu Francji — rzekł arcyksiążę. — Odwołuję się do Waszej Królewskiej Mości i do wszystkich panujących książąt przeciw niegodnym zniewagom, które musiałem znieść od króla Anglji. Zerwał moją chorągiew, podarł ją i podeptał!

— Ośmielił się ją powiesić obok chorągwi Anglji — rzekł Ryszard.

— Stanowisko moje, równe twojemu, upoważnia mnie do tego — odparł arcyksiążę, ośmielony obecnością Filipa.

— Jeżeli chcesz się upominać o prawa równości, to, na św. Jerzego, postąpię z tobą, jak postąpiłem z tym oto haftowanym gałganem.

Arcyksiążę odparł ponuro, że przedstawi tę sprawę najwyższej radzie Krzyżowców; postanowienie to spotkało się z uznaniem Filipa, który miał nadzieję, że w ten sposób

łatwiej załagodzi się zatarg tak szkodliwy dla wyprawy krzyżowej.

Ryszard niedbale przysłuchiwał się przemowie Filipa, a gdy ten wreszcie skończył, rzekł głośno:

— Czuję się senny, dokucza mi jeszcze gorączka. Mój bracie Filipie, znasz moje usposobienie i wiesz, że nie lubię tracić słów napróżno; powiem ci odrazu, iż honoru Anglji nie powierzę nikomu, ani księciu, ani papieżowi, ani żadnej radzie. Oto moja chorągiew, ktokolwiek ośmieliłby się zatknąć swój proporzec bliżej od niej niż o 3 sążnie, gdyby to nawet był proporzec Francji, postąpię z nim tak, jak z tym zhańbionym łachmanem!

Filip odparł spokojnie na tę ubliżającą zaczepkę:

— Rozstaję się z mym bratem Ryszardem po bratersku. Lilje Francji mogą się jedynie współubiegać ze lwami Anglji o to, które z nich wedrą się dalej w szeregi nieprzyjaciół.

— Może wkrótce, mój królewski bracie, będziemy mieli sposobność rozstrzygnąć ten rycerski zakład. Nie mogę — ciągnął dalej Ryszard — pozostawić tej chorągwi przez noc bez straży; we dnie sam widok lwów będzie jej bronił. Pójdź, Tomaszu de Vaux, tobie powierzę honor Anglji.

— Bezpieczeństwo Anglji jest dla mnie droższe od jej honoru — odparł de Vaux — a życie Ryszarda zapewnia jej to bezpieczeństwo. Muszę odprowadzić Waszą Miłość do jego namiotu.

— Jesteś szorstką i stanowczą pielęgniarką, Tomaszu — rzekł król, uśmiechając się i dodał, zwracając się do Kennetha:

— Dzielny rycerzu, zawdzięczam ci wiele, więc wynagrodzę cię hojnie. Oto chorągiew Anglji. Strzeż jej, jak giermek strzeże swej zbroi w nocy, która poprzedza pasowanie go na rycerza. Nie odstępuj jej dalej, jak na trzy długości kopji, i broń jej od krzywdy czy obrazy. Zali się tego podejmiesz?

— Z radością — rzekł Kenneth — odpowiem moją głową za nietykalność proporca Anglji. Pójdę się tylko uzbroić i wrócę tu natychmiast.

— Widzisz — rzekł na stronie margrabia do wielkiego mistrza. — Rozluźniłem więzy, łączące te miecze i lance; wkrótce ujrzymy, jak się rozpadną.

XII. NA STRAŻY SZTANDARU.

Była już północ i księżyc wędrował wysoko po jasnem niebie, gdy Kenneth, rycerz szkocki, stał na straży chorągwi angielskiej na wzgórzu świętego Jerzego. Samotnie strzegł godła narodowego od zniewag, które knuli może liczni wrogowie, jakich Ryszard przysporzył sobie swą dumą.

Cała natura spała spokojnie w księżycowem świetle lub w głębokich cieniach. Długie szeregi namiotów, spokojne i ciche, jak ulice opuszczonego miasta, połyskiwały lub ciemniały zależnie od tego, czy leżały w świetle księżycowem czy też w mroku. Obok drzewca chorągwi leżał ogar, jedyny towarzysz Kennetha; rycerz liczył na niego, że go zawczasu ostrzeże o zbliżającym się wrogu.

Wtem dzielny pies zaszczekał gwałtownie i rzucił się tam, gdzie panował najgłębszy mrok, zatrzymał się jednak, czekając na rozkaz pana.

— Kto idzie? — zapytał rycerz, czując, że się ktoś skrada po zacienionej stronie pagórka.

— W imię Merlina i Maugisa — rozległ się nieprzyjemny, zachrypnięty głos — przytrzymaj tego czworonogiego demona, bo nie będę mógł się dostać do ciebie.

— A kto ośmiela się zbliżać do mej placówki? — rzekł sir Kenneth i wlepił oczy w postać, znajdującą się u stóp pagórka, nie mógł jednak rozróżnić jej kształtów. — Strzeż się, jestem gotów na wszystko!

— Powstrzymaj tego szatana, bo go poczęstuję pociskiem.

Jednocześnie rozległ się odgłos naciąganej kuszy.

— Przestań naciągać broń i wyjdź z cienia — rzekł Szkot — bo przygwożdżę cię włócznią do ziemi.

Lecz zawstydził się swych słów i spuścił broń, gdy w świetle księżyca ukazał się, jak aktor, wychodzący na scenę, potworny, mały człowieczek; nawet z tej odległości rycerz poznał po dziwacznym ubiorze i postaci jednego z karłów, których widział w kaplicy engaddyjskiej.

Ta karykatura człowieka zapytała ostrym i gniewnym tonem:

— Rycerzu, czemu nie oddajesz czci należnej Nektabanusowi? Bo czyż to możliwe, żebyś go nie poznał?

— Dostojny Nektabanusie — odparł rycerz, pragnąc ułagodzić złośliwą istotę — ktokolwiek cię raz widział, nie może cię zapomnieć.

— Przebaczę ci — rzekł Nektabanus — o ile natychmiast podążysz za mną tam, gdzie cię oczekują.

— Dostojny panie — odparł rycerz — niestety, nie mogę ci być posłuszny, gdyż mam rozkaz pilnowania chorągwi, aż do świtu, wybacz mi więc po raz wtóry.

— Spójrz — rzekł karzeł — i albo poznasz ten pierścień i posłuchasz rozkazu tej, która raczyła go wydać, lub też wyprzesz się go i będziesz jej nieposłuszny.

Mówiąc to, położył mu na dłoni pierścień z rubinem; który przy słabem nawet świetle księżyca rycerz poznał. Nosiła go zawsze na palcu szlachetnie urodzona dama jego serca.

Sir Kenneth oniemiał ze zdziwienia.

— W imię wszystkiego, co jest ci najświętsze, powiedz, skąd masz ten pierścień? — zapytał rycerz.

— Nierozważny i nieostrożny rycerzu — rzekł karzeł. — Nie wolno mi się wdawać z tobą w rozmowy. Mam ci tylko rozkazać w imię tego oto pierścienia, abyś poszedł za mną do tej, która mi ten pierścień doręczyła. Zgrzeszysz przeciw posłuszeństwu, zwlekając choćby przez chwilę.

— Zacny Nektabanusie, zastanów się — rzekł rycerz —

zali pani mego serca wie, jakie mam tej nocy zobowiązania? Zali wie, że mój honor i moje życie zawisły od wiernego strażowania aż do świtu przy tym oto proporcu?

— Nic mnie to nie obchodzi, czy dotrzymasz wiary swej pani, czy też ją zdradzisz — odparł Nektabanus, odwracając się, jakgdyby miał zamiar opuścić wzgórze. — Żegnaj mi.

Rycerz wpatrywał się w pierścień, jakby się chciał przekonać, czy nie jest fałszywy, i rzekł, zwracając się do karła:

— Powiedz mi, czy moja nieobecność potrwałaby długo?

— Czy długo? — powtórzył z żywością Nektabanus. — To zależy, co uważasz za długi przeciąg czasu. Czyż nie wiesz, że czas rycerza oblicza się wedle jego zasług względem Boga i pani jego serca?

— I z takich ust można czasem usłyszeć słowa prawdy — rzekł rycerz. — Czy rzeczywiście moja pani wzywa mnie i czy nie możnaby tego odłożyć do świtu?

— Posłuchaj więc, zimny niedowiarku — rzekł karzeł — oto jej własne słowa: „Powiedz mu, że dłoń, która rzuciła róże, rozdaje też wawrzyny".

Aluzja ta do spotkania w Engaddi obudziła tysiączne wspomnienia w umyśle Szkota i przekonała go o prawdziwości słów karła.

— Oddaj mi pierścień! Oddaj mi pierścień, obłudny i gnuśny rycerzu, oddaj mi pierścień, niegodny jesteś go dotykać, nawet patrzeć na niego.

— Powstrzymaj się chwilę, mój dobry Nektabanusie — odparł sir Kenneth. — Zaklinam cię raz jeszcze, abyś mi powiedział, czy daleko masz mnie stąd zaprowadzić?

— Do namiotu tuż obok, odparł Nektabanus. — Na jego dachu lśni w świetle księżyca złocona kula.

— Za chwilę będę zpowrotem — pomyślał rycerz, zamykając oczy na dalsze skutki swego czynu. — Gdyby się ktoś zbliżał do chorągwi, usłyszę stamtąd szczekanie psa; rzucę się do nóg mojej pani i będę ją błagał, aby mi pozwoliła powrócić na mą placówkę. Rozwal, pójdź tu — za-

wołał na psa i, rzuciwszy płaszcz na ziemię koło drzewca chorągwi, dodał: — Pilnuj i nie daj się nikomu zbliżyć.

Pies patrzył na pana, jakgdyby się chciał upewnić, że dobrze rozumie polecenie, potem usiadł obok płaszcza z nastawionemi uszami i głową wzniesioną do góry, jak strażnik, który doskonale wie, czego od niego żądają.

— Chodźmy teraz, Nektabanusie — rzekł rycerz — śpieszmy na rozkaz mej pani.

— Śpiesz się sam, jeśli chcesz — rzekł karzeł ponuro — nie śpieszno było ci posłuchać mego wezwania, teraz ja nie mogę nadążyć za tobą, pędzisz, jak struś na pustyni.

Sir Kenneth podniósł karła z ziemi i podążył z nim, nie zwracając uwagi na jego prośby i przerażenie, do namiotu królowej. Gdy się tam znaleźli, karzeł uniósł brzeg płótna i skinął na rycerza, aby sam wsunął się do środka.

XIII. W NAMIOCIE KRÓLOWEJ.

Sir Kenneth pozostał sam w ciemnościach, nie mogąc dojrzeć, dokąd go wprowadzono, i pragnął wycofać się niepostrzeżenie. Wtem usłyszał w przyległej części namiotu rozmowę, która go nadzwyczajnie zajęła.

— Lecz powiedzcie mi, moje dziewczęta, w jaki sposób pozbędziemy się rycerza, którego Nektabanus tu zwabił?

— Miłościwa Pani — odezwał się inny głos — słusznem jest, aby zwolniła go księżna Ginewra, gdy zwabił go tu sprytny jej małżonek.

Wstyd i oburzenie przejęły rycerza do głębi serca, gdy to usłyszał, i chciał uciec z namiotu, lecz powstrzymały go następujące słowa, wypowiedziane przez pierwszą osobę.

— Lecz przedtem Edyta powinnaby się dowiedzieć, jak rycerz jej dotrzymuje zobowiązań.

W uczuciu gorzkiego rozczarowania i głębokiej odrazy, jakie zbudziła w jego sercu złośliwość, czy też lekkomyślność królowej Berengarji (gdyż doszedł do przekonania, że

osoba, która mówiła głosem donośnym i rozkazującym, była to żona Ryszarda), pocieszała go tylko myśl, że Edyta nie brała udziału w tym złośliwym figlu.

— Jeśli królowa bierze udział w lekkomyślnym żarcie, który naraża moją sławę i nawet moje życie — pomyślał rycerz — nie może mi wziąć za złe, jeśli, korzystając ze szczęśliwego zbiegu okoliczności, postaram się dowiedzieć o dalszych jej zamiarach.

Tymczasem do sąsiedniej części namiotu weszła Edyta i zdawała się oczekiwać rozkazów królowej, która milczała, obawiając się widocznie, że nie zdoła zapanować nad swoim i swych towarzyszek śmiechem, gdyż sir Kenneth słyszał stłumione chichotanie i śmiechy. Wreszcie Edyta rzekła:

— Wasza Królewska Mość zdaje się być w wesołem usposobieniu, choć tak późna pora usposabia raczej do snu, niż do żartów. Miałam się właśnie położyć na spoczynek, gdy Wasza Miłość rozkazała mi się tu stawić.

— Nie będę cię zatrzymywać długo, moja kuzynko, choć obawiam się, że opuści cię senność, gdy się dowiesz o przegranym zakładzie.

— Wasza Królewska Mość rozwodzi się nad żartem, oddawna już przebrzmiałym — rzekła Edyta. — Wbrew temu, co Wasza Królewska Mość raczy twierdzić, muszę oświadczyć, że się nie zakładałam. Jeśli Wasza Miłość nie ma dla mnie innych poleceń — ciągnęła dalej Edyta tonem pełnej szacunku wymówki, przynajmniej tak się zdawało sir Kennethowi — poproszę, aby mi pozwoliła odejść do mego namiotu.

— Droga kuzynko — rzekła królowa, powróciwszy do swego szyderczego tonu — ty, która jesteś taka dobra, jak możesz nam, biedaczkom, żałować kilku minut wesołości. Trzeba oddać sprawiedliwość twemu rycerzowi, że Nektabanus zdołał go tu sprowadzić dopiero, gdy zawezwał go w twojem imieniu.

— Na Boga! Nie może to być — rzekła Edyta głosem

pełnym niepokoju, zupełnie różnym od poprzedniego jej tonu. — Wspomnij na swój honor i mój, kuzynki twego męża. Powiedz, żeś żartowała i przebacz, żem nawet przez chwilę mogła przypuszczać, iż mówiłaś to poważnie!

— Lady Edyta — rzekła królowa niezadowolonym głosem — żałuje pierścienia, któryśmy od niej wygrali. Oddam ci go, ale musisz nam pozwolić się cieszyć z naszego triumfu nad rozumem, którym nam tak często wykłuwano oczy.

— Miłościwa Pani — odparła zniecierpliwiona Edyta — dałabym korzec rubinów, byleby tylko w mojem imieniu, lub zapomocą mojego pierścienia nie wprowadzano w błąd zacnego człowieka, narażając go na niełaskę i karę.

— Obawiając się o życie swego wiernego rycerza — rzekła królowa — nie doceniasz mej władzy, kuzynko, jeśli przypuszczasz, że żarty moje mogą narazić czyjeś życie. Nietylko ty jedna, Edyto, masz wpływ na rycerzy w żelazo zakutych; nawet lew nie ma serca kamiennego; wierzaj, mnie tak samo, jak i Ryszardowi, zależy na ocaleniu od kary za nieposłuszeństwo rozkazom królewskim rycerza, którego los tak żywo obchodzi Edytę.

— W imię świętego krzyża — rzekła Edyta i sir Kenneth z trudnem do opisania wzruszeniem usłyszał, jak upadła do nóg królowej — w imię Przenajświętszej Panienki i Wszystkich Świętych, błagam cię, zastanów się, co czynisz. Nie znasz jeszcze Ryszarda, niedawno zostałaś jego małżonką. Tak jak oddech twój nie zwalczyłby najsilniejszego wiatru zachodniego, tak samo twe słowa nie zdołają nakłonić króla do przebaczenia winy przeciw karności wojennej. Na Boga, zwolnij rycerza, jeśliś go aż tu zwabiła. Pogodziłabym się z myślą, że został w mojem imieniu wezwany, gdybym wiedziała, że powróci tam, dokąd go wzywa obowiązek. Muszę go zobaczyć i prosić o przebaczenie.

Mówiąc to, ujęła za zasłonę, która zakrywała przejście do drugiej części namiotu.

— Bój się Boga! Wstrzymaj się! — rzekła królowa. — Zważ, że to mój namiot, zważ na nasze stroje, na późną porę! Pamiętaj o moim honorze.

Nim zdążyła dokończyć, zasłona opadła i stanął przed gronem dam rycerz w zbroi. Edyta odstawiła trzymaną w ręku lampę, która rzucała zbyt jaskrawe światło na jej twarz. Sir Kenneth stał bez ruchu na tem samem miejscu. Edyta przybliżyła się i zawołała:

— Śpiesz zpowrotem na swą placówkę, dzielny rycerzu; oszukano cię. Nie pytaj o nic więcej!

— Błagam cię, przebacz mi moją zarozumiałość — rzekł rycerz, klęcząc. — Jakże mogłem przypuszczać, że możesz potrzebować moich skromnych usług.

— Przebaczam ci! Raczej ja nie mam ci nic do wybaczenia! Użyto mego imienia, aby cię zwieść. Idź już, idź! Przebaczę ci, będę cię szanować, jak szanuję wszystkich Krzyżowców, lecz idź już, idź!

— Wprzód pozwól, abym ci doręczył ten drogocenny, choć dla mnie zgubny pierścień — odparł rycerz, podając go zniecierpliwionej Edycie.

— Nie — rzekła, odsuwając rękę — zatrzymaj go sobie jako dowód mego szacunku, raczej może mojego żalu. Lecz idź już, jeśli nie chcesz zgubić siebie i mnie.

Aby się wydostać z namiotu w ten sam sposób, w jaki tam wszedł rycerz, trzeba było dużo czasu i uwagi, Kenneth więc wprost przeciął sztyletem płótno namiotu. Wydostawszy się w ten sposób na dwór, był tak oszołomiony i przejęty różnorodnemi uczuciami, że z trudem zdawał sobie sprawę z tych zdarzeń. Otrząsnął się jednak z zadumy, przypomniawszy słowa Edyty, nakazujące mu pośpiech. Lekka chmurka zakryła księżyc w chwili, gdy opuszczał namiot; musiał więc walczyć z ciemnościami wówczas, gdy oszołomiony i wzruszony zaledwie mógł kierować swemi ruchami.

Lecz nagle dźwięki, które doszły jego uszu w jednej chwili

powróciły mu zwykłą energję. Pochodziły one ze wzgórza świętego Jerzego. Najprzód usłyszał dzikie, wściekłe, a krótkie ujadanie i natychmiast potem jęk konania. Nigdy jeszcze jeleń nie zerwał się z miejsca z taką szybkością na głos Rozwala, jak sir Kenneth. Przypuszczał on bowiem, że był to ostatni przedśmiertny jęk szlachetnego zwierzęcia, które zazwyczaj w milczeniu znosiło cierpienia. Szybko przebiegł przestrzeń, dzielącą go od drogi, a gdy jej dosięgnął, pobiegł ku wzgórzu pomimo ciężkiej zbroi tak szybko, że niewielu ludzi, nawet nieuzbrojonych, mogłoby za nim nadążyć; nie zwolnił kroku na stromych zboczach sztucznego pagórka i w parę minut znalazł się na jego szczycie.

W tej chwili księżyc wypłynął z poza chmur i w jego świetle rycerz ujrzał, że chorągiew angielska zniknęła, drzewce leżało połamane, a obok wierny pies walczył ze śmiercią.

XIV. ŻYCIE CZY HONOR.

Gdy minęły pierwsze chwile bolesnego osłupienia i pomieszania, sir Kenneth pomyślał przedewszystkiem o odnalezieniu rabusiów chorągwi angielskiej, lecz nigdzie nie było ich śladów.

Następną jego troską (może zdziwi ona tych, którzy nie znają przedstawicieli psiej rasy) było zbadanie Rozwala. Zdawał się zapominać o bólu i wyrażał swą radość z obecności pana, machając ogonem i liżąc jego rękę. Te oznaki przywiązania umierającego zwierzęcia dodały jeszcze goryczy do wstydu i rozpaczy, w jakich był pogrążony rycerz. Jedyny jego przyjaciel opuszczał go w chwili, gdy zasłużył sobie u wszystkich na wzgardę i nienawiść. Rycerz dał upust swej rozpaczy głośnem szlochaniem i jękami.

Gdy tak folgował swemu zmartwieniu, usłyszał tuż obok siebie dźwięczny i uroczysty głos, który w *lingua franca*,

zrozumiałej dla chrześcijan i Saracenów, wyrzekł te oto słowa:

— Przeciwności są jak deszczowa pora roku: zimna, nieprzyjemna i niesprzyjająca ludziom i zwierzętom, lecz w czasie której rozkwitają kwiaty i dojrzewają owoce, róże, daktyle i granaty.

Sir Kenneth zwrócił się w stronę mówiącego i ujrzał arabskiego lekarza, który, zbliżywszy się niepostrzeżenie, usiadł za nim w niewielkiej odległości ze skrzyżowanemi nogami i wymawiał z powagą, ale i z życzliwością te słowa pociechy, zaczerpnięte z Koranu.

Rycerz, zawstydzony, że podpatrzono kobiecy wybuch jego żalu, otarł łzy i zajął się swym konającym ulubieńcem.

— Czy dłoń lekarza przy opatrywaniu ran nie byłaby odpowiedniejsza od ręki żołnierza? — rzekł Maur.

— Nie uratujesz już pewnie tego pacjenta, Hakimie — rzekł sir Kenneth — a w dodatku wedle waszego prawa jest on zwierzęciem nieczystem.

— Gdy Allach raczył obdarzyć jaką istotę życiem i dozwolił jej odczuwać cierpienia i radość — rzekł lekarz — byłoby grzechem dla mędrca, którego Bóg oświecił, nie spróbować przedłużyć tego istnienia lub ulżyć konaniu. Pozwól mi obejrzeć zacne to zwierzę.

Sir Kenneth zgodził się w milczeniu; lekarz oglądał i dotykał się rany z największą ostrożnością i uwagą, jakgdyby miał do czynienia z istotą ludzką. Potem wyjął ze szkatułki z instrumentami szczypczyki, zapomocą których wydostał ostrożnie i zręcznie ze zranionego karku ułamek żelaza, następnie zatamował krew, płynącą z rany, i zabandażował ją. Pies znosił ten opatrunek cierpliwie, jakgdyby zdawał sobie sprawę z dobrodziejstwa, które mu lekarz czynił.

— Mogę tego psa wyleczyć — rzekł El Hakim, zwracając się do rycerza — jeśli pozwolisz mi go zabrać ze sobą do namiotu, będę dbał o niego, jak na to zasługuje szlachetna jego natura.

— Żabierz go — rzekł rycerz — jeśli go wyleczysz, możesz go sobie zatrzymać. Powinienem cię wynagrodzić za wyleczenie mego giermka, a nie mam czem. Co do mnie, nigdy już nie zadmę w róg myśliwski, ani nie poszczuję ogarów.

Maur nic na to nie odrzekł, tylko klasnął w dłonie, na ten znak ukazali się dwaj czarni niewolnicy. Wydał im rozkaz po arabsku, na który odpowiedzieli mu: „że wysłuchany rozkaz jest już wykonany“, i odeszli, zabrawszy na ręce psa bez wielkiego z jego strony oporu, gdyż był za słaby, aby się bronić, choć błagalnie wlepiał oczy w swego pana.

— Żegnaj mi, Rozwalu — rzekł sir Kenneth — żegnaj mi, mój jedyny, ostatni przyjacielu, nie jestem godny posiadać tak szlachetne zwierzę.

A gdy się już niewolnicy oddalili, mówił dalej:

— Chciałbym zamienić mą dolę na los konającego Rozwala. Pies, który umiera, wypełniwszy swój obowiązek, więcej jest wart do człowieka, który, nie wypełniwszy go, żyje. Pozostaw mnie samego, Hakimie! Posiadasz wiedzę najbardziej cudowną z pośród wszystkich nauk, lecz nie zdołasz uleczyć mej duszy.

— Może mógłbym ją wyleczyć, jeśli chory opowie mi swe nieszczęścia i da się pokierować — odparł Adonbek El Hakim.

— Jeśli tak nalegasz, opowiem ci moje nieszczęścia: wczoraj wieczorem na tem oto wzgórzu powiewała chorągiew Anglji, a ja stałem na jej straży; teraz dzień świta, a tutaj oto leżą szczątki drzewca, chorągiew zniknęła, a ja żyję!

— Jakto? — spytał się El Hakim, przyglądając mu się bacznie. — Twoja zbroja cała, broń nie zakrwawiona, a wieść głosi, że w ten sposób nigdy nie powracasz z bitwy. Uprowadzono cię zapewne z placówki?

— A jeśliby tak było — rzekł sir Kenneth ponuro — jaką mi dasz radę?

— Wiedza jest matką potęgi — rzekł El Hakim — tak jak męstwo zastępuje siłę. Posłuchaj mnie. Człowiek to nie drzewo, wrośnięte korzeniami w ziemię, nie jest on też przyrośnięty do nagiej skały, jak skorupiak. Wasze święte księgi nakazują wam, chrześcijanom, gdy was prześladują w jednem mieście, uciekać do drugiego; my zaś, mahometanie, wiemy, że, gdy Mahometa wypędzono z Mekki, znalazł schronienie i pomoc w Medynie.

— Co to ma za związek z moją sprawą? — spytał rycerz.

— Zaraz się dowiesz — odparł lekarz. — Mędrzec unika burzy, nad którą nie może zapanować. Uciekaj więc pośpiesznie i schroń się przed zemstą Ryszarda w cieniu zwycięskich chorągwi Saladyna.

— Wolałbym, aby mi twarz poczerniała — odparł rycerz.

— Nie jesteś rozsądny, Nazareńczyku — rzekł El Hakim. — Nie odtrącaj życzliwej rady; mam wielki wpływ na Saladyna i mogę ci zaskarbić jego łaski. Niepewne są losy wyprawy krzyżowej. Zawiozłeś propozycje pokoju Saladynowi od rady książąt, ale może nawet nie wiesz, jaka była treść twego posłannictwa.

— Nie wiem i nie dbam o to — rzekł z niecierpliwością rycerz — i cóż z tego, że byłem niedawno posłem książąt i królów, kiedy dziś wieczór jeszcze będę zniesławionym wisielcem?

— Możesz uniknąć tego losu — rzekł lekarz — król królów chce się układać jedynie z Lwem królewskim: Saladyn dotrzyma tylko umowy z melechem* Ryszardem i z nim tylko będzie prowadził układy lub walczył jak z godnym siebie przeciwnikiem. Dla Ryszarda zgodzi się on z dobrej woli na takie warunki, jakichby nie wywalczyli siłą czy strachem najodważniejsi rycerze Europy. Powiem ci wiadomość bardziej jeszcze dziwną i niewiarogodną; sądzę, że mogę, ufając twemu honorowi, powierzyć ci tę tajemnicę. Saladyn, chcąc przypieczętować przymierze między najszlachetniejszymi i najodważniejszymi rycerzami

Azji i Frankistanu, ma zamiar pojąć za małżonkę chrześcijańską dziewicę, Edytę Plantagenet, spokrewnioną z królem Ryszardem.

— Ha! Co mówisz? — zawołał sir Kenneth.

Potem zapanowawszy nad sobą, stłumił swe oburzenie i, ukrywszy je pod pozorami wzgardliwego powątpiewania, mówił dalej ze spokojem:

— Gdzie znajdzie się kapłan, który pobłogosławi związek między chrześcijańską dziewicą, a niewiernym Saracenem?

— Czy nie słyszałeś, że małżeństwa między mahometańskimi książętami, a szlachetnie urodzonemi chrześcijańskiemi dziewicami są w Hiszpanji na porządku dziennym i nikt się tem nie gorszy? — rzekł Hakim. — Szlachetny sułtan, ufając całkowicie chrześcijańskiej dziewicy, pochodzącej z zacnego rodu Ryszarda, obdarzy ją swobodą, do której przyzwyczaiły ją frankońskie obyczaje.

— Co słyszę? — rzekł sir Kenneth. — Czyżbyś się ośmielał przypuszczać, że Ryszard zezwoli, aby jego krewniaczka, szlachetnie urodzona i cnotliwa księżniczka, została w najlepszym razie pierwszą wśród żon w haremie poganina? Wierzaj mi, Hakimie, najuboższy z pośród naszych rycerzy odrzuciłby ze wzgardą taki haniebny związek dla swej córki.

— Mylisz się — rzekł Hakim. — Filip, król Francji, Henryk, władca Szampanji, i inni najmożniejsi z pośród sprzymierzeńców Ryszarda wysłuchali ze spokojem tej propozycji i obiecali w miarę możności popierać związek, któryby zakończył bezskuteczną tę wojnę, a światły arcybiskup Tyru podjął się przedstawić całą sprawę Ryszardowi, nie wątpiąc w powodzenie tego planu. A więc wstawaj, rycerzu, i siadaj na konia. Dam ci polecające pismo do Saladyna, nie sądź jednak, że porzucisz na zawsze swą ojczyznę i wiarę: wkrótce obaj monarchowie będą mieli wspólne cele. Dla Saladyna cenne będą twe wskazówki, dotyczące małżeń-

skich obyczajów chrześcijan, ich sposobów postępowania z kobietami i innych ważnych zwyczajów i praw, których znajomość okaże mu się potrzebna w czasie zawierania układów. Wstawaj więc i ruszaj, otwiera się przed tobą nowa droga.

— Hakimie, przez wdzięczność dla twej dobroci radzę ci, abyś tego, który ma zaproponować związek małżeński między dziewicą z rodu Plantagenetów, a przedstawicielem waszej przeklętej rasy zaopatrzył w hełm tak mocny, aby mógł wytrzymać uderzenie topora równie potężne, jak to, które rozwaliło bramę w Acre (Akr). Jeśliby go ten cios dosięgnął, ręczę, że nawet twa wiedza nie zdołałaby go uratować.

— A więc stanowczo nie chcesz schronić się do obozu Saracenów? — zapytał lekarz. — Lecz pomnij, że pozostając tu, narażasz się na pewną śmierć, a wasze boskie prawa tak samo, jak i nasze, zabraniają nam skracać sobie dni naszego żywota.

— Niech Bóg mnie od tego zachowa — odparł Szkot, żegnając się — lecz nie wolno nam także unikać zasłużonej kary. Żałuję wobec twych poglądów na wierność, że ci dałem mego poczciwego psa, gdyż, o ile wyżyje, nie będzie dostatecznie ceniony przez swego pana.

— Jeśli kto żałuje daru, to tak, jakby zażądał jego zwrotu — rzekł El Hakim — tylko, że nam, lekarzom, nie wolno jest odsyłać niewyleczonych pacjentów. Jeśli pies wyzdrowieje, stanie się znów twą własnością.

— Odejdź już, Hakimie — odparł sir Kenneth. — Człowiek, któremu za godzinę grozi śmierć, nie powinien gawędzić o psach i sokołach. Pozwól mi przypomnieć sobie grzechy i pogodzić się z Bogiem.

— Nie będę już dłużej zwalczał twego uporu — rzekł lekarz. — Mgła zakrywa przepaść przed tym, któremu sądzone jest, aby w nią runął.

Kenneth przypomniał sobie teraz wiele rzeczy, które za-

szły między nim samym, a pustelnikiem, i wiele takich, które zauważył w stosunkach między anachoretą a Szerkofem, inaczej zwanym Ilderimem; potwierdzały one to, co mu Hakim powiedział o tajnych układach.

— Co za bogobojny oszust! — zawołał do siebie. — Co za zgrzybiały obłudnik! Wspominał coś o mężu poganinie, nawróconym przez wierzącą żonę, i, kto wie, czy ten zdrajca nie ukazał księżniczki Edyty tym przeklętym Saracenom, aby te psy niewierne mogły ocenić, czy chrześcijańska dziewica godna jest pogańskiego haremu. Gdybym tego niewiernego Ilderima, czy jak go tam zwą, trzymał znów w garści, jak wówczas przy źródle, nigdyby już nie posłował w sprawie tak ubliżającej dla chrześcijańskiego monarchy i cnotliwej dziewicy.

Chwilę stał w milczeniu, wreszcie, zdjąwszy hełm, zeszedł ze wzgórka i skierował się do namiotu króla Ryszarda.

XV. GOTÓW NA ŚMIERĆ.

O świcie de Vaux, drzemiący przy łożu króla Ryszarda, posłyszał ciężki krok uzbrojonego rycerza, zbliżającego się do namiotu i zanim zdążył, zerwawszy się, zapytać „kto idzie?“ rycerz Śpiącego Lamparta wszedł do środka.

— Jak śmiesz tu wchodzić, panie rycerzu? — rzekł de Vaux głosem surowym, lecz przytłumionym.

— Zaczekaj, Tomaszu — przerwał mu Ryszard, który zbudził się w tej samej chwili.

Poczem, oparłszy się na łokciu, wlepił w rycerza wielkie błyszczące oczy i spytał:

— Mów, panie Szkocie, przychodzisz mi zdać sprawę, że powinność swą wypełniłeś wiernie i zaszczytnie? Szum chorągwi Anglji zapewne wystarczył, aby ją przed napaścią obronić, nawet gdyby nie stał na jej straży tak sławny rycerz.

— Utraciłem już mą sławę — rzekł sir Kenneth. — Obowiązku mego nie wypełniłem i chorągiew Anglji została porwana!

— A ty żyjesz? — zawołał Ryszard. — To nie może być! Nie jesteś nawet ranny. Czemu nic nie mówisz? Mów prawdę! Jak możesz tak żartować z monarchy? Ale wybaczę ci to kłamstwo...

— Gdybyż to było kłamstwo, o Panie! — odparł z głęboką rozpaczą nieszczęsny rycerz. — Lecz i to muszę przecierpieć. Powiedziałem prawdę!

— De Vaux — rzekł król — idź, spojrzyj na wzgórze. Widocznie gorączka zaćmiła mu umysł. To nie może być! Odwaga jego jest wypróbowana. To nie mogło się stać. Śpiesz się, lub poślij kogo, jeśli nie chcesz pójść sam.

Przerwał królowi Henryk Neville (Newil), który wpadł do namiotu zadyszany z wieścią, że chorągiew zniknęła, niema też rycerza, który stał na jej straży; prawdopodobnie został zamordowany, gdyż obok szczątków drzewca chorągwi widać kałużę krwi.

— Lecz kogóż tu widzę? — rzekł Neville, spostrzegłszy nagle sir Kennetha.

— Zdrajcę, widzisz tu zdrajcę, który za chwilę umrze śmiercią haniebną, na jaką zasłużył — zawołał król i schwyciwszy za czekan, leżący zawsze obok łoża, zamierzył się nim na rycerza.

Blady i bez ruchu, jak posąg marmurowy, Szkot stał przed nim z gołą głową, z oczami spuszczonemi, poruszając zlekka ustami, może modląc się zcicha.

Naprzeciw niego stał król Ryszard z bronią, wzniesioną do góry, po chwili spuścił czekan i zawołał:

— Lecz Neville powiada, że jest krew na wzgórzu. Posłuchaj, Szkocie, wiem, żeś był odważny, bo widziałem nieraz, jak walczyłeś. Powiedz, żeś zamordował dwóch z pośród rabusiów chorągwi, powiedz, żeś zamordował w jej obronie

jednego, powiedz, żeś zadał w jej obronie jeden cios, a puszczę cię z obozu żywego, choć zhańbionego.

— Nazwałeś mnie kłamcą i tem mnie skrzywdziłeś — odparł ze stanowczością Kenneth. — Nie polała się krew w obronie chorągwi Anglji, jedynie ranny był pies, który, wierniejszy od swego pana, bronił opuszczonej przez niego placówki.

— Zginąłeś! — zawołał Ryszard, wznosząc znów czekan do góry.

Lecz de Vaux rzucił się między króla a jego ofiarę i zawołał ze zwykłą sobie nieustraszoną szczerością:

— Panie mój, nie czyń tego teraz, nie czyń tego swoją własną dłonią. Dość już popełniłeś szaleństw przez ostatnią dobę: powierzyłeś straż nad twą chorągwią Szkotowi. Zawsze ostrzegałem cię, że Szkoci są fałszywi i podli.

— I miałeś słuszność, de Vaux, przyznaję ci — rzekł Ryszard. — Nie powinienem mu był tak wierzyć.

— Miłościwy Panie — rzekł Kenneth — nie proszę cię o darowanie mi życia. Lecz czy umrę natychmiast, czy też za pół godziny, proszę cię, Miłościwy Panie, wysłuchaj mnie wpierw, gdyż chcę ci powierzyć tajemnicę, tyczącą się twej sławy chrześcijańskiego monarchy.

— Mów — rzekł król, nie wątpiąc, że usłyszy, w jaki sposób zaginęła chorągiew.

— To, co mam do powiedzenia Waszej Królewskiej Mości, dotyczy tylko władcy Anglji i może być tylko przez niego wysłuchane.

— Odejdźcie, panowie — rzekł do Neville'a i lorda de Vaux.

Pierwszy z nich usłuchał, lecz drugi nie chciał opuścić króla.

— Nic nie szkodzi — rzekł rycerz — nie szukam wymówki dla zyskania na czasie, będę więc mówić w obecności lorda de Vaux. Jest to pan odważny i szlachetny.

— Przed pół godziną — rzekł de Vaux z westchnie-

niem, wyrażającym smutek i niezadowolenie — to samo powiedziałem o tobie.

— Miłościwy Panie — rzekł Szkot — prowadzone są tajne układy dla przeprowadzenia planu, któryby zniesławił twój królewski ród, oddając księżniczkę Edytę na małżonkę Saladynowi, władcy saraceńskiemu. Zapomocą tego sromotnego związku zawartoby hańbiący dla chrześcijaństwa pokój.

Wiadomość ta miała wprost przeciwny skutek, niż spodziewał się Kenneth. Rady, czy wiadomości nie czyniły na Ryszardzie wrażenia wedle ich istotnej doniosłości, lecz wedle tego, jak cenił charakter i zapatrywanie tych, którzy mu je przynosili. Niestety, imię jego krewniaczki przypomniało mu o uczuciu rycerza do niej. Uważał uczucie to za najwyższą zarozumiałość, mimo że rycerz Lamparta był jednym z pierwszych w szeregach rycerstwa, w obecnej sytuacji było ono poprostu obelgą, która mogła doprowadzić porywczego monarchę do wściekłości.

— Milcz! Podły i nikczemny! — zawołał. — Na Boga, chciałbym ci wydrzeć gorącemi szczypcami ten język, którym ośmielasz się wspominać imię szlachetnej dziewicy. Co cię to może obchodzić, czy poślubi Saracena czy chrześcijanina? Co cię to może obchodzić? Jeżeli w obozie książęta stają się we dnie tchórzami, a w nocy rabusiami; jeżeli dzielni rycerze stają się podłymi dezerterami i zdrajcami, co cię to może obchodzić, ciebie i każdego, czy ja chcę zawrzeć rodzinne związki ze szlachetnym i uczciwym Saladynem?

— Zaiste, mało mnie to może obchodzić, gdyż wkrótce świat cały będzie dla mnie niczem — odparł dumnie sir Kenneth. — Lecz, Miłościwy Panie, jeśli nawet tylko w myślach masz zamiar oddać za małżonkę, twą krewniaczkę, księżniczkę Edytę...

— Nie wymawiaj jej imienia, nie myśl o niej! — rzekł król, znów schwyciwszy za czekan z taką siłą, że na ciem-

nem jego ramieniu wystąpiły muskuły, podobne do łodyg bluszczu, oplatających pień dębu.

— Nie wspominać jej i nie myśleć o niej? — powtórzył sir Kenneth, którego zgnębiony umysł w czasie tego sporu odzyskał swą zwykłą giętkość. — Nie, przysięgam na Święty Krzyż, w którym cała moja nadzieja, że imię jej będzie ostatniem słowem w mych ustach, a obraz jej ostatnią mą myślą. Spróbuj swej sławnej siły na mej obnażonej głowie i zobacz, czy umiesz powstrzymać bieg mojej myśli.

— Doprowadzi mnie do szaleństwa! — zawołał Ryszard, którego zamiary względem rycerza zostały zachwiane przez nieustraszoną odwagę winowajcy.

Nim de Vaux zdążył odpowiedzieć, na dworze rozległ się gwar i po chwili oznajmiono przybycie królowej.

— Zatrzymaj ją przez chwilę, Neville — rzekł król — to nie jest widok odpowiedni dla niewiast. Wyprowadź go, Tomaszu, z naszego namiotu tylnem wyjściem; trzeba go uwięzić, pilnuj go dobrze, odpowiadasz za niego życiem. I posłuchaj jeszcze: skazany jest na śmierć, trzeba mu więc dostarczyć ojca duchownego; umrze jak rycerz w ostrogach i w pasie.

De Vaux zadowolony był, że Ryszard odstąpił od zamiaru, nie licującego z powagą jego królewskiej godności wykonania osobiście wyroku na więźniu, nie stawiającym oporu. Wyprowadził więc pośpiesznie Kennetha przez tylne wejście do osobnego namiotu, gdzie go rozbrojono, a dla bezpieczeństwa nałożono kajdany.

— Z łaski Ryszarda — rzekł de Vaux — nie będziesz zdegradowany przed śmiercią, ciało twoje nie będzie okaleczone, ani herb twój zhańbiony.

— Dowód to wielkiej jego dobroci — rzekł rycerz cichym i pokornym głosem, jakgdyby spadła na niego niespodziewana łaska. — Tym sposobem rodzina moja nie dowie się o najgorszem.

— Król Ryszard życzył sobie także — ciągnął dalej de

Vaux — abyś się wyspowiadał. Idąc tutaj, napotkałem Karmelitę, który mógłby cię przygotować. Będzie czekał na dworze, aż zechcesz się z nim zobaczyć.

— Niech wejdzie natychmiast — rzekł rycerz. — To dowód także wielkiej dobroci Ryszarda. Nigdy kapłan nie był mi tak pożądany, jak w tej chwili.

— To dobrze — rzekł de Vaux — gdyż przykro mi ci powiedzieć to, co stanowi zakończenie mego posłannictwa. Król Ryszard życzy sobie, abyś się natychmiast przygotował na śmierć.

— Niechaj się stanie wedle woli Boga i mego monarchy — odparł rycerz z uległością — zgadzam się na ten wyrok sprawiedliwy i nie pragnę jego zwłoki.

De Vaux skierował się ku wyjściu, lecz bardzo wolno, wreszcie zatrzymał się przy drzwiach i odwrócił się, aby raz jeszcze spojrzeć na Szkota. Szybko podszedł do stosu skór, na których więzień leżał, ujął w swe ręce skutą jego dłoń i rzekł ze słodyczą, na jaką tylko szorstki jego głos mógł się zdobyć.

— Sir Kenneth, jesteś młody i masz jeszcze ojca. Mój mały Ralf, który, gdym opuszczał Anglię, ujeżdżał swego źrebaka, kiedyś dożyje twego wieku; pragnąłbym, na Boga, aby taki był wówczas, jak ty. Czy mógłbym co zrobić dla ciebie?

— Nic — brzmiała smutna odpowiedź — opuściłem samowolnie placówkę; powierzona mi chorągiew zniknęła.

— Niech Bóg się nad tobą zlituje! — rzekł de Vaux. — W tem wszystkiem kryje się jakaś tajemnica, którą uczciwy człowiek przeczuwa, lecz nie może jej odgadnąć. Tchórzostwo? Tchórz nie walczy tak, jak ty. Zdrada? Nie wyobrażam sobie, aby zdrajca umierał z takim spokojem. Zapewne uprowadzono cię z twej placówki podstępem. Posłuchaj: wyspowiadaj się lepiej mnie, niż księdzu. Ryszard jest litościwy, gniew go opuści. Czy nic mi nie powiesz?

Nieszczęsny Szkot odwrócił głowę od zacnego rycerza i odparł:

— Nic!

De Vaux, wyczerpawszy już wszystkie argumenty, powstał i wyszedł.

XVI. KRÓLOWA I EDYTA.

Królowa Berengarja bardzo kochała swego małżonka, lecz bała się jego porywczości i dumy. Czuła swą niższość umysłową, z niezadowoleniem więc widziała, że woli rozmowę z Edytą Plantagenet, niż z nią samą. Nie można powiedzieć, żeby z tego powodu znienawidziła Edytę lub pragnęła jej krzywdy, gdyż pomimo egoizmu miała dobry i szlachetny charakter. Lecz damy jej dworu zauważyły, że żarty z Edyty znakomicie poprawiały humor królowej.

Edyta Plantagenet przybyła z Eleonorą, starszą królową matką do Mesyny, aby się tam spotkać z Ryszardem. Edyta przeznaczona była do orszaku Berengarji, której ślub miał się wkrótce odbyć. Ryszard traktował swoją krewniaczkę z najwyższym szacunkiem, a królowa nie rozstawała się z nią nigdy.

Cicha miłość szkockiego rycerza nie przeszła niepostrzeżenie.

Królowa ze swemi damami dworu wyruszyła do Engaddi z pielgrzymką, którą ślubowała na intencję powrotu do zdrowia Ryszarda. W czasie tej pielgrzymki, w kaplicy, położonej pod klasztorem Karmelitanek, a ponad pustelnią anachorety, jedna z dam dworu królowej zauważyła tajemne znaki, jakie Edyta dawała rycerzowi szkockiemu. Natychmiast zawiadomiła o tem królową. Był to dla królowej znakomity środek na nudy. Jednocześnie świta jej została powiększona przez parę okropnych karłów, darowanych przez zdetronizowaną królowę Jerozolimską*. Żadna jeszcze królowa nie posiadała równie szpetnych stworzeń.

Damy dworu zgromadziły się znów w namiocie królowej po wyjściu sir Kennetha. Królowej nie wzruszały zrazu wymówki Edyty. Gdy służebna, wysłana na zwiady przez Edytę, przyniosła wiadomość, że chorągiew zginęła, a jej obrońca zniknął, Edyta rzuciła się na kolana przed królową, błagając ją, aby bez zwłoki udała się do króla i użyła swego potężnego wpływu dla zapobieżenia fatalnym skutkom nierozsądnego żartu.

Królowa usiłowała uspokoić Edytę i wymownie zapewniała ją, że nic złego nie mogło się stać, a rycerz zapewne śpi spokojnie po całonocnem strażowaniu.

Edyta napróżno usiłowała przerwać potoki czczej wymowy; wtem wzrok jej padł na twarz jednej z dam dworu, która wchodziła do namiotu. Na twarzy jej malowała się śmiertelna trwoga i zgroza. Edyta musiała użyć całej siły swego szlachetnego charakteru, aby zachować zewnętrzny przynajmniej spokój.

— Miłościwa Pani — rzekła do królowej — nie trać ani chwili czasu, lecz ratuj człowieka od niechybnej śmierci, jeśli — dodała, a głos jej zadrżał, gdy wymawiała te słowa — już nie jest zapóźno!

— Jeszcze nie jest zapóźno — zawołała lady Kalista, dama dworu, która weszła przed chwilą.

— Idę, idę natychmiast — rzekła królowa i wstała z łoża, drżąc na całem ciele; damy dworu, równie zmieszane, jak ona sama, nie były zdolne pomóc jej przy ubieraniu się.

— Patrz, Edyto — rzekła królowa — one mi nic nie pomagają przy ubieraniu się, nie zdążę się ubrać. Poślijmy lepiej po arcybiskupa z Tyru, aby się wstawił do króla.

— Nie czyń tego! — zawoła Edyta. — Idź sama do króla; wynagródź krzywdę, którąś uczyniła.

— Pójdę już, pójdę — rzekła królowa — lecz jeśli Ryszard jest w złym humorze, nie będę śmiała nawet przemówić do niego, zabiłby mnie! Śpieszcie się, podajcie mi moją niebieską szatę i rubinowy naszyjnik, który jako okup

przysłał król Cypru; jest pewnie w żelaznej szkatułce, a może gdzie indziej.

— Gdy chodzi o ludzkie życie, czy można myśleć o takich rzeczach? — rzekła z oburzeniem Edyta. — Wyczerpała się już moja cierpliwość. Pozostań więc, Miłościwa Pani, pójdę sama do króla Ryszarda. Zbyt mnie to żywo obchodzi, chcę się przekonać, czy król pozwoli, aby bezkarnie nadużywano imienia nieszczęsnej dziewicy, a jego krewniaczki, dla sprowadzenia dzielnego rycerza z drogi obowiązku i narażenia go na śmierć i na hańbę. Przytem honor Anglji stał się pośmiewiskiem całej armji chrześcijańskiej!

— Idę, już idę — rzekła królowa.

Edyta, acz niechętnie, pozostała w namiocie, przyglądając się, jak królowa się wybiera.

Królowa istotnie śpieszyła się, jak mogła. Zarzuciwszy na ramiona obszerny płaszcz, który zakrył wszelkie niedokładności stroju, ruszyła pośpiesznie do namiotu swego małżonka. Towarzyszyła jej Edyta oraz damy dworu, a na czele i na końcu orszaku szli oficerowie i żołnierze z jej świty.

XVII. WALKA O ŻYCIE CZŁOWIEKA.

Królową Berengarję powstrzymali dworzanie, zgromadzeni w zewnętrznej części namiotu królewskiego.

— Widzisz — rzekła królowa, zwracając się do Edyty, jakgdyby już wyczerpała wszelkie środki, będące w jej mocy — wiedziałam, że król nie zechce nas przyjąć.

W tej samej chwili wewnątrz namiotu król rzekł do kogoś:

— Idź, jeśli sprawisz się szybko, będziesz ułaskawiony, a jeśli załatwisz się z nim jednym ciosem, dam ci dziesięć dukatów.

Edyta nie mogła znieść tego w milczeniu.

— Jeśli, Miłościwa Pani — rzekła, zwracając się do królowej — nie może utorować sobie sama drogi do króla, to

ja to zrobię dla niej lub dla siebie. Panowie! Królowa chce się widzieć z królem Ryszardem, żona chce się widzieć z mężem!

Król leżał na łożu, a w pewnej odległości od niego, oczekując na dalsze rozkazy monarchy, stał człowiek, którego zajęcia z łatwością można się było domyślić. Czapka z prostego sukna zakrywała mu górną część twarzy. Przypominał puszczyka, który pragnie się ukryć przed światłem dziennem. Widoczna część twarzy była sroga i odpychająca. Ponury ten sługa stał, oparty o miecz długości prawie czterech i pół stóp i z ręką na rękojeści oczekiwał na dalsze rozkazy króla.

Berengarja, rzuciwszy na niego szybkie spojrzenia nieukrywanego i szczerego przestrachu, padła na kolana obok łoża Ryszarda. Schwyciła jego prawą rękę w swe maleńkie dłonie i, ściskając je silnie, zbliżyła do czoła i do warg.

— Czego żądasz, Berengarjo? — rzekł król, odwracając głowę od królowej, lecz pozostawiając swą rękę w jej dłoniach.

— Odpraw tego człowieka, widok jego zabija mnie! — szepnęła Berengarja.

— Odejdź, niewolniku, na co czekasz? — rzekł król do kata, wciąż nie patrząc na żonę. — A teraz powiedz, nierozsądna niewiasto — mówił dalej Ryszard, zwracając zwolna i niechętnie głowę ku swej królewskiej małżonce — czego żądasz ode mnie?

Król Ryszard, spostrzegłszy zmieszanie i trwogę Berengarji, nagle się wzruszył.

— Jeszcze raz się pytam, czego pragnie pani mego serca, przybywając do namiotu swego rycerza o tak wczesnej i niezwykłej porze?

— Przebaczenia, Miłościwy Panie, przebaczenia — rzekła królowa, która z przestrachu zapomniała o swem wstawiennictwie.

— Przebaczenia? Za co? — zapytał król.

— Przedewszystkiem, że zuchwale i nierozważnie ośmieliłam się stanąć przed Waszą Królewską Mością — odparła królowa i zatrzymała się.

— Ty nazywasz to zuchwałością? Słońce w takim razie powinnoby prosić o przebaczenie, że promienie jego wpadają do ciemnicy.

— Nie odmówisz mi więc jednej, jedynej łaski: podaruj mi jedno marne życie...

— Mów dalej! — zawołał król, marszcząc brwi.

— Chodzi mi o tego szkockiego rycerza — wyszeptała królowa.

— Nie wspominaj o nim — zawołał Ryszard surowo — musi umrzeć, wyrok już wydany.

— Słyszałaś, Edyto? — szepnęła królowa. — Gniewamy go tylko.

— Nic mnie to nie obchodzi — odparła Edyta, wysuwając się naprzód. — Miłościwy Panie, oto ja, twoja nieszczęsna krewniaczka, błagam cię nie o łaskę, lecz o sprawiedliwość.

— Ha! To Edyta — rzekł Ryszard — zawsze jest pełna królewskiej dumy, odpowiem więc jej też po królewsku.

— Miłościwy Panie — rzekła Edyta — ten zacny rycerz, którego krew ma się tu za chwilę polać, zasłużył się chrześcijańskiej wierze. Dziś nie wypełnił swego obowiązku, wywiedziony w pole przez lekkomyślność i nierozsądek. Wysłano do niego gońca z rozkazem w imieniu tej... zresztą czemu nie miałabym wyznać prawdy?... w mojem imieniu, aby natychmiast opuścił swoje stanowisko. Jaki chrześcijański rycerz nie posłuchałby rozkazu dziewicy, która, chociaż jest pozbawiona innych zalet, lecz w żyłach jej płynie krew Plantagenetów?

— I widziałaś się z nim? — zapytał król, gryząc wargi, aby stłumić swą wściekłość.

— Tak, Miłościwy Panie, widziałam go — rzekła Edyta.

Nie jest pora teraz tłumaczyć dlaczego. Nie przyszłam tu, aby uniewinniać siebie, a potępiać innych.

— A gdzie mu uczyniłaś tę łaskę?

— W namiocie jej królewskiej mości.

— W namiocie mej małżonki? — zapytał Ryszard. — Na duszę mego ojca, Edyto, za to oszczerstwo powinnaś pokutować do końca swego życia w klasztorze.

— Miłościwy Panie — rzekła Edyta — błagam cię o takie miłosierdzie, o jakie ty kiedyś zanosić będziesz błaganie do potężniejszego jeszcze Monarchy, za przestępstwa może cięższe od tych, które popełnił nieszczęsny rycerz, narażony na tak silne pokusy.

— Czyż tak przemawia Edyta Plantagenet? — rzekł król z goryczą.

— Jeśli nie wysłuchasz mej prośby — odparła Edyta — będę wszystkim opowiadać, że rycerzy umiesz tylko wynagradzać okrutną i niesprawiedliwą śmiercią.

— Uspokój się, na miłość boską — wyszeptała królowa. — Przestań go obrażać!

— Nie dbam o to — rzekła Edyta. — Niewinna dziewica nie boi się rozwścieczonego lwa. Niechaj król każe wypełnić swój wyrok względem zacnego rycerza. Edyta będzie wiedziała, jak należy opłakiwać tych, co za nią giną!

Rozgniewany król miał jej odpowiedzieć nowym wybuchem, gdy do namiotu wszedł szybko mnich zakonu Karmelitów i, rzuciwszy się na kolana przed Ryszardem, błagał go, zaklinając najświętszemi słowami, aby powstrzymał egzekucję.

— Na mój miecz i berło! — zawołał Ryszard. — Świat się sprzysiągł, aby mnie doprowadzić do wściekłości! Szaleńcy, kobiety, zakonnicy, wszyscy krzyżują moje plany. Jakim cudem żyje on jeszcze?

— Miłościwy Panie — odparł mnich — wpłynąłem na lorda de Vaux, aby wstrzymał wykonanie wyroku, aż do chwili, gdy ja rzucę się do stóp...

— I on się na to zgodził? — zapytał król. — Zawsze jest samowolny i uparty. Ale co masz mi do powiedzenia? Mów prędzej!

— Miłościwy Panie — rzekł mnich, zrzucając habit, przykrywający odzież z koźlej skóry i zdejmując kaptur, z pod którego ukazała się twarz tak wyniszczona przez deszcze, słońce, post i pokutę, że przypominała raczej szkielet. — Przez dwadzieścia lat umartwiałem to nędzne ciało w jaskiniach engaddyjskich, pokutując za ciężką zbrodnię.

— A więc to ty jesteś tym pustelnikiem, o którym ludzie tyle opowiadają? — odparł król. — A więc to do ciebie chrześcijańscy książęta wysłali tego winowajcę dla nawiązania rokowań z sułtanem, wówczas, gdy ja, który pierwszy powinienem był o tem wiedzieć, leżałem złożony niemocą? Właśnie dlatego, że ty się za nim wstawiasz, powinien czem prędzej umrzeć!

— Niech Bóg się nad tobą zlituje, Miłościwy Panie — rzekł pustelnik. — Upierasz się w błędach, a może nadejdzie jeszcze chwila, że oddałbyś rękę lub nogę, byleby móc naprawić te błędy. Śpiesz się, zaślepiony, jeszcze czas!

— Precz! Precz! — zawołał król, tupiąc nogami. — Przysięgam na świętego Jerzego...

— Nie przysięgaj! — odezwał się nagle głos przy wejściu do namiotu.

— Pójdź, mój uczony Hakimie — rzekł król — może ty przynajmniej nie zganisz mnie za moje postępowanie?

— Przychodzę prosić Waszą Królewską Mość o natychmiastowe posłuchanie, tyczące się niesłychanie ważnych spraw.

— Odejdź więc, Berengarjo — rzekł monarcha — i ty także, Edyto. Wyrok nie zostanie wykonany przed południem. Odejdźcie w spokoju.

XVIII. TAJEMNICA PUSTELNIKA.

Pustelnik opuścił razem z niewiastami namiot królewski, ale na progu odwrócił się i podniósł rękę, jakgdyby ostrzegał czy groził, wreszcie rzekł:

— Królu Ryszardzie, nie otrząsnąłem pyłu z mych nóg, i nie opuszczam zaraz twego obozu: miecz jeszcze nie uderzył, lecz wisi na włosku. Dumny monarcho, spotkamy się jeszcze.

— Do rzeczy, Hakimie! — rzekł król, zwracając się do Maura. — Co mogę zrobić dla ciebie, uczony lekarzu.

— Wielki monarcho — rzekł El Hakim, składając przed królem głęboki wschodni pokłon. — Pozwól swemu słudze wyrzec jedno słowo, nie karz go za to śmiercią. Pragnę ci przypomnieć, że zawdzięczasz swe życie nie mnie, pokornemu wykonawcy, lecz Najwyższej Mądrości, która zlewa swe dobrodziejstwa na ludzkość za mojem pośrednictwem.

— Ręczę, że prosisz o darowanie ci pewnego życia — przerwał mu król.

— Istotnie chciałem prosić wielkiego melecha Ryszarda o podarowanie mi życia zacnego rycerza, skazanego na śmierć za ten sam grzech, jaki popełnił sułtan Adam, zwany też Abulbeskazem, ojcem wszystkich ludzi.

— Gdy tylko wszedłeś do namiotu, domyśliłem się odrazu, o co mnie będziesz prosił. Bawi mnie to! Żona, krewniaczka, pustelnik, Hakim kolejno występują w szranki w jego obronie, a ja sam muszę walczyć ze wszystkimi. Ha! ha! ha! — Ryszard wybuchnął śmiechem.

Gdy król uspokoił się nieco, mędrzec w te słowa zwrócił się znów do niego:

— Śmiejące się wargi nie mogą wydać wyroku śmierci. Sługa twój nie traci nadziei, że podarujesz mu to życie.

— Wolę ci wzamian podarować tysiące jeńców — rzekł Ryszard. — Ten człowiek nanic ci się nie zda, a jest już skazany na śmierć.

— Wszyscy jesteśmy skazańcami — odparł Hakim, podnosząc ręce wgórę — lecz wielki nasz Wierzyciel nie wymaga, abyśmy jego dług zapłacili przedwcześnie.

— Nie sądzę, aby do wstawienia się za nim skłaniały cię jakieś ważne powody, nie wymagaj więc, abym cofnął ten sprawiedliwy wyrok. Przysięgałem, że będę wymierzał sprawiedliwość.

— Przysięgałeś nietylko, że będziesz wymierzał sprawiedliwość, ale też, że będziesz litościwy — rzekł Hakim. — Ale ty, potężny monarcho, pragniesz przedewszystkiem, by się spełniła twoja wola. A co do moich pobudek, wiedz, że niejedno życie ludzkie zależy od ułaskawienia tego skazańca. Jeśli on zginie, lekarstwo moje przestanie działać.

— Nie rozumiem — rzekł król — jakim sposobem może wpłynąć na działanie twego leku?

— Jeśli zdołasz wytłumaczyć, w jaki sposób łyk zimnej wody może cię wyleczyć — rzekł Hakim — wówczas będziesz mógł zrozumieć i inne tajemnice, tyczące się tych spraw. Co do mnie, niezdolny jestem dziś zająć się najważniejszemi sprawami, gdyż dotknąłem się nieczystego stworzenia. Nie pytaj o nic więcej; niechaj ci starczy za wytłumaczenie, że ułaskawiając tego człowieka od śmierci, nie pozbawisz ludzkości dobroczynnego leku.

— Zbyt to już wielka zuchwałość — rzekł rozgniewany król dumnym i prawie rozkazującym głosem. — Jesteś mym lekarzem, a nie doradcą, czy stróżem sumienia.

— Czyż najznakomitszy monarcha Frankistanu w taki sposób odpłaca za wyświadczone dobrodziejstwa? — rzekł El Hakim, zmieniając swą uległą i pokorną postawę na dumną i rozkazującą. — Ostrzegam cię, że ogłoszę na wszystkich dworach Europy i Azji, chrześcijanom i muzułmanom, rycerzom i damom, wszędzie, gdzie rozlega się dźwięk harfy i szczęk miecza, gdzie szanują honor, a nienawidzą podłości, we wszystkich zakątkach świata, że me-

lech Ryszard nie umie być ani wdzięczny, ani wspaniałomyślny.

— Czy to do mnie przemawiasz w ten sposób, podły poganinie? — rzekł Ryszard, zbliżając się do niego w najwyższej wściekłości. — Czy ci życie obrzydło?

— Uderz — zawołał El Hakim — twój czyn odmaluje cię lepiej, niż moje słowa.

Ryszard odwrócił się gwałtownie od niego i zaczął chodzić po namiocie, a potem zawołał:

— Nazwałeś mnie niewdzięcznym i niewspaniałomyślnym, co znaczy to samo, co tchórz i wiarołomny. Hakimie, sam sobie wybrałeś nagrodę i, choć wolałbym oddać ci moje klejnoty koronne, nie mogę ci odmówić. Zabierz więc sobie tego Szkota. Strażnik więzienny wyda ci go za tym oto rozkazem.

— Dobroć króla, która wypełniła mój puhar aż po brzegi — rzekł mędrzec — jest tak obfita, jak źródło, które wytrysnęło ze skały w obozie potomków Izraela za uderzeniem laski Moussa ben Amrana.

— Lecz — rzekł król z uśmiechem — trzeba było tak, jak wówczas w pustyni, silnego uderzenia laski, żeby skała zechciała wydać swe skarby. Chciałbym wiedzieć, czembym ci mógł zrobić przyjemność, a coby mnie równie mało kosztowało, jak skałę woda.

— Niech Bóg przedłuży ci życie — odparł Hakim i opuścił namiot, skłoniwszy się nisko wedle swego zwyczaju.

Król Ryszard spoglądał za nim napoły tylko zadowolony z tego, co zaszło.

— Hakim bardzo jest uparty — rzekł — a zuchwały Szkot ma szczęście. Ale niech sobie żyje! O jednego dzielnego człowieka więcej na świecie. A teraz zabierzmy się do Austrjaka. Hej! Czy jest tam baron de Vaux?

Na to wołanie potężna postać Tomasza de Vaux ukazała się u wejścia do namiotu, a za nim zamajaczył jak widmo odziany w płaszcz z kozich skór pustelnik z Engaddi, któ-

rego nikt nie wprowadził, ale też nikt mu nie bronił wstępu. Ryszard, nie zauważywszy go, rzekł głośno do barona:

— Sir Tomaszu de Vaux na Gilslandzie, weź trębacza i herolda i idź natychmiast do namiotu tego, którego zwą arcyksięciem austrjackim, i oskarż go w imieniu Ryszarda angielskiego, że tej nocy własnoręcznie, czy też przez swoich ludzi zerwał z drzewca chorągiew Anglji.

— A jeśli arcyksiążę wyprze się swego udziału w tej zdradzieckiej zbrodni? — zapytał de Vaux.

— Powiedz mu wtedy — odparł król — że gotowi mu jesteśmy tego dowieść w walce, nawet gdyby go broniło jego dwóch najdzielniejszych rycerzy. Dowiedziemy mu tego sposobem rycerskim w walce pieszej czy konnej, na pustyni czy w polu, pozostawiając mu wybór miejsca, broni i czasu.

— Miłościwy Panie, pomnij na pokój, nakazany przez Boga i kościół książętom, biorącym udział w tej świętej wojnie.

— A ty, mój wasalu, pomnij, że przedewszystkiem masz wypełnić mój rozkaz — odparł zniecierpliwiony Ryszard. — Któż, proszę, zapomniał o tym pokoju boskim?

De Vaux odwrócił się, żeby wypełnić rozkaz króla, ale wzruszył jednocześnie ramionami, gdyż szczera jego natura niezdolna była ukrywać swego niezadowolenia. Lecz wówczas wysunął się naprzód pustelnik z Engaddi i odezwał się tonem przemawiającego w imieniu potęgi nadziemskiej.

Ryszard, nawet w największym gniewie, poważał Kościół i jego przedstawicieli i, choć był niezadowolony z nieproszonych odwiedzin pustelnika, pozdrowił go z szacunkiem, ale jednocześnie zrobił znak sir Tomaszowi, aby śpiesznie wypełnił jego rozkaz.

Lecz pustelnik ręką, spojrzeniem i słowem powstrzymał barona i, podniósłszy wgórę nagie swe ramię, z którego zsunął się płaszcz z koziej skóry, potrząsnął ręką wychudłą od postów i posiniaczoną razami dyscypliny.

— Ryszardzie, królu Anglji, odwołaj bezbożny rozkaz, wydany baronowi. Czyha na ciebie bliska śmierć i niebezpieczeństwo. Sztylet grozi twej piersi.

— Przywykłem już do niebezpieczeństw i śmierci — odparł z dumą król — a zbyt często miecz mi groził, abym się obawiał sztyletu. Szanuję twoją osobę i twoją pobożność...

— Uszanuj nie mnie — przerwał mu pustelnik — lecz swą przysięgę na wierność sprzymierzeńcom, nie zrywaj srebrzystych więzów zgody i jedności, któremi związałeś się dobrowolnie.

— Nie pragnę zrywać więzów zgody i jedności, wiążących książąt wyprawy krzyżowej — rzekł Ryszard łagodniejszym już tonem — lecz jakże wynagrodzą wyrządzoną mi niesprawiedliwość i zniewagę?

— I na to mam odpowiedź, którą mi poleciła przedstawić ci rada książąt, zwołana przez Filipa, króla francuskiego.

— Dziwne to zaiste — odparł Ryszard — że inni radzą nad tem, co należne jest władcy Anglji.

— Pragnę uprzedzić twe żądania, jeśli to możliwe — odpowiedział pustelnik. — Zgadzają się oni wszyscy, aby chorągiew Anglji została umieszczona zpowrotem na wzgórzu św. Jerzego; potępiają i przeklinają bezczelnego zbrodniarza, czy zbrodniarzy, którzy chorągiew tę zbezcześcili, i przyrzekają książęcą nagrodę temu, kto wykryje winowajcę.

— A co będzie z arcyksięciem austrjackim, na którym ciążą ciężkie podejrzenia, że on tę zbrodnię popełnił? — spytał Ryszard.

— Aby zapobiec niezgodzie wśród Krzyżowców — rzekł pustelnik — arcyksiążę oczyści się z podejrzeń, poddając się sądowi Bożemu wedle postanowienia patrjarchy jerozolimskiego.

— Walka z arcyksięciem i tak nie przysporzy mi sławy,

więc niech tak będzie — rzekł Ryszard. — Chciałbym jednak, aby się wyparł, będę więc nalegać na sąd Boży.

— Uspokój się, Ryszardzie — rzekł pustelnik. — Niestety, czemu w duszy księcia, tak szlachetnie myślącego i działającego, dzika i brutalna wściekłość miesza się z godnością i odwagą króla puszczy?

Przez chwilę rozmyślał w milczeniu z oczami, utkwionemi w ziemię, a potem ciągnął dalej:

— Anioł śmierci obnażonym swym mieczem zrówna wkrótce Ryszarda Lwie Serce z najnędzniejszym chłopem!

— Czy to już wkrótce nastąpi? — zapytał Ryszard. — Zresztą niech tak się stanie, lecz niech przynajmniej moja podróż będzie szczęśliwa, jeśli ma być krótka.

— Niestety, Miłościwy Panie — rzekł pustelnik — zmartwienia, nieszczęścia i niewola znaczą drogę, wiodącą cię do rozwartego grobu, w którym legniesz bezpotomnie.

— Lecz legnę w nim sławny i opłakiwany przez mą małżonkę. Sława i miłość to dwie pociechy, których ty nie możesz ocenić, a które będą mi towarzyszyć aż do grobu.

— Czyż istotnie przypuszczasz, że nie znam wartości sławy i nie cenię pieśni minstrelów? — zapytał z zapałem pustelnik. — Królu Ryszardzie! — mówił dalej, wyciągając ku niemu swe wychudłe ramię. — Błękitna krew, kipiąca warem w twych żyłach, nie jest szlachetniejsza od tej, która płynie zwolna w moich. Choć jest jej niewiele i krople jej są chłodne, lecz jest to krew królewskiego rodu, z którego pochodzi odważny i pobożny Godfryd*, gdyż jestem, a raczej byłem na świecie Alberykiem z Mortemaru.

— Którego czyny są sławne! Czyż to możliwe?

— Posłuchaj, Ryszardzie — rzekł pustelnik. — Niechaj moje zgryzoty, rozpacz i nędza będą odstraszającym przykładem dla ciebie, który jesteś człowiekiem szlachetnym, lecz ulegasz swej dzikiej naturze. Tak, obnażę przed tobą długo skrywane rany; choć miałbym je na nowo rozkrwawić. Pochodzę ze szlachetnego rodu, miałem wielki mają-

tek, byłem odważny w boju i mądry w radzie. Pokochałem dziewicę niskiego rodu, ojciec jej, pragnąc ją ukryć przede mną, umieścił ją za kratami klasztoru, a mnie, zrozpaczonego, szatan popchnął na zgubną drogę zbrodni i win. Nie będę się nad tem rozwodził, powiem ci tylko, że ona śpi snem wiecznym w podziemiach engaddyjskich, a ja w mej pustelni nad jej grobem jęczę, szlocham, skarżę się i pokutuję.

— Nieszczęsny, nie dziwię się już twemu smutkowi! — zawołał Ryszard.

— Nie żałuj mnie, grzechem jest żałować takiego nędznika, jak ja; nie żałuj mnie, lecz korzystaj z mego przykładu. Twe stanowisko wśród książąt chrześcijańskich, będąc najwyższem, jest zarazem najniebezpieczniejsze. Jesteś dumny i krwiożerczy, masz serce ze stali i żelazną rękę. Niebiosa może cię jeszcze przez jakiś czas oszczędzą, jeśli się nawrócisz i będziesz postępował wedle przykazań boskich. Pamiętaj! Ja muszę już powracać do mej pustelni.

Powiedziawszy to, wybiegł z namiotu.

— To szalony! — rzekł Ryszard. — Idź za nim, de Vaux, i zobacz, co uczyni?

De Vaux wyszedł, a Ryszard tymczasem rozmyślał nad przepowiednią mnicha.

— Umrzeć młodo, bezpotomnie, nieopłakiwany: smutny to koniec.

Wszedł de Vaux, Ryszard zwrócił się do niego:

— Jakie wieści przynosisz, hrabio, o tym szalonym mnichu?

— Nazywasz go, Miłościwy Panie, szalonym mnichem — odparł de Vaux. — A mnie się zdaje, że przypomina on raczej świętego Jana Chrzciciela. Stanąwszy na wojennej machinie, przemawia do żołnierzy, jak zapewne nikt jeszcze nie przemawiał od czasów świętego Piotra Pustelnika. Żołnierze różnych narodowości, zwabieni jego donośnym głosem, cisną się wokoło niego tysiącznym tłumem; od czasu

do czasu przemawia do zgromadzonych, do każdego w jego własnym języku, nalegając, aby wytrwali w walce o oswobodzenie Palestyny.

— Widać z tego, co mówisz, że to szlachetny człowiek — rzekł Ryszard. — Godny potomek Godfryda.

W tej chwili arcybiskup Tyru poprosił o audjencję, aby powiadomić króla o politycznych i wojskowych zmianach, jakie zaszły w czasie jego choroby.

XIX. SPISEK DOJRZEWA.

Słusznie wybrano arcybiskupa Tyru do udzielenia Ryszardowi wiadomości, które, przyniesione przez kogokolwiek innego, byłyby przyjęte najgwałtowniejszym wybuchem gniewu.

Arcybiskup bowiem przynosił wieści, że Saladyn gromadzi wszystkie siły, jakich tylko mogły mu dostarczyć setki lenniczych jego plemion. Natomiast sprzymierzeni monarchowie chrześcijańscy, z różnych powodów zniechęceni do wyprawy krzyżowej, która stawała się z dnia na dzień niebezpieczniejszą, postanowili zaprzestać walki. Zachęcał ich do tego przykład Filipa, króla Francji, nie kryjącego się ze swym zamiarem powrotu do Europy; to samo chciał uczynić jego lennik, książę Szampanji. Inni mieli zamiar pójść w ich ślady. Jasne więc było, że król angielski, jeśliby chciał wytrwać, pozostałby sam jeden, zasilany jedynie przez ochotników, o ileby się jeszcze tacy trafili w tak niezachęcających okolicznościach, i przez wątpliwą pomoc Konrada de Montserrat oraz rycerskich zakonów Templarjuszów i Joannitów, zazdrosnych o każdego, ktoby się chciał pokusić o zdobycie Palestyny.

Ryszard z łatwością uwierzył tym wieściom. Nie przerwał arcybiskupowi, nawet gdy ten w ostrożnych słowach ośmielił się mu zarzucić, że zapalczywość jego była jedną z przyczyn, która zniechęciła książąt do wyprawy krzyżowej.

— Wyznaję, czcigodny ojcze — odparł Ryszard — że powinienem zaśpiewać *mea culpa*. Lecz przysięgam na duszę Godfryda Zdobywcy, że zatknę krzyż na wieżach Jerozolimy, lub inni zatkną go na mym grobie.

— Możesz tego dokonać — rzekł arcybiskup — nie przelewając już ani jednej kropli krwi chrześcijańskiej.

— Myślisz o układach, czcigodny ojcze? Lecz w takim razie krew niewiernych przestałaby także płynąć — rzekł Ryszard.

— Dosyć będzie chwały — odparł arcybiskup — gdy wytargujemy od Saladyna siłą naszego oręża i sławą twego imienia bezpieczeństwo dla świętego miasta; a będzie mu ono zapewnione, gdy otrzymasz tytuł króla i strażnika Jerozolimy.

— Ja! Królem i strażnikiem Jerozolimy? Nawet zwycięstwo nie przyniosłoby nam takich korzyści, szczególniej, gdyby do walki stanęły niechętne i niezgodne zastępy. Lecz czy Saladyn nie zechce zachować swoich wpływów w Świętej Ziemi?

— Tak, lecz jako sprzymierzeniec, któryby przysiągł wierność potężnemu Ryszardowi, spowinowaconemu z nim przez małżeństwo — rzekł arcybiskup.

— Moja krewna miałaby zostać żoną niewiernego? — zawołał Ryszard z błyszczącemi oczami.

Arcybiskup pośpieszył załagodzić gniew króla:

— Bezwątpienia należy przedewszystkiem zapytać papieża o zgodę. Świętobliwy pustelnik z Engaddi, który jest znany w Rzymie, ma się udać w tej sprawie do Ojca św.

— Jakto? Bez naszej poprzedniej zgody? — zapytał król.

— Ależ nie — uspokajał arcybiskup łagodnym i przekonywającym tonem — nic się nie stanie bez twego pozwolenia.

— Mam pozwolić na małżeństwo mej krewniaczki z poganinem? — rzekł Ryszard. — Czy sułtan pragnie się ochrzcić? Jeśliby się ochrzcił, niema władcy, któremubym oddał chętniej rękę mej krewniaczki, Edyty, nawet, gdyby

monarcha ów złożył u jej stóp berło i koronę, niż Saladynowi, choćby jej tylko dzielny swój miecz i jeszcze dzielniejsze serce ofiarowywał.

— Saladyna uczyli chrześcijańskiej wiary — rzekł wymijająco arcybiskup. — Między innymi i ja, niegodny; a że słuchał nas cierpliwie i odpowiadał ze spokojem, niewątpliwie zapłonie jak głownia w ognisku.

Ryszard wysłuchał arcybiskupa ze zmarszczoną brwią i z niezadowolonem spojrzeniem.

— Nie wiem, co się ze mną dzieje — rzekł wreszcie — chyba to rady chrześcijańskich książąt zatruły mą duszę letargiem. Ongiś, gdyby mi był człek świecki zaproponował taki układ, byłbym go powalił na ziemię, a kapłana uważałbym za renegata i sługę Baala*, teraz słucham słów tych ze spokojem. Chodźmy na naradę, czcigodny ojcze, czas nagli. Uważają mnie za dumnego i popędliwego, a ujrzą mnie pokornym.

Przed obszernym namiotem, w którym odbywały się narady wojenne, zatknięta była wielka chorągiew z krzyżem świętym i druga z kobietą w podartych szatach, z rozpuszczonemi włosami, wyobrażającą świątynię jerozolimską, opuszczoną i jęczącą w niewoli. Nosiła ona napis: „Nie zapominajcie o nieszczęsnej mej małżonce“.

W namiocie książęta, biorący udział w wyprawie krzyżowej, oczekiwali przybycia Ryszarda; nawet niewielkie jego opóźnienie wyzyskiwane było przez wrogów na jego niekorzyść.

Postanowiono, gdy przyjdzie, nie zwracać na niego uwagi i okazywać mu tylko tyle szacunku, ile go wymagała grzeczność. Lecz gdy ujrzeli książęcą jego postawę i szlachetną twarz, nieco pobladłą po przebytej chorobie, wszyscy naraz wstali, nie wyłączając zawistnego króla Francji i obrażonego arcyksięcia austrjackiego, wołając jednogłośnie:

— Niech Bóg zachowa Ryszarda, króla Anglji. Niech żyje dzielny rycerz Lwie Serce!

Ryszard, rzucając spojrzenia otwarte i jasne, jak promienie wschodzącego słońca, dziękował wszystkim.

Zgromadzeni książęta usiedli zpowrotem; zapanowało głębokie milczenie, które przerwał król angielski, mówiąc:

— Kościół chrześcijański obchodzi dziś wielkie święto, skorzystajcie więc zeń, chrześcijańscy książęta, aby wyspowiadać się jeden przed drugim. Szlachetni książęta i ojcowie tej świętej wyprawy! Jestem żołnierzem, lepiej władam mieczem, niżli językiem, przywykłem do żołnierskiej mowy. Szlachetny bracie, królu francuski, zali miałem nieszczęście cię obrazić?

— Król Francji nie ma ci nic do wybaczenia — odparł Filip z królewską godnością, przyjmując jednocześnie wyciągniętą prawicę Ryszarda.

— Arcyksiążę austrjacki — ciągnął dalej Ryszard, zwracając się do Leopolda — przypuszcza, że słusznie obraził się na króla angielskiego, a król angielski uważa, że ma prawo uskarżać się na arcyksięcia austrjackiego. Wybaczmy sobie wzajemnie urazy, aby pokój w Europie i zgoda wśród wojsk nie zostały zakłócone. Niechaj arcyksiążę Leopold odda chorągiew Anglji, jeśli ją posiada, a wówczas król Anglji przeprosi go za znieważenie chorągwi austrjackiej.

Arcyksiążę milczał, lecz w zachowaniu jego odbijała się niechęć.

Patrjarcha jerozolimski pośpieszył zaręczyć za niego, że wyparł się uroczystą przysięgą od jakiegokolwiek udziału pośredniego czy bezpośredniego w napadzie na chorągiew angielską.

— Skrzywdziłem dzielnego Leopolda niesłusznem posądzeniem — rzekł Ryszard — proszę go więc o przebaczenie mi tej zniewagi.

Mówiąc to, odwrócił się od arcyksięcia z godnością, lecz bez gniewu.

— Szlachetny władco Szampanji, margrabio na Montserrat, i ty, wielki mistrzu Templarjuszów, oto stojąc tu przed

wami, spowiadam się jak grzesznik. Zali skrzywdziłem którego z was? Czy może żądacie zadośćuczynienia za moje winy?

— Nie wiem nic o twych przewinieniach — odparł Konrad, słynny z gładkiej mowy. — Mam ci tylko do zarzucenia, że odbierasz swym towarzyszom broni sławę, jaką mogliby zdobyć na tej wojnie.

— Ja cię oskarżę, jeśli tego pragniesz — rzekł wielki mistrz — lecz mój zarzut będzie cięższy od zarzutu margrabiego na Montserrat. My wszyscy czcimy i uwielbiamy odwagę i czyny bohaterskie króla Anglji, lecz czujemy się dotknięci, że korzysta z każdej sposobności, aby się wysunąć na pierwsze miejsce i dać nam odczuć swą wyższość, co dla nas, niezależnych książąt, jest nie do zniesienia. Król Ryszard chciał, abyśmy mu powiedzieli prawdę, niech więc go słowa te nie oburzają i nie dziwią, szczególniej, że wypowiada je człowiek, ktory musiał się wyrzec doczesnego blasku, a ziemska potęga jest dla niego bez znaczenia.

Ryszard, skupiwszy całą swą siłę woli, milczał, dopóki nie odmówił „Ojcze nasz". Był to sposób, jaki mu doradził spowiednik dla opanowania ogarniającego go gniewu. Potem król Ryszard przemówił spokojnie, lecz nie bez pewnej goryczy.

— A gdyby nawet tak było? Nie przypuszczałem nigdy, żeby moje przewinienia wypadkowe i nierozmyślne mogły zapuścić tak głębokie korzenie w sercach mych sprzymierzeńców; nie przypuszczałem też, żeby z mojego powodu mogli porzucić pługi, gdy zbliża się koniec orki, aby też z mojego powodu zeszli z drogi, którą wywalczyli własnemi mieczami, a która wiedzie wprost do Jerozolimy. Jeśli namawiałem na niebezpieczne wyprawy, wydaje mi się jednak, że nie oszczędzałem ani siebie, ani mych rycerzy. Wstyd mi jednak wspominać to, o czem, zdaje się, wszyscyście zapomnieli. Lepiej pomyślmy o naszych zamiarach na przyszłość; wierzajcie mi, bracia — ciągnął dalej z twa-

rzą, promieniejącą zapałem — że ani duma, ani porywczość, ani ambicja Ryszarda nie będzie wam przeszkodą na drodze, na którą wzywa was wiara i sława. Zrzekam się dobrowolnie wszelkiej władzy w obozie, nawet nad moimi własnymi lennikami, wodzów naznaczycie im sami. Jeśli jednak jesteście już znudzeni tą wojną, a zbroje ciężą waszym słabym ramionom, zostawcie mi dziesięć lub piętnaście tysięcy wojska, abym mógł dopełnić waszego ślubu. A gdy zdobędziemy Syjon — zawołał, podnosząc wgórę ramię, jakgdyby unosił chorągiew Chrystusową ponad mury Jerozolimy — a gdy go zdobędziemy, wyryjemy na bramach imię, nie Ryszarda, lecz tych wszystkich wspaniałomyślnych książąt, którzy powierzyli mu swe wojska.

Szorstkie te słowa i zdecydowany ton głosu wojowniczego monarchy podniosły na duchu Krzyżowców. Jednogłośnie wydali okrzyk wojenny, a potem wołali:

— Prowadź nas, dzielny Ryszardzie Lwie Serce, nikt bardziej od ciebie nie jest godzien dowodzić rycerzom. Prowadź nas, prowadź nas na Jerozolimę, na Jerozolimę! Taka jest wola Boga Najwyższego! Błogosławiony ten, kto dopomoże do jej wypełnienia.

Okrzyk ten wzniesiony przez tyle piersi został usłyszany przez straż przed namiotem, rozszedł się po obozie, budząc wszędzie zapał. Tysiące i dziesiątki tysięcy piersi powtarzało: „Syjon! Syjon! Wojna! Wojna!“

Gdy skończyły się narady, wszyscy zdawali się być przejęci tym samym zapałem. Lecz w sercach większości książąt zapał ten wkrótce wygasł, a wielu go nigdy nie odczuwało. Do tych ostatnich zaliczał się Konrad na Montserrat i wielki mistrz Templarjuszów. Powrócili oni do swych kwater źli i niezadowoleni z wypadków całodziennych.

— Widzisz — rzekł wielki mistrz — wystarcza parę słów Ryszarda, aby poruszyć tych niestałych głupców, tak, jak wichura, która wedle swego upodobania przerzuca z miejsca na miejsce źdźbła słomy.

— Lecz, gdy wiatr się uspokoi — rzekł Konrad — słoma, która tańczyła przy jego podmuchach, upadnie znów na ziemię.

— Czyż nie wiesz — rzekł Templarjusz — że wedle umowy Ryszard zostanie prawdopodobnie królem Jerozolimy, a wówczas zawrze przymierze z sułtanem, godząc się na warunki, któremi przypuszczałeś, że pogardzi.

— Czy sądzisz, że dumny król angielski zgodzi się oddać swą krewną za małżonkę poganinowi? To ja wpadłem na ten pomysł, aby mu obrzydzić całe przymierze.

— Nie liczyłeś na strawny żołądek Ryszarda — odparł wielki mistrz. — Dowcip twój, margrabio, zaczyna chromać. Nie dowierzam twoim zbyt chytrym pomysłom, lecz poprobuję moich sposobów. Czy znasz ludzi, których Saraceni zwą Charegitami*?

— Naturalnie — odparł margrabia — są to zdecydowani na wszystko i ogłupieni zapaleńcy, coś w rodzaju Templarjuszów, tylko, że nic ich nie powstrzyma od spełnienia ślubu.

— Nie żartuj — rzekł posępnie Templarjusz — jeden z nich został schwycony w obozie przez giermków; gdy go pytałem w cztery oczy, wyznał, w jakim zbrodniczym zamiarze przybył do obozu.

— Nie mów już nic więcej — odparł margrabia — rozumiem twe zamiary. Są straszne, lecz nieuniknione.

— Powiedziałem ci wszystko, abyś się miał na baczności — rzekł wielki mistrz — gdyż oburzenie w obozie będzie wielkie, a nie wiadomo, na kim się skrupi gniew Anglików. Trudność jest tylko w tem, aby jeniec się wydostał z więzienia, lecz zastanie w swej celi sztylet, a to mu ułatwi ucieczkę.

XX. DAR SALADYNA.

Ryszard zajął się gorliwie zbadaniem okoliczności, w jakich zniknęła chorągiew angielska, starał się także dowie-

dzieć o szczegóły spotkania Edyty z wypędzonym rycerzem szkockim.

W związku z temi wypadkami królowa ze swym dworem została zaniepokojona odwiedzinami Tomasza de Vaux, który przyszedł wezwać damę dworu lady Kalistę na Monfaucon (Mąfoką) do króla Ryszarda.

— Co mam powiedzieć, Miłościwa Pani? — zapytała, drżąc, dama dworu.

— Wymyśl jaką sprytną bajkę — odparła Berengarja — mój mąż nie ma czasu na badanie prawdy.

— Musisz wyznać prawdę — rzekła Edyta — bo inaczej ja sama pójdę opowiedzieć wszystko królowi.

Gdy de Vaux zaprowadził lady Kalistę do króla, wyznała mu, zapomocą jakiego podstępu rycerz Lamparta został uprowadzony ze swej placówki; usprawiedliwiała lady Edytę, będąc przekonana, że ona i tak nie omieszka się sama uniewinnić, a cały ciężar oskarżenia składała na barki królowej, swej pani, gdyż wiedziała, że Ryszard udziału swej małżonki w tym żarcie nie poczyta za ciężkie przestępstwo. Lady Kalista powróciła pośpiesznie do królowej z wiadomością, że wkrótce król odwiedzi swą małżonkę.

Dowiedziawszy się od Kalisty o przebiegu jej rozmowy z królem, królowa Berengarja włożyła suknię, w której jej było najbardziej do twarzy, i z ufnością czekała na przybycie bohaterskiego Ryszarda.

Gdy przyszedł do namiotu swej małżonki, znalazł się w sytuacji panującego, wkraczającego do zbuntowanego kraju, aby ganić i karać swych poddanych, a tymczasem zastał ich nieufnych i zrewoltowanych. Królowa nie słuchała wcale wymówek króla, na które zasłużyło jej lekkomyślne postępowanie, nie broniła się nawet, lecz winę swoją starała się przedstawić, jako niewinny żart. Płacząc i łkając, rozwodziła się nad zatwardziałem sercem swego małżonka, którego surowość zatruwa jej życie. Na te prześladowania narażała ją surowość człowieka, który, dowodząc, że uwielbia

każde jej spojrzenie, jednocześnie nie poniechał nigdy pomsty, jakgdyby chciał ją unieszczęśliwić.

Król Ryszard mocno był zakłopotany temi wyrzutami. Zmuszony do obrony, łagodnie łajał ją za podejrzliwość i uspokajał jej niezadowolenie. Przypominał, że może spoglądać w przeszłość bez wyrzutów sumienia i bez obawy, gdyż sir Kennetha zdrowego i całego oddał znakomitemu lekarzowi arabskiemu, który w razie potrzeby wyleczy go znakomicie. Lecz to był najboleśniejszy cios dla królowej, gdyż przypominał jej, że poganin i lekarz uzyskał tę łaskę, o którą napróżno błagała na klęczkach.

— Berengarjo — rzekł król — saraceński lekarz ocalił mi życie. Jeżeli jest ci ono drogie, nie zazdrość Hakimowi tej nagrody.

Tak zakończona została sprzeczka małżeńska, ale że sprawiedliwości musiało się stać zadość, król i królowa zgodnie postanowili złożyć całą winę na karła Nektabanusa i usunąć go wraz z jego królewską małżonką Ginewrą ze świty królewskiej.

Tego samego dnia Ryszard musiał stawić czoło jeszcze jednej niewieście. Chcąc rozmówić się z Edytą, poszedł do jej namiotu, przylegającego do namiotu królowej. Edyta, gdy król wszedł, wstała i skłoniła się nisko; na jego rozkaz usiadła zpowrotem i milcząc, czekała, aż on, usiadłszy obok niej, powie, czego od niej pragnie.

Ryszard odczuł chłód tego przyjęcia, rozpoczął więc z zakłopotaniem rozmowę.

— Nasza piękna krewniaczka — rzekł wreszcie — niezadowolona jest ze mnie. Pociesz się, zapewne doszły cię już wieści, że nie masz powodów do rozpaczy; rycerz twój żyje, czemu więc się smucisz?

— Martwi mnie, że honor i sława opuściły dom Plantagenetów, dom moich przodków.

Ryszard zmarszczył brwi:

— Ród nasz pozbawiony jest sławy i honoru? — po-

wtórzył gniewnie. — Powiedz mi wreszcie, jaki błąd popełniłem?

— Plantageneci — rzekła Edyta — przebaczali urazy lub je karali. Nie przystoi, by wolnego chrześcijanina i dzielnego rycerza Plantagenet oddawał w niewolę poganinowi.

— Rozumiem cię wreszcie — rzekł Ryszard — poczekaj, wyślę z pół tuzina lekkich kawalerzystów, którzy dogonią Saracena i naprawią błąd przeze mnie popełniony.

— Nie żartuj — odparła Edyta, czerwieniąc się — lecz pomyśl raczej, iż dałeś pole do podejrzeń, że Ryszard Lwie Serce wypędził z obozu najodważniejszego z rycerzy w obawie, aby nie zaćmił sławy królewskiego oręża.

— Ja zazdrosny o cudzą sławę? — zawołał Ryszard, głęboko dotknięty. — Ty sama nie wierzysz w to, co mówisz. Oburzenie i żal popychają cię do niesprawiedliwych zarzutów, na które nie zasłużyłem.

— Chętnie słucham twoich rad, gdy nie ubliżają mej godności i osobie — odparła Edyta.

— Królowie zazwyczaj nie radzą, lecz rozkazują — rzekł Ryszard.

— Sułtani pogańscy rozkazują istotnie, lecz oni rządzą niewolnikami.

— Chcesz koniecznie powiedzieć ostatnie słowo — rzekł Ryszard — niech i tak będzie. Myśl sobie o mnie, co chcesz, piękna Edyto, ale ja nie zapomnę, że jesteś mi bliska i droga!

Mówiąc to, pożegnał się z nią uprzejmie, ale niezbyt zadowolony ze swych odwiedzin.

Cztery dni upłynęły od chwili, gdy sir Kenneth opuścił obóz. Król Ryszard siedział w swym namiocie, wsłuchując się w gwar pracowitego życia żołnierskiego, w odgłosy, jakie dochodziły z kuźni, gdzie kuto podkowy dla koni, i z namiotów zbrojowników, którzy naprawiali zbroje. Ryszard, rozkoszując się temi dźwiękami, pogrążył się w marzeniach o podbojach i sławie. Nagle przerwał mu te myśli koniuszy, który wszedł, by mu oznajmić przybycie wysłannika Saladyna.

— Wprowadź go natychmiast z należnemi mu honorami — rzekł król.

Koniuszy wprowadził człowieka, który, choć wyglądał na zwykłego nubijskiego niewolnika, wzbudzał od pierwszego rzutu oka zainteresowanie swym wyglądem. Był dobrze zbudowany, o szlachetnych kształtach, a piękne rysy jego twarzy nie zdradzały wcale murzyńskiego pochodzenia. Na swych czarnych jak węgiel, kręconych włosach, miał biały jak śnieg turban, a na ramionach takiego samego koloru krótki płaszczyk, otwarty na przodzie i na ramionach, z pod którego ukazywał się kaftan z lamparciej skóry, sięgający do kolan. W prawej ręce dzierżył rodzaj krótkiego dziryta, o szerokiem, błyszczącem, stalowem ostrzu, a w lewej ręce trzymał na smyczy, utkanej z jedwabiu i złota, wielkiego, rasowego ogara. Wysłannik, uderzywszy czołem o ziemię, powstał na jedno kolano i wręczył królowi jedwabną chustkę, osłaniającą drugą, przetykaną złotem, w której dopiero znajdował się list od Saladyna.

„Saladyn, król królów, do Melecha Ryszarda, Lwa Anglji: Dowiadujemy się z twego ostatniego listu, żeś wybrał wojnę zamiast pokoju, a przyjaźń naszą odtrąciłeś. Lecz na czele niezwyciężonych zastępów tysiącznych naszych plemion przekonamy cię o twem zaślepieniu, gdy Mahomet, Prorok Boga, i Allach, Bóg Proroka, rozsądzą nasz spór. W pozostałych słowach tego listu dziękujemy ci za dary, które nam przysłałeś, a szczególniej za dziwaczne karły. Wzamian za twą szczodrość przesyłamy ci nubijskiego niewolnika Zohauka; nie sądź go, jak to czynią nierozumni ludzie, po kolorze jego skóry, gdyż ciemne owoce są najsmaczniejsze. Wypełni każdy rozkaz swego pana, albowiem jest silny, jak Rustem Zablestan; da ci nieraz dobrą radę, kiedy się już nauczysz z nim rozmawiać, gdyż władca jego mowy skazany jest na milczenie wśród kościanych ścian swego pałacu. Polecamy go twej opiece, mając nadzieję, że wkrótce przydadzą ci się jego usługi. A teraz żegnaj mi. Pragniemy,

aby święty Prorok cię oświecił i powrócił ci zdrowie, gdyż chcielibyśmy się doczekać chwili sądu Bożego między tobą a mną w otwartem polu".

List ten podpisany był przez Saladyna i opatrzony jego pieczęcią.

Ryszard przyglądał się w milczeniu stojącemu przed nim Nubijczykowi i, zachwycając się jego muskularnemi i żylastemi ramionami i nogami, zapytał go w *lingua franca:*

— Czy jesteś poganinem?

Niewolnik potrząsnął przecząco głową i przeżegnał się na dowód, że jest chrześcijaninem.

— Jesteś zapewne chrześcijaninem z Nubji? — zapytał Ryszard. — Pewnie te psy pogańskie pozbawiły cię mowy?

Niemy znów zwolna potrząsnął głową, podniósł wskazujący palec do góry i przycisnął go potem do warg.

— Rozumiem cię — rzekł Ryszard. — Nie ludzie cię skaleczyli, lecz Bóg doświadczył. Czy umiesz wyczyścić pas rycerski i zbroję, a w razie potrzeby pomóc ją wdziewać?

Niemy potwierdzająco skinął głową i, skierowawszy się do słupa, gdzie wisiała kolczuga, hełm i tarcza królewska, ujął je w rękę ze zręcznością, świadczącą, że zna obowiązki giermka.

— Jesteś widocznie zdolnym giermkiem, pozostaniesz więc na służbie w moim namiocie i będziesz miał pieczę nad moją osobą — rzekł król. — Chcę dać dowód, jak cenię dar Saladyna. Rozpoczniesz swą służbę natychmiast, gdyż dojrzałem na mej tarczy rdzawą plamę, a chciałbym, aby, gdy ją podniosę do oczu Saladyna, była tak czysta i nieskazitelna, jak mój i Saladyna honor.

Na dworze rozległ się głos rogu i w chwilę potem wszedł Neville z paczką papierów.

— To z Anglji, Miłościwy Panie — rzekł, oddając je królowi.

Otworzywszy je, Ryszard rzekł z gniewem:

— Ha! I w Anglji niema spokoju, tam także się kłócą.

Odejdź, Neville. Muszę papiery te przejrzeć w samotności i spokoju.

Neville oddalił się posłusznie, a Ryszard wkrótce pogrążył się w smutne szczegóły wiadomości z Anglji; dotyczyły one niesnasek, które szarpały jego posiadłości. Ryszarda ogarniał coraz większy niepokój, gdy czytał i odczytywał te wieści, wreszcie tak się w listy pogrążył, że stracił świadomość tego, co się wokoło niego działo.

W głębi namiotu siedział nubijski niewolnik, zajęty czyszczeniem puklerza, zwanego inaczej pawężem, który był niezwykłych rozmiarów i pokryty stalowemi płytkami. Starał się doprowadzić jego powierzchnię do gładkości i blasku kryształu, co mu się doskonale udawało. Obok Nubijczyka i zaledwie widoczny z zewnątrz leżał tuż koło niemego pies, z głową, wyciągniętą na ziemi, ze zwiniętym pod siebie ogonem i łapami.

Podczas gdy król i nowy jego sługa byli w ten sposób zajęci, nowy aktor ukazał się na scenie i wmieszał się do żołnierzy, straż trzymających przed namiotem królewskim.

Zdala od tych niedbałych strażników kręcił się Turek, stary i niepozorny, ubrany biednie jak derwisze, mieszkający na pustyni. Ten niepozorny człowieczek zbliżył się wreszcie do strażników, zdjął z głowy, widocznie z obawy przed prześladowaniami, zielony zakurzony turban i pokazał wygolone brwi i brodę, jak to było zwyczajem zawodowych trefnisiów na Wschodzie. Czarne, jak agat, jego oczy zdradzały szaleństwo.

— Tańcz, derwiszu — wołali żołnierze, którzy znali już zwyczaje tych wędrownych fanatyków — tańcz, bo cię tak wychłoszczemy, że będziesz się kręcił, jak bąk, uderzany dziecinnym biczykiem.

W ten sposób wołali niedbali strażnicy, zadowoleni, że mogą kogoś prześladować, na podobieństwo dziecka, które złapie motyla, lub chłopca, który znajdzie ptasie gniazdo.

Derwisz, jakgdyby zadowolony, że może spełnić ich żądania, zerwał się z ziemi i zaczął kręcić się przed nimi z niezwykłą szybkością. Chuda i drobna jego postać robiła wrażenie zeschłego liścia, wirującego w podmuchach zimowego wiatru. Podczas tego tańca przenosił się szybko z miejsca na miejsce, wciąż jednak niepostrzeżenie zbliżając się do wejścia królewskiego namiotu; gdy wreszcie po paru skokach wyższych od poprzednich padł wyczerpany na ziemię, znalazł się najwyżej o trzydzieści kroków od osoby monarchy.

— Dajcie mu wody — rzekł jeden ze strażników. — Pewnie chce mu się pić po tych tańcach.

— U nas wody nie dostanie — rzekł inny — ale zrobimy z tego zgrzybiałego pogańskiego tancerza gorliwego chrześcijanina, nauczymy go pić wino cypryjskie.

— A jeśli się będzie opierał, przyniesiemy wiadro, którym Dick Hunter (Dik Honter) poi swą kobyłę.

Derwisz wypił czy też udał, że pije całą flaszkę, aż do samego dna od jednego haustu i, odjąwszy wypróżnioną od ust, zawołał z głębokiem westchnieniem:

— Allah Kerim! Bóg jest łaskawy!

Strażnicy, widząc ten garncowy haust, roześmieli się tak głośno, że król wstał i, pogroziwszy im palcem, rzekł gniewnie:

— Zapominacie, chłopcy, o należnym królewskiej osobie szacunku.

Zapanowała cisza. Strażnicy, oddalając się od namiotu królewskiego, chcieli zabrać ze sobą derwisza, ale ten zmęczony tańcem czy też odurzony mocnym trunkiem, nie dał się poruszyć z miejsca, broniąc się i jęcząc.

— Zostawcie go — szepnął Długi Allen do swych towarzyszów — bo na świętego Krzysztofa, rozgniewacie znów Ryszarda i poczujemy wówczas smak jego sztyletu. Zostawmy derwisza w spokoju, za chwilę będzie spał, jak suseł.

XXI. CHYBIONY CIOS.

Król czytał i rozmyślał przy wejściu do namiotu, za nim, odwrócony plecami do wejścia, nubijski niewolnik wciąż jeszcze czyścił ogromny puklerz. O sto kroków od namiotu żołnierze stali, siedzieli lub leżeli na trawie, zajęci różnemi grami, lecz oddawali się im w milczeniu; między nimi a namiotem, leżał derwisz bez czucia, podobny do pęku łachmanów.

Nubijczyk, ku swojemu wielkiemu przerażeniu i zdziwieniu, dojrzał nagle w zwierciadle błyszczącej powierzchni puklerza, jak derwisz unosi zlekka głowę z ziemi. Widać chciał się rozejrzeć wokoło, potem szybko ją opuścił i przekonany, że nikt na niego nie patrzy, zaczął zwolna przysuwać się coraz bliżej do króla. Ruch ten wydał się podejrzany Nubijczykowi, który ostrożnie począł przygotowywać się do odparcia napadu.

Tymczasem derwisz posuwał się stopniowo i nieznacznie, jak wąż, lub raczej, jak ślimak, aż wreszcie był już tylko oddalony o jakie dziesięć stóp od Ryszarda. Wówczas, zerwawszy się na równe nogi, skoczył naprzód jak tygrys i w jednej chwili znalazł się za plecami króla z kindżałem, wydobytym z rękawa, wzniesionym do góry. Cała armja nie mogłaby już ocalić swego monarchy; lecz Nubijczyk obliczył równie dokładnie swe ruchy, jak derwisz, i nim ten ostatni zdołał opuścić broń, wzniesioną do góry, niewolnik schwycił go za rękę. Wówczas Charegita (gdyż Charegitą był domniemany derwisz) fanatyczną swą wściekłość zwrócił na tego, który mu przeszkodził w wykonaniu jego zamierzenia, i zadał Nubijczykowi cios kindżałem. Zadrasnął go jednak tylko w ramię, podczas gdy silniejszy od niego Nubijczyk z łatwością powalił go na ziemię. Ryszard powstał i, nie okazując większego zdziwienia, gniewu lub zaciekawienia, niż zwykły człowiek okazuje, wypędzając lub rozgniatając osę, schwycił stołek, na którym siedział i za-

woławszy: „Ha! Ty psie!“ roztrzaskał głowę napastnikowi. Ten, dwukrotnie powtórzywszy: „Allach akbar! Bóg jest zwycięzcą!“ skonał u stóp króla.

— Bacznymi zaiste jesteście strażnikami — rzekł Ryszard do łuczników, gdy wbiegli do namiotu. — Dobrze mnie pilnujecie! A ty, mój ciemny przyjacielu... — dodał, zwracając się do Nubijczyka. — Lecz co ja widzę, jesteś ranny? Pewien jestem, że kindżał był zatruty, gdyż takie słabe stworzenie zwykłą bronią mogło było tylko zadrasnąć skórę lwa. Niech jeden z was wyssie jad z tej rany. Trucizna jest nieszkodliwa, o ile się nie dostanie do krwi.

Strażnicy, zmieszani, spoglądali po sobie, wahając się w obawie przed nieznanem niebezpieczeństwem.

— Jakto? — zawołał król. — Mitrężycie, jakbyście się bali śmierci?

— Wasza Królewska Mość każe ludziom wysysać truciznę — mruknął jeden ze strażników — jakgdyby wydawał rozkaz zjedzenia porzeczki.

— Nigdy nie każę robić tego — odparł Ryszard — czegobym sam nie zrobił.

I bez dalszego namysłu i pomimo oporu samego Nubijczyka, król Anglji przyłożył wargi do rany czarnego niewolnika. Zaledwie skończył wysysać, Nubijczyk odsunął się szybko od niego i, zawinąwszy ramię w chustkę, ruchami wyrażał, że nie dozwoli królowi poniżać się dłużej.

Neville, który w tej chwili wszedł z innymi oficerami, obrzucił króla wymówkami.

— Nie wołaj: huzia! gdy psy zgubiły trop jelenia. Niebezpieczeństwo już minęło — rzekł król. — Rana nie jest niebezpieczna, gdyż mało krwi wyciekło.

Gdy Neville nie przestawał robić królowi wymówek, że naraża się na niebezpieczeństwo, nakazał mu milczenie.

— Milczcie, dość już o tem; weź, Neville, do swej kwatery tego Nubijczyka. Zmieniłem mój pogląd co do niego; miej na niego baczenie. Uważaj — dodał pocichu — aby nie

umknął, on nie jest tem, czem się być zdaje. Pozostaw mu zupełną swobodę, lecz nie daj mu się wymknąć z obozu.

Neville zaczął namawiać swego pana, by ukarał niedbałych strażników, ale Ryszard przerwał mu, mówiąc:

— Nie mówmy już o tem, Neville. Zalibyś chciał, żebym pomścił drobny ten wypadek surowiej, niż stratę chorągwi angielskiej? Została skradziona przez zwykłego rabusia. Mój czarny przyjacielu, sławny Saladyn pisał mi, że jesteś dobrym doradcą; dałbym ci twą wagę złota, gdybyś mi wskazał złodzieja, który mnie tak skrzywdził na honorze. Co powiesz?

Zdawało się, że niewolnik chce coś powiedzieć, ale wydał tylko dźwięk, jaki wydają niemi, potem, skrzyżowawszy na piersiach ramiona, spojrzał na króla i przytaknął głową.

— A więc podejmiesz się wykrycia sprawcy tego przestępstwa? — zapytał Ryszard z radosną niecierpliwością.

Nubijski niewolnik powtórzył znów ten sam ruch głową.

— Ale jak się porozumiemy? — spytał król. — Czy umiesz pisać, mój przyjacielu?

Niewolnik znów przytaknął.

— Dajcie mu przybory do pisania — rzekł Ryszard. — Ten niewolnik to skarb prawdziwy, to czarny diament.

— Miłościwy Panie, człowiek ten pewnie jest czarodziejem, a czarodziejom dopomaga szatan.

— Uspokój się, Neville — odparł król — nie przeszkadzaj mi, gdy błyska mi nadzieja pomszczenia honoru Plantagenetów.

Niewolnik, który przez ten czas pisał, powstał, przyciskając do brwi to, co napisał, pochylił się nisko swoim zwyczajem i oddał pismo królowi.

„Do Ryszarda zwycięskiego a niezwyciężonego króla Anglji od najpokorniejszego ze sług. Tajemnice są to szkatułki, na których niebiosa położyły swe pieczęcie, lecz rozum powinien wynaleźć sposób otworzenia ich. Gdyby sługa

twój mógł ujrzeć wszystkich wodzów armji chrześcijańskiej, maszerujących szeregami, nie wątpię, że ten, który popełnił tę zbrodnię, zostanie odkryty, gdyby się nawet ukrył pod siedmioma zasłonami".

— Na świętego Jerzego — rzekł król Ryszard — projekt twój bardzo jest na czasie. Właśnie jutro ma się odbyć przegląd wojska. Książęta, chcąc wynagrodzić Anglji krzywdę, zgodzili się dla oddania jej należnych honorów, przemaszerować przed naszą nową chorągwią, zatkniętą na wzgórzu świętego Jerzego. Tam postawimy cię, nasz czarny doradco i, jeśli zdołasz odkryć zbrodniarza, wówczas ja się z nim porachuję.

— Miłościwy Panie — rzekł Neville, ze szczerością zwykłą angielskim baronom — zaledwie spokój zapanował w świętem przymierzu, Wasza Królewska Mość na podstawie podejrzeń, rzuconych przez czarnego niewolnika, chce na nowo otworzyć rany ledwie zagojone?

— Neville — rzekł król — nie obiecywałem nigdy, że porzucę zamiar odszukania niecnego napastnika. Raczej wyrzekłbym się mego królestwa i życia.

Niewolnik znów nakreślił parę słów na kawałku papieru i doręczył go królowi w taki sam sposób, jak poprzednio. Słowa te brzmiały:

„Wola monarchy jest rozkazem dla jego niewolnika; nie przystoi mu żądać nagrody za wypełnienie swego obowiązku".

— Nagroda i obowiązek — rzekł król. — Wschodnie narody skorzystały od Krzyżowców, nauczyły się języka rycerstwa. Spójrz, Neville, jak się zmienił na twarzy; zaczerwieniłby się, gdyby był biały.

— Biedny niewolnik nie może znieść wzroku Waszej Królewskiej Mości — rzekł Neville.

— Lecz — ciągnął dalej monarcha, uderzając palcem w papier — pisze on dalej, że ma polecenie od Saladyna do lady Edyty i prosi o możność wypełnienia go. Co sądzisz o takiem śmiałem żądaniu?

— Nie wiem, czy Wasza Królewska Mość zadowolony jest z tego polecenia — rzekł Neville — lecz z pewnością, gdyby król Anglji zwrócił się z podobnem żądaniem do sułtana, wysłannik jego nie cieszyłby się długo swoją głową.

— Na to żądanie mego czarnego doradcy odpowiem tylko — odparł Ryszard — że zbyt jest śmiały, lecz przebaczę mu, jeśli postara się dokonać, co obiecał. Tymczasem, Neville, miej baczenie na niego i obchodź się z nim dobrze. A potem — dodał pocichu — wyszukaj mi tego pustelnika z Engaddi i przyprowadź go tu ze sobą. Chciałbym z nim porozmawiać na osobności.

Neville skierował się ku wyjściu, skinąwszy na Nubijczyka, aby za nim poszedł. Bardzo był zdziwiony tem, co widział i słyszał w namiocie królewskim, a szczególniej niezwykłem zachowaniem się Ryszarda. Niewolnik, choć zdobył sztukę pisania po europejsku, musiał jednak nie rozumieć po angielsku, gdyż Neville, nie spuszczał z niego oka przez cały czas rozmowy i nie zauważył najmniejszego wzruszenia na jego twarzy, pomimo, że o nim właśnie była mowa.

XXII. RYCERZ W NIEWOLI.

Musimy się cofnąć wstecz do chwili, gdy nieszczęsny rycerz Lamparta szedł ze swym nowym panem, bo tak musimy teraz nazywać Hakima, do namiotów Maura, które mieściły jego świtę i dobytek. Rycerz czuł się nieswojo, jak człowiek, który, runąwszy w przepaść, ocalił swe życie, lecz nie wie jeszcze, jaki szwank poniósł na zdrowiu. Wszedłszy do namiotu, rzucił się na posłanie ze skór bawolich i, ukrywszy twarz w dłonie, westchnął ciężko. Lekarz, usłyszawszy to westchnienie, wzruszył się głęboko i, przerwawszy swe zajęcie, siadł na skrzyżowanych nogach obok posłania, aby pocieszyć strapionego rycerza.

— Pociesz się, mój przyjacielu — rzekł. — Pomnij na

słowa poety, który mówi: Lepiej służyć u dobrego pana, niżli być niewolnikiem swych namiętności.

Sir Kenneth usiłował podziękować Hakimowi, lecz serce jego zbyt było pełne bólu, więc dobry lekarz pozostawił go w spokoju. Rycerz nie mógł nic wziąć do ust, prócz zimnej wody.

Pan jego oddawna już odprawił swe codzienne modły i położył się na spoczynek, a Kenneth nie mógł zasnąć. Gdy nadeszła północ, usłyszał, że słudzy zaczęli się ruszać, choć nic nie mówili i starali się zachowywać jak najciszej. Zrozumiał, że ładują wielbłądy i czynią przygotowania do odjazdu. Około trzeciej godziny nad ranem kwatermistrz Maura kazał mu wstawać. Uczynił to bez słowa odpowiedzi i wyszedł za nim. W świetle księżyca ujrzał objuczone już wielbłądy, a w pewnej odległości od wielbłądów stała grupa osiodłanych koni. Jednego z nich dosiadł Hakim ze zwinnością, licującą jednak z powagą jego godności, drugiego wierzchowca przyprowadzono rycerzowi.

Gdy przejeżdżali przez obóz, zatrzymywały ich liczne placówki, ale natychmiast puszczały, gdy minęli ostatnie szańce, ustawili się do drogi w szyku bojowym. Dwóch czy trzech jeźdźców wysunęło się przed oddział, jako przednia straż, paru pozostało na odległość strzału z łuku w tylnej straży, a jeśli tylko położenie pozwalało, kilku zabezpieczało boki. W ten sposób posuwali się naprzód.

Hakim, jadąc obok sir Kennetha, zauważył, że ten ogląda się na obóz, widoczny w księżycowem świetle, więc rzekł:

— Nierozsądnie jest oglądać się wstecz, gdy droga wiedzie naprzód.

W tej samej chwili koń rycerza niebezpiecznie się potknął, jakgdyby chciał do tej moralnej nauki dodać od siebie ostrzeżenie.

Rycerz musiał więc zwrócić większą uwagę na swego wierzchowca, który na tej drodze istotnie potrzebował uważnego kierowania cuglami.

— Koń ten to obraz ludzkiego losu — zauważył lekarz — gdy stąpa chyżym i pewnym krokiem, jeździec musi najbardziej uważać, aby nie spaść.

— Zdaje mi się — rzekł rycerz z przekąsem — że nie potrzebne mi są już nauki o zmienności losu. Podziękowałbym ci, Hakimie, za wybór wierzchowca, gdyby się mój był potknął tak skutecznie, aby i mnie i sobie odrazu kark skręcił.

— Mój bracie, mówisz jak szaleniec — odparł mędrzec z niezachwianym spokojem i, zniechęciwszy się do udzielania pociechy rycerzowi, który jej nie pragnął, zwrócił się do jednego ze swych sług: — Hassanie, czy nie mógłbyś nam skrócić drogi opowiadaniem?

Hassan, poeta i zawodowy bajarz, usłyszawszy to wezwanie, spiął ostrogą swego wierzchowca, zbliżył się do jadących i rozpoczął bajkę czarodziejską, przeplataną opowiadaniem o czynach bohaterskich i licznemi wyjątkami z poetów perskich.

W innym czasie zaciekawiłoby to opowiadanie rycerza, pomimo słabej znajomości języka, lecz w tych okolicznościach zaledwie zauważył, że jeden z jeźdźców przez blisko dwie godziny opowiada i śpiewa przytłumionym głosem.

W czasie tego opowiadania z głębokiego smutku, w jakim był wygnaniec pogrążony, wyrwała go żałosna skarga psa, znajdującego się w plecionej klatce, zawieszonej na grzbiecie jednego z wielbłądów.

— Niestety, biedny mój piesku — rzekł — wołasz mnie na pomoc, lecz ja jestem w gorszej niewoli, niżli ty sam. Nie będę zwracał na ciebie uwagi, nie będę ci okazywał przywiązania, gdyż potem ciężej będzie nam się rozstać.

Gdy pierwszy skrawek kuli słonecznej ukazał się nad horyzontem, dźwięczny głos El Hakima wzniósł się ponad głosem opowiadającego i przerwał mu bajkę wezwaniem, powtarzanem co ranka przez muezzinów ze wszystkich minaretów. Wezwanie to popłynęło uroczyście po piaskach pustyni.

W jednej chwili wszyscy mahometanie zsiedli z koni i, zwróciwszy się twarzami do Mekki, polecali się opiece Boga i Proroka, prosząc o przebaczenie grzechów.

Modlitwa ta, choć odmówiona w tak niezwykłem otoczeniu, odniosła jednak zwykły swój skutek: uspokoiła umysł rycerza, znękany tyloma nieszczęściami.

Tymczasem Saraceni dosiedli zpowrotem wierzchowców i jechali dalej. Jeden z jeźdźców, który wjechał na szczyt pagórka, znajdującego się po prawej stronie oddziałku, powrócił galopem do El Hakima, aby go zawiadomić o tem, co zobaczył. Czterech czy pięciu jeźdźców zostało wysłanych z nim na zwiady, a cały oddziałek, składający się z dwudziestu czy trzydziestu osób, śledził za nimi wzrokiem, chcąc wywnioskować z ich ruchów, czego się mają spodziewać.

Niepewność ta trwała, dopóki nie okrążyli pasma piaszczystych pagórków. Sir Kenneth dojrzał wówczas w znacznej odległości ciemną masę, posuwającą się szybko w pustyni. Doświadczonym swym wzrokiem poznał oddział kawalerji, znacznie liczniejszy od ich pocztu.

Niebezpieczeństwo to podziałało na przygnębionego rycerza, jak podniecający środek, i przywróciło mu świadomość jego położenia.

— Dlaczego obawiacie się tych chrześcijańskich jeźdźców? — spytał El Hakima.

— Bać się? — powtórzył z pogardą El Hakim. — Mędrzec boi się tylko Boga, lecz musi od złych ludzi spodziewać się najgorszego.

— To są chrześcijanie, z którymi zawarte zostało zawieszenie broni — rzekł sir Kenneth. — Dlaczego przypuszczacie, że nie dochowają wiary?

— To są Templarjusze — odparł El Hakim — którzy ślubują, że nie będą dotrzymywać wiary wyznawcom islamu. Bodajby Prorok zniszczył ich korzenie, konary i gałązki nawet! Ich pokój to wojna, a obietnica to zdrada. Czy

widzisz, że część ich się odłącza, kierując się ku wschodowi: to są ich paziowie i giermkowie, których jako lżej uzbrojonych wysyłają dla odcięcia nas od wody. Lecz się zawiodą: obeznany jestem dobrze z wojowaniem na pustyni, pewnie lepiej jeszcze od nich.

Dla sir Kennetha nadchodzące wypadki miały zgoła inne znaczenie i, gdy Hakim rzekł:

— Musisz się mnie trzymać zbliska — odparł mu uroczyście:

— Tam są moi towarzysze broni; przysiągłem, że będę z nimi walczyć i umierać. Na ich chorągwi widnieje znak naszego Odkupienia; nie mogę z Półksiężycem uciekać przed Krzyżem.

— Szaleńcze! — rzekł Hakim. — Przedewszystkiem skażą cię na śmierć, chociażby dlatego, żeby się nie wydało, że naruszyli zawieszenie broni.

— Zdaję się na ślepy los — odparł sir Kenneth — lecz nie zniosę więzów pogańskich, gdy tylko będę się mógł ich pozbyć.

— W takim razie zmuszę cię do udania się za mną — rzekł El Hakim.

Mówiąc to, podniósł ramię do góry i wydał głośny i przenikliwy okrzyk, jako znak dla swego orszaku, który w jednej chwili rozsypał się po pustyni.

Nim sir Kenneth zdążył się opamiętać, Hakim schwycił za uzdę jego wierzchowca i popędził oba rumaki, które pomknęły naprzód, jak błyskawice. Rycerzowi w tym pędzie brakło oddechu i niezdolny już był do pohamowania biegu rumaka.

Dopiero po upływie całej godziny takiej szalonej jazdy i, gdy daleko za sobą pozostawili pogoń, Hakim zwolnił bieg rumaków do zwykłego galopu. Poczem głosem tak spokojnym, jak w czasie zwykłej przechadzki, zaczął wychwalać wierzchowca.

Zamglone brzegi i ciemne wody Martwego morza, na

lewo poszarpany i urwisty łańcuch gór, trzy czy cztery palmy, stanowiące jedyne plamy zieloności na ogromnej przestrzeni pustyni — był to widok niezapomniany; to też sir Kenneth poznał natychmiast, że zbliża się do źródła zwanego Diamentem Pustyni, gdzie nastąpiło jego spotkanie z saraceńskim emirem Szerkofem. W parę minut potem zatrzymali swe konie nad brzegiem źródła; Hakim polecił sir Kennethowi zsiąść z konia i odpocząć w bezpiecznem tem miejscu.

— Tymczasem jedz, pij i przestań się martwić — rzekł, rozkładając na trawie zapasy. — Los podnosi lub poniża zwykłych śmiertelników, lecz mędrzec i żołnierz są wyżsi ponad to.

Szkot usiłował wyrazić swą wdzięczność i przez grzeczność starał się jeść, lecz nagłe wspomnienie poprzedniej jego bytności przy tem samem źródle zaćmiło mu umysł jak chmura. El Hakim, widząc czerwone i zaognione jego oczy, rozgrzane ręce, krótki oddech i przyśpieszony puls, rzekł:

— Musisz się przespać i, aby dobrze odpocząć, wypijesz pewien napój, zmieszany z tym oto eliksirem.

Mówiąc to, wyjął z zanadrza niewielki kryształowy flakon, oprawny w srebro filigranowej roboty i wpuścił w złoty kubek parę kropel ciemnego płynu.

— Tyle miałem dowodów twych zdolności lekarskich, Hakimie, że bez namysłu wypełnię twój rozkaz — rzekł sir Kenneth i wypił środek nasenny, zmieszany z wodą źródlaną, poczem zawinął się w arabski płaszcz, zwany haikiem, który był przytroczony do jego siodła, i ułożył się wygodnie w cieniu drzew, oczekując na zbawczy sen, obiecany przez mędrca.

XXIII. PRZEMIANA LEKARZA W EMIRA.

Gdy rycerz Lamparta zbudził się ze swego długiego i głębokiego snu, znalazł się w otoczeniu tak różnem od

tego, w jakiem zasnął, że zaczął przypuszczać, iż śni jeszcze lub też że czarodziej przemienił całą scenę. Leżał zamiast na wilgotnej trawie na posłaniu, przygotowanem z iście wschodnim przepychem; zamiast kaftana z wielbłądziej szerści, który miał pod zbroją, ktoś go przyodział w koszulę z najcieńszego płótna i w obszerną szatę z jedwabiu. Obok posłania, na hebanowym stoliku stała srebrna waza, zawierająca nadzwyczaj smaczny sorbet, zimny jak śnieg, który znakomicie gasił pragnienie, spowodowane silnym środkiem nasennym.

Spostrzegłszy przygotowaną kąpiel, postanowił wykąpać się, aby zupełnie wytrzeźwieć ze skutków lekarstwa; kąpiel orzeźwiła go istotnie, lecz zamiast swego prostego odzienia znalazł ubiór saraceński, z najkosztowniejszych materyj uszyty. Uważał jednak, że tak ubrany nie może wyjść na dwór, usiadł więc na posłaniu; głowę miał ciężką i czuł się jeszcze znużonym, wkrótce też znowu pogrążył się w głębokim śnie.

Lecz tym razem sen jego został przerwany przez lekarza, który za progiem namiotu spytał go, czy jest zdrów i czy wypoczął dostatecznie; wreszcie dodał:

— Czy mogę wejść, gdyż zasłona jest zaciągnięta?

— Pan nie pyta o pozwolenie wejścia do namiotu swego niewolnika — odparł mu Kenneth, chcąc okazać, że nie zapomniał o swem nowem położeniu.

— Lecz jeśli przychodzę nie jako pan? — spytał, nie wchodząc, El Hakim.

— Lekarz w każdej chwili może wejść do chorego — odparł rycerz.

— Nie przychodzę też jako lekarz — rzekł El Hakim — i dlatego jeszcze raz proszę cię, abyś mi pozwolił wejść do swego namiotu.

— Ktokolwiek przychodzi jako przyjaciel — rzekł sir Kenneth — a tyś był nim zawsze dla mnie, dom mój stoi dlań otworem.

— Jeszcze raz zapytuję — mówił dalej mędrzec kwiecistym stylem Wschodu — przypuśćmy, że przychodzę nie jako przyjaciel?

— Wchodź, kimkolwiek jesteś — odparł szkocki rycerz, nieco zniecierpliwiony temi omówieniami. — Wiesz przecież, że nie leży w mej mocy, ani w mej chęci zamykać drzwi przed tobą.

— Wchodzę w takim razie jako twój dawny wróg, lecz jestem wrogiem odważnym i wspaniałomyślnym.

Słowa te wymówił głos arabskiego lekarza, lecz twarz, która się ukazała, była twarzą Szerkofa.

Sir Kenneth wpatrzył się w niego, jakby się spodziewał, że zjawa ta zniknie, nakształt tworu własnej jego wyobraźni.

— Czemu się tak dziwisz? — rzekł emir. — Czy żyjąc na tym świecie, tak mało zwracałeś uwagi na ludzi, że nie zauważyłeś, iż niezawsze są tem, czem się być zdają?

— Zaiste, na świętego Andrzeja — zawołał rycerz — dla całego chrześcijańskiego obozu zdaję się być zdrajcą, a w rzeczywistości jestem uczciwym, choć błądzącym człowiekiem.

— I ja tak cię osądziłem — rzekł Ilderim — a że spożywaliśmy pospołu sól, czułem się w obowiązku ratować cię od śmierci i hańby. Lecz czemu spoczywasz jeszcze w łożu, gdy słońce tak wysoko jest na niebie? Czy szaty, które przydźwigały me wielbłądy, uważasz za niegodne ciebie?

— Nie są one niegodne, lecz nie przystoją mi — odparł rycerz. — Daj mi, szlachetny Ilderimie, szatę niewolnika, a z rozkoszą się w nią odzieję, ale nie mogę znieść stroju wschodniego wojownika i muzułmańskiego turbanu.

— Nazareńczyku — odparł emir — twoi rodacy są tak podejrzliwi, że z łatwością możesz się im narazić. Możesz się ubrać bez żadnych skrupułów w strój, przygotowany dla ciebie, gdyż, jeżeli zechcesz udać się do obozu Sala-

dyna, twój zwykły strój narazi cię na natrętną ciekawość, a może nawet na zniewagi.

— Jeżeli będę chciał się udać do obozu Saladyna? — powtórzył sir Kenneth. — Niestety! Zali jestem wolnym człowiekiem i czyż mogę udać się, dokąd zechcę?

— Tylko własna twa wola będzie tobą kierować — rzekł emir — tak swobodnie, jak wiatr w pustyni unosi piasek, dokąd sam zechce.

— Pozwól — zawołał rycerz — wyrazić ci mą wdzięczność za tę prawdziwie rycerską wspaniałomyślność, za to niezasłużone dobrodziejstwo.

— Nie jest ono niezasłużone — odparł emir. — Zachęcony twojem opowiadaniem o pięknych damach, znajdujących się w obozie Ryszarda, postanowiłem dostać się tam w przebraniu. Tam olśniły mnie najpiękniejsze istoty tego świata.

— Saracenie — odparł rycerz, blednąc i czerwieniejąc naprzemian — zapominasz, że mówisz o małżonce i krewniaczce Ryszarda!

— Błagam cię o przebaczenie — zawołał emir — zapomniałem o waszem przesądnem uwielbieniu dla niewiast. Jakże jednak musisz uwielbiać tę dziewicę o kruczych warkoczach i szlachetnem spojrzeniu!

— Uszanuj krewniaczkę Ryszarda — rzekł sir Kenneth, nie ukrywając swego oburzenia.

— Na kamień Kaaby przysięgam, że ją szanuję — rzekł emir — lecz jako przyszłą małżonkę Saladyna.

— Niewierny Saladyn niegodzien jest nawet spojrzeć na ślad stóp Edyty Plantagenet — zawołał rycerz, zrywając się z posłania.

— Ha! Coś powiedział, Nazareńczyku? — zawołał emir, schwyciwszy za rękojeść kindżału.

Czoło jego zaczerwieniło się, a muskuły na policzkach i wargach drgały tak, że każdy włosek w brodzie zdawał się wić i poruszać, jakgdyby go gniew ożywił.

— Gdybym był wolny — rzekł rycerz, skrzyżowawszy ramiona i patrząc na emira nieustraszonym wzrokiem — stanąłbym do walki pieszej czy konnej z całym światem w obronie słów moich.

— Na miecz Proroka, który jest kluczem jednocześnie do nieba i do piekła — rzekł Saracen — ten, kto przemawia tak, jak ty, bracie, mało ceni swe życie. Lecz my przecież jesteśmy przyjaciółmi, oczekuję od ciebie pomocy, a nie wymówek czy zaczepki.

— Tak, jesteśmy przyjaciółmi — powtórzył rycerz; poczem nastąpiła chwila milczenia.

Porywczy Saracen chodził po namiocie jak lew, który, powiadają, że w ten sposób uspokaja swój gniew, nim spocznie w legowisku.

— Pogadajmy spokojnie — rzekł wreszcie emir. — Jestem, jak wiesz, lekarzem. Wiadomo, że, gdy kto chce mieć zagojoną ranę, nie powinien krzyczeć, kiedy lekarz ją bada i sonduje. Musisz więc znieść z cierpliwością, gdy położę palec na niezabliźnionej ranie. Kochasz krewniaczkę Ryszarda?

— Kochałem ją — odparł po chwili sir Kenneth — tak, jak się kocha łaskę niebios; żebrałem o jej względy tak, jak grzesznik błaga Boga o przebaczenie.

— Pozwól mi jeszcze pytać — ciągnął dalej Ilderim. — Jeśli ty, żołnierz ubogi i nieznany, ośmieliłeś się pokochać istotę o tyle wyższą od ciebie, czyś miał nadzieję uzyskać jej wzajemność?

— Miłość nie może istnieć bez nadziei — odparł rycerz — lecz moje uczucie było bliższe rozpaczy, niż nadziei.

— A teraz — ciągnął dalej Ilderim — zali twoje światełko nadziei zupełnie i na zawsze zagasło?

— Na zawsze — powtórzył sir Kenneth, jak echo z głębi ruin grobowca.

— Jeśli odzyskasz dobre imię, na jakie zasługujesz, ta, którą kochasz, będzie już wówczas nietylko córą królew-

skiego rodu, ale i narzeczoną Saladyna — rzekł Ilderim. — Lecz nie o Saladynie chciałem mówić. Chciałem ci powiedzieć, że jeśli tylko zechcesz, mogę ci ułatwić odkrycie rabusia chorągwi Anglji.

— Jesteś mądry, Ilderimie — rzekł Szkot — jesteś mądry i szlachetny, choć jesteś Saracenem i niewiernym. Kieruj więc tą sprawą i, jeśli tylko nie zażądasz ode mnie rzeczy, któreby się sprzeciwiały mej wierności i wierze chrześcijańskiej, obiecuję, że ściśle będę wypełniać twe rozkazy. Dokonaj, coś obiecał, a życie moje będzie należeć do ciebie.

— Posłuchaj więc — rzekł Saracen. — Twojego psa wyleczyłem dzięki temu boskiemu lekowi, który uzdrawia ludzi i zwierzęta. Liczę na zmyślne zwierzę, że odkryje nam swego napastnika.

— Ha! — zawołał rycerz. — Zdaje mi się, że cię rozumiem. Jakże byłem głupi, żem o tem nie pomyślał!

— Lecz powiedz — dodał emir — czy nie masz w obozie służby lub wasali, którzyby poznali twojego psa?

— Wysłałem mego giermka — rzekł sir Kenneth — a twego pacjenta z jedynym mym sługą do Szkocji z listami do mych przyjaciół wówczas, gdy przypuszczałem, że wykonany zostanie nade mną wyrok śmierci; zresztą nikt w obozie nie pozna psa.

— Chodź ze mną do mego namiotu — dodał emir — a za chwilę zostaniesz przebrany tak, że cię nikt nie pozna; będziesz mógł równie bezpiecznie wejść do obozu chrześcijan, jakbyś miał na palcu pierścień Dżiaoudżi.

XXIV. ODKRYCIE PRZESTĘPCY.

Czytelnik prawdopodobnie domyśla się już teraz, kim naprawdę był niewolnik nubijski, w jakim celu dostał się do obozu Ryszarda i dlaczego stał tuż obok monarchy, gdy ten, otoczony dzielnymi parami Anglji i Normandji stał na

szczycie wzgórza świętego Jerzego. Obok króla wznosiła się chorągiew Anglji, którą dzierżył w swej dłoni Wilhelm o Długim Mieczu, książę salisburski, najpiękniejszy rycerz w obozie chrześcijańskim.

Tymczasem Krzyżowcy pod wodzą swych królów i książąt maszerowali w szykach u podnóża pagórka. W miarę, jak hufce danego kraju przechodziły, wodzowie ich wysuwali się o parę kroków naprzód, pozdrawiając Ryszarda i chorągiew Anglji na znak „poważania i przyjaźni", jak ostrożnie zaznaczał opis uroczystości, „a nie na znak poddaństwa czy lennictwa".

Były to istotnie żelazne hufce, które, zdawało się, pomimo zdziesiątkowania z łatwością zdobędą Palestynę.

Obok króla, siedzącego na koniu, stał rzekomy nubijski niewolnik, trzymając na smyczy psa takiego, jakiego używa się zazwyczaj do polowania. Nikt nie zwrócił na to uwagi, gdyż wielu książąt w czasie wyprawy krzyżowej, naśladując wschodni przepych Saracenów, wprowadziło na swoje dwory czarnych niewolników. Ponad głową monarchy powiewała chorągiew Anglji.

W głębi na samym szczycie pagórka, zbudowano umyślnie na ten cel wieżyczkę dla pomieszczenia królowej Berengarji i znaczniejszych dam dworu. Król czasem zwracał swój wzrok w tę stronę, a niekiedy znów spoglądał na Nubijczyka i psa, ale tylko, gdy zbliżali się wodzowie, których posądzał o udział w rabunku chorągwi z powodu poprzednio okazanej złej woli lub których uważał za zdolnych do takiej zbrodni.

Nie spojrzał też na niewolnika, gdy zbliżał się Filip August, król Francji, na czele wspaniałych hufców gallijskiego rycerstwa; lecz gdy się zbliżyły oddziały Templarjuszów, których rycerze i giermkowie noszą czarne zbroje, zachowanie króla odrazu uległo zmianie. Spojrzał na niewolnika, lecz Nubijczyk stał spokojnie, a czarny pies siedział u jego stóp, śledząc bystrym i zadowolonym wzrokiem szeregi

wojska, przechodzące przed nim. Król znów skierował wzrok ku rycerzom zakonu Templarjuszów: wielki mistrz, korzystając ze swego podwójnego charakteru rycerza i kapłana, pobłogosławił Ryszarda miast mu oddać honory wojskowe.

— Fałszywy i hardy wódz ukrył się przede mną pod szatę mnicha — rzekł Ryszard do księcia salisburskiego. — Lecz, Wilhelmie, pozwól mu przejść w spokoju. Z powodu takiej drobnostki nie może nasza sprawa utracić pomocy tych doświadczonych rycerzy dlatego, że zwycięstwa wbiły ich w zarozumiałość. Patrz, oto nasz dzielny przeciwnik, arcyksiążę austrjacki, zwróć na niego uwagę, Wilhelmie; a ty, Nubijczyku, uważaj, ażeby pies mógł mu się dobrze przyjrzeć.

Król Ryszard spoglądał na Nubijczyka i psa, lecz niewolnik nie ruszył się z miejsca, ani pies nie ciągnął go za smyczę. Wówczas Ryszard rzekł szyderczo do niewolnika:

— Obawiam się, mój czarny przyjacielu, że choć wziąłeś sobie do pomocy zmyślnego psa, nie zdobędziesz tym razem miana jasnowidzącego wróżbity i nie powiększysz swych zasług względem mej osoby.

Nubijczyk odpowiedział, jak zwykle, niskim ukłonem.

Tymczasem przed królem angielskim zaczęły się przesuwać wojska margrabiego na Montserrat. Potężny i przebiegły ten wódz podzielił swe hufce na dwa oddziały. Na czele pierwszego oddziału, składającego się z wasalów i poddanych z posiadłości syryjskich margrabiego, postępował brat jego Enguerrand (Angeran) a on sam dowodził pięknym oddziałem lekkiej jazdy, liczącym tysiąc dwustu ludzi.

Ubrany był tak samo, jak jego żołnierze, tylko, że strój jego kapał od złota i srebra, a śnieżno-białe pióro, przymocowane do czapki diamentową spinką, zdawało się sięgać nieba.

Król angielski postąpił parę kroków na jego spotkanie, wołając:

— Otóż jesteś, margrabio, na czele swych rączych wojowników!

Konrad miał odpowiedzieć, gdy Rozwal, dzielny pies Nubijczyka, rzucił się naprzód z wściekłem szczekaniem. Nubijczyk puścił smycz; wówczas pies skoczył na szlachetnego wierzchowca margrabiego i, schwyciwszy Konrada za gardło, ściągnął go z siodła. Jeździec upadł na piasek, a wystraszony rumak pomknął w dzikim galopie do obozu.

— Pies twój, zdaje się, upolował zwierzynę — rzekł Ryszard do Nubijczyka. — Odwołaj go, bo udusi margrabiego.

Paru wodzów syryjskich nadbiegło na pomoc Konradowi, w którego głosie i ruchach odbijało się oburzenie, wstyd, pomieszanie i gniew.

— Co to znaczy? O co jestem oskarżony? Co to za podłe i niegodne postępowanie? Pięknie Anglja traktuje swych sprzymierzeńców.

— Zali Krzyżowcy są to w oczach Ryszarda zające czy też jelenie, że szczuje ich psami? — zapytał głuchym głosem wielki mistrz Templarjuszów.

— To wypadek, czy fatalna pomyłka? — rzekł król Francji, który w tej chwili nadjechał.

— To djabelska sztuczka — zawołał arcybiskup Tyru.

— Lub podstęp Saracenów — dodał Henryk, książę Szampanji. — Należałoby psa powiesić, a niewolnika wziąć na tortury.

— Komu życie miłe, niech nie waży się ich dotknąć — rzekł Ryszard. — Konradzie, zali zaprzeczysz oskarżeniu, rzuconemu ci przez to nieme stworzenie, które instynktem wyczuło w tobie swego krzywdziciela i tego, który znieważył honor Anglji?

— Nawet nie dotknąłem chorągwi Anglji! — rzekł pośpiesznie Konrad.

— Twe słowa zdradzają cię — rzekł Ryszard — bo skąd wiedziałbyś, gdyby ci sumienie nie wyrzucało, że chodzi tu o chorągiew?

Wzburzenie ogarnęło wszystkich, ale król Francji rzekł:

— Książęta i panowie, pomnijcie, że stoicie wobec żołnierzy, którzy dobędą przeciw sobie mieczów, widząc, jaka między wami panuje niezgoda. Wzywam was, w imię Boga Najwyższego, odprowadźmy wojska nasze do kwater, a za godzinę zejdziemy się w namiocie rady, aby wyjaśnić to nowe nieporozumienie.

— Zgadzam się — odparł Ryszard — choć chciałbym zapytać tego łotra o pewne wyjaśnienia, póki jego szaty są jeszcze zabrukane błotem. Lecz niech się stanie wedle życzenia króla Francji.

Rada zebrała się o oznaczonej godzinie. Konrad, wystrojony jak książę, wszedł do namiotu rady z arcyksięciem austrjackim, wielkim mistrzem Templarjuszów, wielkim mistrzem Joannitów i z paru innymi najdostojniejszymi książętami.

Ta liczba zwolenników Konrada nie zrobiła najmniejszego wrażenia na królu Anglji. Oskarżył margrabiego wprost o zrabowanie chorągwi Anglji i o pokaleczenie wiernego psa, który stał na jej straży.

Konrad się zerwał i odpowiedział śmiało, że wbrew twierdzeniu człowieka czy zwierzęcia, króla czy psa, nie jest winien zarzucanej mu zbrodni.

— Mój bracie Ryszardzie — rzekł Filip, który chętnie grał rolę uśmierzyciela zwaśnionych — zbyt to niezwykłe oskarżenie. Słowo rycerza i księcia więcej powinno znaczyć od szczekania psa.

— Królewski mój bracie — odparł Ryszard — nie jest to pierwszy wypadek, choć istotnie jest niezwykły. Bywali już odnajdywani przez psy mordercy i złodzieje, a ludzie mówili, że jest w tem palec Boży. We własnym twym kraju, królewski mój bracie, w takim samym wypadku odbył się pojedynek między psem a człowiekiem, jako między oskarżycielem a oskarżonym.

— Istotnie pojedynek taki zdarzył się we Francji — odparł Filip. — Wówczas oskarżony o zbrodnię miał za broń

pałkę, a zamiast zbroi kaftan skórzany. Ale my nie możemy poniżyć księcia do takiej broni i do takiej walki.

— Nie myślałem też o tem — rzekł Ryszard. — Szkoda byłoby narażać życie zacnego psa w walce z fałszywym zdrajcą, jakim okazał się Konrad. Lecz leży tu moja rękawica, wzywam go do walki, aby dowiódł swej niewinności.

— Walka z królem — rzekł Filip — jest znów, w przeciwieństwie do walki z psem, zbyt wielkim zaszczytem dla Konrada.

— A ja — rzekł Wilhelm o Długim Mieczu — nie pozwolę mojemu królewskiemu bratu narażać w takiej sprawie swego życia, które należy do narodu angielskiego. Weź zpowrotem, mój bracie, tę rękawicę i wyobraź sobie, że wiatr porwał ją z twojej dłoni. Na jej miejscu leżeć będzie moja!

— Książęta i panowie! — zawołał Konrad. — Nie przyjmuję wyzwania króla Ryszarda. Lecz stanę w szrankach do walki z każdym, kto zechce bronić tego fałszywego oskarżenia i dowiodę, że jest podłym kłamcą.

— Mnie się zdaje, że możnaby zakończyć ten zatarg polubownie — rzekł król francuski — jeśli król Ryszard zechce odwołać swe oskarżenie, oparte na tak wątłych podstawach.

— Filipie, królu Francji — odparł Ryszard Lwie Serce — słowa moje nigdy nie przeczą mym myślom. Oskarżyłem Konrada, że jak złodziej, korzystając z cieniów nocy, skradł chorągiew Anglji. Nie przestałem wierzyć w to oskarżenie i, gdy nadejdzie dzień walki, wierzajcie mi, znajdę obrońcę mojego oskarżenia, wobec tego, że Konrad nie chce walczyć ze mną samym. A ty, Wilhelmie, bez mojego pozwolenia nie możesz w takiej walce użyć swego długiego miecza.

— Stanowisko moje zmusza mnie do objęcia godności sędziego w tym nieszczęsnym sporze — rzekł Filip. — Wobec tego naznaczam za pięć dni spotkanie z bronią

w ręku wedle obyczaju rycerskiego. Nie wiem jednak, gdzie znajdziemy neutralne miejsce dla rozstrzygnięcia tego sporu. Walka nie może być rozegrana wpobliżu obozu, gdyż żołnierze stanęliby po jednej lub drugiej stronie.

— Może byłoby dobrze — rzekł Ryszard — odwołać się do wspaniałomyślności Saladyna; pomimo, że jest poganinem, nie znam szlachetniejszego rycerza.

— Niechaj tak będzie — odrzekł Filip — porozumiemy się w tej sprawie z Saladynem, choć w ten sposób zdradzimy przed wrogiem niezgodę, którą powinniśmy ukrywać nawet sami przed sobą.

Wielki mistrz Templarjuszów szepnął na ucho margrabiemu:

— Zali czujesz się na siłach do tej walki?

— Ufaj mi — odparł Konrad — istotnie, stanąłbym niechętnie do walki z Ryszardem. Lecz, za wyjątkiem Wilhelma, nie obawiam się nikogo z jego rycerzy.

— Cieszę się, że jesteś dobrej myśli — ciągnął dalej Templarjusz. — Kły tego psa przyczyniły się bardziej do zniweczenia zgody wśród sprzymierzonych książąt, niż twoje plany, czy też sztylet Charegity.

— Lecz — rzekł margrabia na Montserrat — niezgodę sieją dłonie Ryszarda. Tyle przez niego wycierpieliśmy, słuchając go, jak słudzy pana, w nadziei, że użyje swej siły przeciwko wrogom, a nie przeciw przyjaciołom.

— Nie jest on wart więcej od innych — rzekł arcyksiążę. — Gdyby szlachetny margrabia walczył z nim w szrankach, pewien jestem, że pokonałby go, bo choć ten wyspiarz zadaje ciężkie ciosy toporem, gorzej włada lancą. Ja sam spotkałbym się z nim w szrankach dla porachowania się za dawne nasze spory, lecz dobro sprawy nie pozwala na walki między chrześcijańskimi władcami. Lecz jeśli mi pozwolisz, margrabio, będę twym sekundantem w tej walce.

— I ja także — dodał wielki mistrz.

— Chodźcie więc ze mną, szlachetni panowie, spożyjemy razem wieczerzę w naszym namiocie — rzekł arcyksiążę — i porozmawiamy o tych sprawach nad szklanicami dobrego wina reńskiego.

XXV. POZNANY.

Gdy Ryszard powrócił do swego namiotu, kazał przyprowadzić Nubijczyka.

— Znasz się dobrze na łowiectwie — rozpoczął król po chwili milczenia — i na hodowli psów, zmusiłeś dobrze tego łotra do odszczekiwania się. Lecz to nie wszystko, trzeba go pokonać na dobre. Ja sam z chęcią wyszedłbym na niego z myśliwskim oszczepem, lecz powstrzymują mnie od tego pewne względy. Pojedziesz do sułtana z moim listem, w którym go proszę o wyznaczenie neutralnego miejsca dla zapasów i zapraszam go o przybycie na nie, o ile miałby ochotę. A teraz, powiedz mi, zalibyś znalazł w naszym obozie rycerza, któryby z miłości do prawdy i dla zdobycia sławy stanął do walki z tym zdrajcą Konradem na Montserrat?

Nubijczyk podniósł wzrok na króla z wyrazem gorącego zapału, poczem skłonił głowę, potakując Ryszardowi.

— To dobrze, widzę, że pragniesz znaleźć takiego rycerza. A teraz przejdźmy do innej sprawy. Czy widziałeś się z Edytą Plantagenet?

Niemy niewolnik podniósł wzrok na króla, wargi jego ułożyły się, aby wymówić „nie“, lecz słowo to zamarło na jego wargach, przytłumione niewyraźnym pomrukiem.

— Co ja słyszę? — zawołał król. — Samo imię dziewicy z królewskiego rodu, pięknej naszej kuzynki, nieomal zdolne jest przywrócić mowę niememu. Jakże więc jej widok podziała na ciebie! Muszę zrobić tę próbę, mój przyjacielu. Ujrzysz więc tę najpiękniejszą z pośród dam dworu i wypełnisz polecenie Saladyna. Lecz strzeż się, aby nie zmie-

nić swego zachowania i niech ci się nie wymknie jakie słowo, gdyby ci cudownym sposobem przywrócona była mowa. Gdybyś był rycerzem i szlachcicem, powołałbym się na twój honor, prosząc o zachowanie milczenia, które jest jedynym warunkiem mojego zaufania do ciebie.

Nubijczyk wyprostował się dumnie, spojrzał prosto w oczy królowi i położył dłoń na sercu.

Ryszard wezwał wówczas swego dworzanina i rzekł mu:

— Idź, Neville, z tym niewolnikiem do namiotu mej królewskiej małżonki i powiedz, że życzę sobie, aby mógł się widzieć, ale na cztery oczy, z naszą kuzynką Edytą. Ma do niej ważne polecenie.

— Jestem poznany — myślał mniemany Nubijczyk, idąc wślad za szybko kroczącym Nevillem w stronę namiotu królowej Berengarji. — Rozwalu, wiernie służyłeś swemu panu, ale krzywda twa zostanie pomszczona! Lecz co znaczy to pozwolenie widzenia tej, której, przypuszczałem, nigdy już w życiu nie ujrzę? I dlaczego król Ryszard pozwala mi, jako wysłańcowi pogańskiego sułtana, widzieć się z Edytą, gdy uważał za największe przestępstwo nieszczęsnego wygnańca, wypędzonego z obozu, odważne wyznanie miłości do jego krewniaczki? Lwie Serce mierzy zapewne uczucia innych swemi własnemi. Mam polecenie do Edyty, ja, który nigdy słowa do niej nie przemówiłem, nawet, gdy odbierałem z jej rąk nagrody królewskie, wówczas, kiedy nie byłem jeszcze najnędzniejszym z pośród obrońców krzyża świętego. Zbliżam się do niej w poniżającem przebraniu, w stroju sługi i, niestety, jako niewolnik z plamą na mej tarczy herbowej!

W chwili, gdy to pomyślał, stanęli przed wejściem do namiotu królowej.

Straże wpuściły ich natychmiast. Neville pozostawił Nubijczyka w małym przedsionku, dobrze znanym rycerzowi Lamparta, a sam wszedł do dalszej części namiotu królowej, którą zawiadomił przyciszonym i pełnym szacunku

głosem o życzeniu królewskiem. Słowa jego przyjęte były wybuchem śmiechu.

— A jak wygląda ten nubijski wysłannik Saladyna? Musimy zobaczyć tego posła miłości. Widziałam już wielu Turków i Maurów, lecz nigdy jeszcze nie widziałam murzyna.

— Dostojna pani — rzekła lady Kalista. — Błagam cię, pozwól temu zacnemu rycerzowi zaprowadzić wysłannika wprost do księżniczki Edyty. Już raz z trudem udało nam się uniknąć skutków żartu.

Przez chwilę trwały jeszcze szepty, poczem angielski rycerz powrócił do Nubijczyka i skinął na niego, aby poszedł za nim. Neville poprowadził go do namiotu, rozpiętego w pewnej odległości od namiotu królowej; mieszkała w nim Edyta ze swą świtą.

Edyta zbliżyła się do klęczącego bez ruchu niewolnika, oświetliła mu twarz lampą, jakgdyby chciała bacznie przyjrzeć się rysom jego twarzy, poczem odsunąwszy się od niego, umieściła lampę w ten sposób, aby cień jego profilu padał na zasłonę, wiszącą obok. Wreszcie przemówiła spokojnym, choć smutnym głosem:

— Zali to ty jesteś, dzielny rycerzu Lamparta, zacny sir Kenneth, zali to ty, w tak poniżającem przebraniu, otoczony tysiącznemi niebezpieczeństwami?

Usłyszawszy niespodziewanie głos swej damy serca, zwracający się do niego tonem pełnym współczucia, prawie miłości, zaledwie mógł, pomnąc na rozkaz Ryszarda i swoją własną obietnicę, powstrzymać się od odpowiedzi. Zapanował jednak nad sobą, westchnąwszy tylko głęboko.

— Rozumiem, wiem, że dobrze odgadłam — ciągnęła dalej Edyta. — Zauważyłam cię odrazu, gdy ukazałeś się wpobliżu wzgórza, gdzie stałam z królową. Poznałam też twego dzielnego psa. Wciąż milczysz, zali to trwoga czy też wstyd powstrzymuje cię od odpowiedzi?

Rycerz mógł tylko wyrazić swe strapienie, głęboko wzdy-

chając i przyciskając jednocześnie palce do ust. Edyta odsunęła się od niego, jakgdyby była niezadowolona.

— A więc naprawdę jesteś niemową? Tego się nie spodziewałam. Czemu łamiesz ręce z taką rozpaczą? Może — rzekła, wzdrygnąwszy się cała na tę myśl — okrutnicy ci istotnie pozbawili cię mowy? Lecz widzę, że przeczysz. Czy to czary, czy też upór, nie będę się już więcej pytać; wypełnij tylko swe polecenie.

Przebrany rycerz podał jej wówczas list od sułtana, owinięty, jak zwykle, w jedwab i złotą tkaninę. Wzięła list z jego rąk i zaledwie przejrzawszy go, odłożyła na bok, a spoglądając na rycerza, rzekła:

— Nawet teraz nie dodasz ani słowa do tego listu?

Przycisnął obie dłonie do czoła, chcąc tym sposobem wyrazić cały ból, jaki odczuwał, nie mogąc jej usłuchać, lecz ona odwróciła się od niego z gniewem.

— Idź już precz — rzekła. — Dość już ci powiedziałam, za wiele nawet wobec tego, że nie raczysz mi odpowiedzieć nawet jednem słowem. Idź już! Jeśli cię skrzywdziłam, odpokutowałam już za to; bo jeśli użyto mnie dla uprowadzenia cię z powierzonej twemu honorowi placówki, w tej rozmowie zapomniałam o mej godności i poniżyłam się w moich i twoich oczach.

Przebrany rycerz mimowoli spojrzał na list w nadziei, że przedłuży się jeszcze rozmowa. Edyta wzięła go do ręki, mówiąc głosem pełnym ironji i pogardy:

— Zapomniałam, że posłuszny niewolnik czeka na odpowiedź. Przecież to list od sułtana!

Szybko przeczytała treść listu, napisanego po arabsku i po francusku, a skończywszy, roześmiała się głośno.

— To przechodzi wyobrażenie — rzekła. — Żaden żongler nie dokonałby takiej szybkiej przemiany. Opowiesz swemu panu, gdy razy jego bicza powrócą ci mowę, to, co teraz ujrzysz.

Mówiąc to, rzuciła list sułtana na ziemię i postawiła na nim stopę.

— Powiedz mu też, że Edyta Plantagenet pogardza hołdami poganina.

XXVI. PRZYJAZD KRÓLA MINSTRELÓW.

— Witaj mi, Tomaszu de Vaux! — rozległ się śmiały i szczery głos Ryszarda radosnem przywitaniem. — Witam cię z taką radością, jak pijak flaszkę wina. Jeżeli tylko Wszyscy Święci nam pozwolą, będziemy wkrótce się potykać. Gdyby walka była doszła do skutku w czasie twej nieobecności, boję się, że byłbyś się powiesił z żalu na jakiej olszynie.

— Zniósłbym to rozczarowanie bardziej po chrześcijańsku, nie chcąc umrzeć śmiercią zdrajcy. Lecz wdzięczny jestem Waszej Królewskiej Mości za to przywitanie; przywiozłem ze sobą kogoś, którego Wasza Miłość przywita z jeszcze większą radością.

W tej chwili wysunął się naprzód, aby przywitać monarchę, młody człowiek, drobnej i niepozornej postaci. Ubrany był skromnie i twarz miał pospolitą, lecz na swej czapce miał złotą klamrę z drogim kamieniem, którego blask równał się tylko z blaskiem oczu, spoglądających z pod czapki.

— Blondel de Nesle (Błądel de Nel!) — król zawołał radośnie. — Witaj mi, przybyszu z Cypru, królu minstrelów, wita cię król Anglji, który ceni cię narówni ze swą koroną. Jakie wieści przywozisz, mistrzu, z krainy liry? Czy trubadurzy z Prowancji i minstrele z Normandji ułożyli jakie nowe pieśni, a przedewszystkiem zali ty sam stworzyłeś co nowego?

— Wyuczyłem się paru nowych pieśni i parę sam ułożyłem, Miłościwy Panie — odparł sławny Blondel ze skromnością, której nie zdołał zniweczyć entuzjastyczny podziw króla.

— Musisz nam je zaraz zaśpiewać — rzekł król; poczem, dotknąwszy się dobrotliwie ramienia Blondela, dodał: — O ile naturalnie nie jesteś zmęczony podróżą.

— Mnie się zdaje, — rzekł Tomasz de Vaux — że może byłoby lepiej, aby Wasza Królewska Mość dowiedział się wprzód, jakiemi rozporządza siłami. Mam w tej sprawie do złożenia raporty z Ascalonu.

— Jesteś osłem, Tomaszu — rzekł król — istnym osłem, upartym i nierozgarniętym. Podaj stołek Blondelowi. Gdzie jest sługa z harfą? Stój, lepiej daj mi moją harfę, jego może się rozstroiła w czasie podróży.

— Chciałbym jednak, aby Wasza Królewska Mość zechciał wysłuchać mego raportu — rzekł de Vaux. — Długą podróż odbyłem i bardziej mnie ciągnie do posłania, niżli do słuchania pieśni.

— A więc pójdź, panie ośle — rzekł król — wyładuj swoje juki, żebyś mógł powędrować do stajni na odpoczynek; nie będzie się też muzyka bezużytecznie marnować dla ciebie. Tymczasem, ty mój bracie Salisbury, idź do namiotu mej małżonki i powiedz jej, że przybył Blondel ze swym tłomokiem, wyładowanym najnowszemi pieśniami minstreli. Poproś, aby przyszła tu natychmiast, będziesz jej sam towarzyszył, a bacz, żeby i nasza krewniaczka, Edyta, wraz z nią przybyła.

Zatrzymał przez chwilę swój wzrok na Nubijczyku z tą podejrzliwością, z jaką zazwyczaj spoglądał na niego.

— Ha, więc już powrócił nasz milczący i tajemniczy wysłannik? Stań, niewolniku, za plecami de Neville'a, za chwilę usłyszysz dźwięki pieśni i będziesz dziękował Bogu, że cię stworzył niemym, a nie głuchym.

Mówiąc to, odwrócił się do barona de Vaux i zatopił się natychmiast w planach wojskowych, które baron mu przedstawiał.

Gdy Tomasz de Vaux skończył swój raport, wysłannik oznajmił, że królowa ze świtą zbliża się do królewskiego namiotu.

— Podajcie flaszę cyprýjskiego wina, które zdobyliśmy, biorąc Famagostę. Nalejcie naszemu Tomaszowi. Panowie! Bardziej ostrożnego i wierniejszego sługi niż on, nie posiadał żaden władca.

— Szczęśliwy jestem — odparł de Vaux — że Wasza Miłość uważa osła za pożytecznego sługę, choć głos jego nie jest tak miły, jak dźwięki włosia lub strun.

— Widać pochodnie na dworze — zawołał król. — Królowa się zbliża! Śpieszcie, panowie, aby ją przywitać, i starajcie się o łaski najpiękniejszych oczu chrześcijańskiego świata. Tomaszu, nie poprawiaj swej opończy, bo cię wyprzedzi Neville!

— Nie wyprzedził mnie nigdy na polu bitwy — odparł de Vaux, niezbyt zadowolony, że bardziej ruchliwy dworzanin wysunął się przed niego.

— Ani on, ani nikt nie wyprzedził cię na polu walki, mój zacny Tomaszu — rzekł król.

— Pozwól, Miłościwy Panie — dodał de Vaux — że oddamy sprawiedliwość nieszczęsnemu rycerzowi Lamparta, który nieraz mnie wyprzedzał w bitwie, gdyż, jak Wasza Królewska Mość zapewne pamięta, był ode mnie lżejszy, więc...

— Milcz! — przerwał mu król tonem rozkazującym. — Ani słowa o nim! — i ruszył naprzód, by witać królowę; poczem przedstawił jej Blondela, króla minstrelów i mistrza wiedzy radosnej, poczem, wskazawszy mu miejsce, rozkazał rozpocząć pieśni.

Gdy Blondel skończył, rozległy się za przykładem Ryszarda oklaski, król obsypał ulubionego swego minstrela pochwałami, a wkońcu ofiarował mu drogocenny pierścień. Królowa obdarzyła go bogatym naramiennikiem, a wielu panów poszło za przykładem pary monarszej.

— Zali nasza krewniaczka — zapytał król Edytę, którą odprowadzał do jej namiotu — stała się nieczułą na dźwięk harfy, którą ongi tak lubiła?

— Wdzięczną jestem Blondelowi za jego pieśni — odparła Edyta — lecz bardziej jeszcze królowi, który rozkazał mu je zaśpiewać.

— Jaką odpowiedź mam dać Saladynowi? — spytał Ryszard.

— Powiedz mu, że najuboższa nawet dziewica z rodu Plantagenetów zaślubiłaby raczej nędzarza, niż poganina.

— Myślę, że byłabyś bliższą prawdy, powiedziawszy, że zaślubiłabyś raczej *niewolnika*.

— Nie czas rzucać takie podejrzenia. Lituję się nad niewolnikami ciała, lecz pogardzam niewolnikami ducha! Hańba ci, królu Anglji! Oddałeś w niewolę ciało i ducha rycerza, który ongi niemal dorównywał ci w sławie rycerskiej.

— Edyto — rzekł król — nie mogę cię zmusić, lecz strzeż się, żeby nie zatrzasnęły się otwarte przez Niebiosa wrota. Mogłabyś się poświęcić dla tak pomyślnych dla chrześcijaństwa planów.

— Słyszałam, że zhańbienie chrześcijańskiej dziewicy było przyczyną wtargnięcia Saracenów do Hiszpanji, nie zechcesz więc, aby hańba innej dziewicy usunęła ich z Palestyny.

— Czy uważasz, że zostaniesz zhańbioną, zostawszy żoną sułtana? — spytał król.

— Uważam za wstyd i hańbę, abym ja, księżniczka chrześcijańska, została jedną z żon w pogańskim haremie.

— Nie będę się z tobą spierał — rzekł król po chwili milczenia — choć myślę, że zależność twoja powinnaby cię skłonić do większej powolności. Lecz doszliśmy już do twego namiotu, musimy się rozstać w zgodzie.

Ucałował ją czule z szacunkiem, poczem powrócił przez obóz, tonący w świetle księżycowem, nucąc urywki pieśni Blondela.

Powróciwszy do namiotu, bez zwłoki napisał odpowiedź sułtanowi i doręczył ją Nubijczykowi, któremu polecił z brzaskiem dnia wyruszyć w drogę powrotną do Saladyna.

XXVII. DIAMENT PUSTYNI.

Następnego ranka Ryszard został zaproszony na naradę do Filipa, króla Francji, który zawiadomił go nadzwyczaj uprzejmie, lecz wyraźnie o swym zamiarze powrotu do Europy. Ryszard starał się go przekonać, lecz napróżno; nie zdziwiła go potem wiadomość o podobnych zamiarach arcyksięcia austrjackiego i kilku innych książąt. Ryszard wyrzucał sobie, że do pewnego stopnia był to skutek jego porywczego i nieostrożnego charakteru.

Myśli te tak trapiły króla, że de Vaux z radością przywitał przybycie posła Saladyna, bo wiedział, że skieruje to myśli króla na inne tory.

Nowy ten poseł był to wielce szanowany przez sułtana emir Abdallah el Hadżi*. Poseł Saladyna z radością ofiarował w jego imieniu pole do zapasów i glejty dla tych wszystkich, co chcieliby jako widzowie uczestniczyć w zapasach, a w dowód bezpieczeństwa ofiarował się sam na zakładnika. Ryszard, pogrążywszy się w omawianiu zajmujących szczegółów walki, zapomniał wkrótce o swych zawiedzionych nadziejach i o bliskim końcu Ligi książąt chrześcijańskich.

Na pole walki wyznaczona została oaza, zwana Diamentem Pustyni. Była ona jednakowo odległa od chrześcijańskiego, jak od saraceńskiego obozu. Ustalono, że w dzień zapasów Konrad na Montserrat wraz ze swymi świadkami, arcyksięciem austrjackim i wielkim mistrzem Templarjuszów, zjawią się tam z pocztem, liczącym najwyżej stu ludzi, że Ryszard, król Anglji i brat jego Salisbury, którzy byli oskarżycielami, przybędą z taką samą liczbą żołnierzy, że sułtan będzie miał ze sobę pięć setek straży.

Gdy przedwstępne układy zostały ukończone, a Konrad i jego sekundanci zostali o nich powiadomieni, Abdallah el Hadżi został zaproszony do króla na prywatne przyjęcie, podczas którego wysłuchał z zachwytem pieśni Blondela.

W wigilję dnia, naznaczonego dla zapasów, Konrad ze swymi przyjaciółmi wyruszył przed świtem na miejsce spotkania. O tej samej porze Ryszard opuścił obóz, kierując się do tego samego celu, lecz zgóry postanowiono, że wybierze inną drogę; była to konieczna ostrożność dla uniknięcia waśni między zbrojnemi orszakami.

Berengarję ogarnęła kobieca trwoga na myśl, że znajdzie się z nieliczną świtą wśród wyjącej dziczy. Lecz gdy się podzieliła swemi obawami z Ryszardem, ten odparł z niezadowoleniem i pogardą:

— Byłoby rzeczą gorszą od niewdzięczności, gdybyśmy zwątpili w dobrą wiarę szlachetnego Saladyna.

Ta sama jednak wątpliwość i trwoga ogarniała silną i prawą duszę Edyty. Podejrzliwość królowej zwiększyła się jeszcze, gdy pod wieczór ujrzała arabskiego jeźdźca w turbanie i z długą włócznią, krążącego, jak sęp w powietrzu, po niewielkiem wzgórzu, który za ukazaniem się królewskiego orszaku szybko znikł za horyzontem.

— Zbliżamy się widocznie do oazy — rzekł król Ryszard — a ten oto jeździec jest zapewne wysuniętą placówką oddziału Saladyna. Zdaje mi się nawet, że słyszę dźwięk maurytańskich rogów i cymbałów. Sprawcie szyki i ustawcie się wokoło dam, jak przystoi rycerzom.

Posuwali się naprzód w zwartych szeregach, aż do chwili, gdy, minąwszy szereg niskich piaszczystych pagórków, ujrzeli oazę. Wówczas ukazał się ich oczom wspaniały, ale zarazem przerażający widok.

Diament Pustyni, który do niedawna był samotnem źródłem, wyróżniającem się tylko grupą paru palm od niezmierzonej pustyni, był teraz ośrodkiem obozu. W promieniach zachodzącego słońca haftowane chorągwie i złocone ozdoby połyskiwały zdaleka tysiącem bogatych odcieni. Namioty pokrywały tkaniny w najjaskrawszych barwach: były one purpurowe, żółte, niebieskie i innych żywych kolorów, zakończenia filarów, podtrzymujących namioty, były

ozdobione złoconemi kulami i małemi jedwabnemi chorągiewkami. Lecz obok tych wspaniałych namiotów była przerażająca wprost liczba czarnych małych namiotów arabskich, wystarczających, jak de Vaux obliczył z niepokojem, dla pomieszczenia pięciotysięcznej armji. Tylu też mniej więcej Arabów i Kurdów zgromadziło się szybko, każdy z nich prowadził ze sobą konia.

Wkrótce utworzyli przed obozem liczną i bezładną gromadę spieszonych jeźdźców. Wtem rozległ się przenikliwy okrzyk, górujący ponad dźwiękami orkiestry, i jeźdźcy dosiedli koni. Drugi okrzyk był znakiem dla konnicy do ruszenia naprzód w pełnym galopie. Otoczyli oni natychmiast ze wszystkich stron maleńki oddziałek Ryszarda. Ci, którzy byli na tyłach chrześcijan, wypuścili nad ich głowy gęstą chmurę strzał. Jedna z nich utkwiła w lektyce królowej, która wydała głośny okrzyk trwogi. Czoło Ryszarda oblało się gorącym rumieńcem.

— Na świętego Jerzego — zawołał. — Musimy zrobić porządek z temi niewiernemi psami.

Lecz wówczas Edyta, której lektyka znajdowała się wpobliżu, wyjrzała z niej, trzymając w ręku strzałę i mówiąc:

— Miłościwy Panie, zastanów się, co czynisz, spójrz, strzały te są bez ostrzów.

— Uspokójcie się, towarzysze — zawołał Ryszard do swych żołnierzy. — Strzały ich i włócznie są bez ostrzów. Oni nas tylko w taki dziki sposób witają, choć bezwątpienia z radościąby nas rozproszyli w przestrachu. Jedźmy więc naprzód powoli i odważnie.

Gdy się już zbliżyli do obozu, kurz zaczął się przerzedzać i przez jego tumany ujrzeli bardziej regularny oddział jeźdźców w pełnym rynsztunku. Oddział ten liczył około pięciuset ludzi, a każdy wierzchowiec wart był książęcej fortuny.

Wspaniała ta konnica postępowała naprzód przy dźwiękach wojskowej muzyki, a gdy doszła do orszaku chrześcijan, rozstąpiły się jej szeregi.

Ryszard wysunął się na czoło swego oddziału, domyślając się, że nadjeżdża Saladyn. I rzeczywiście wpośród swej przybocznej straży, otoczony świtą i murzynami, których brzydotę podnosił jeszcze bogaty strój, ukazał się sułtan. Spojrzenie jego i ruchy mówiły same przez się: „Oto władca“. Dosiadał białego jak mleko arabskiego rumaka, stąpającego z taką dumą, jakby się szczycił, że tak zaszczytny dźwiga na sobie ciężar.

Dwaj bohaterscy królowie, gdyż obu można nazwać bohaterami, jednocześnie zeskoczyli z koni; wojska stanęły bez ruchu, muzyka przestała grać, a obaj ruszyli ku sobie w głębokiem milczeniu, i skłoniwszy się wzajemnie, uściskali się jak bracia.

— Melech Ryszard był mi upragniony, jak woda na pustyni. Spodziewam się, że nie przestraszyły cię te chmury strzał? Z wyjątkiem uzbrojonych niewolników z mej świty, ci wszyscy, którzy wpatrują się w ciebie z zachwytem i przychylnością, są wszyscy wybranymi rycerzami z pośród tysiącznych podległych mi plemion; któż pozostałby w domu, gdy może ujrzeć Ryszarda Lwie Serce? Wśród piasków pustyni dźwiękiem jego imienia matka ucisza dziecię, a wolny Arab poskramia dzikiego rumaka.

— A więc to są rycerze, wybrani z całej Arabji? — spytał król Ryszard, rozglądając się wokoło.

— Tak jest — odparł Saladyn — lecz nie mają oni broni przy sobie, prócz szabel; nawet zdjęte są ostrza z ich włóczni.

— Szlachetny Saladynie — rzekł Ryszard — ciebie nie mogę podejrzewać. Spójrz — dodał, wskazując na lektyki — przywiozłem też ze sobą dzielnych wojowników.

Sułtan skłonił się ku lektykom tak nisko, jakby zwracał się ku Mecce, i ucałował piasek w dowód szacunku.

— Ujrzysz je, bracie, w naszym namiocie — dodał Ryszard.

— Poco? — odparł smutnie Saladyn. — Twój ostatni list był dla mych nadziei, jak woda dla płomieni. Lecz mój

brat może zechce spocząć w namiocie, który twój sługa przygotował dla ciebie? Najstarszy z pośród mych czarnych niewolników zajmie się przyjęciem księżniczek, moi oficerowie zaopiekują się twą świtą, a ja będę dworzaninem króla Ryszarda!

I zaprowadził go do wspaniałego namiotu, urządzonego z przepychem, jaki trudno sobie wymarzyć. Uwagę Saladyna zwrócił na siebie przedewszystkiem oburęczny miecz Ryszarda, o szerokiem, prostem ostrzu, który był tak długi, że sięgał od ziemi aż do ramienia rycerza.

— Czy mógłbym cię prosić, szlachetny Ryszardzie — spytał Saladyn — abyś zadał nim przynajmniej jeden cios, w dowód swej siły?

— Z miłą chęcią, szlachetny Saladynie — odparł Ryszard i rozejrzał się wokoło, na czemby mógł wykazać swą siłę.

Ujrzawszy w ręku jednego ze swych dworzan stalowy czekan z taką samą rękojeścią, grubości półtora cala, wziął go i położył na pniu drzewa.

Podniósł obiema rękami błyszczący miecz, aż na wysokość lewego ramienia, zrobił nim młynka wokoło głowy, a potem spuścił go z taką szybkością i siłą, że czekan żelazny spadł rozrąbany napół, jak młoda płonka, przecięta nożem leśnika.

— Na głowę Proroka, zadziwiający cios! — rzekł sułtan, dokładnie oglądając żelazną sztabę, rozciętą na dwoje i ostrze miecza tak hartowne, że nie miało śladu po tem cięciu. — Radbym ci coś pokazać — ciągnął dalej Saladyn — choć słabszy nie powinien się chwalić przed silnym. Każdy kraj ma swoje sposoby robienia bronią, a to, co pokażę, może nie jest jeszcze znane melechowi Ryszardowi.

Mówiąc to, postawił na ziemi poduszkę jedwabną, wypchaną puchem, i zapytał:

— Czy miecz twój mógłby przeciąć tę poduszkę?

— Nie — odparł Ryszard. — Nie istnieje na świecie miecz, któryby mógł przeciąć rzecz, nie dającą oporu.

Saladyn wówczas dobył szablę o zakrzywionej i wąskiej klindze ciemno-niebieskiej barwy. Podniósł wgórę tę niewinną broń, jaką się wydawała w porównaniu z mieczem Ryszarda, oparł się silnie na lewej nodze i posunąwszy się naprzód raptownie, dotknął szablą tak zręcznie poduszki, że zrobiło wrażenie, jakby się sama rozpadła na dwie części.

— To kuglarska sztuczka — rzekł de Vaux, wysunąwszy się naprzód — to są czary.

Zdawało się, że sułtan go zrozumiał, gdyż zdjął z głowy zasłonę i złożywszy ją na dwoje, zawiesił na ostrzu szabli, poczem podniósł szybko broń do góry i zasłona przecięta na dwoje, upadła na dwie strony.

— Szczerze ci wyznam, mój bracie — rzekł Ryszard — że jesteś równie zręczny w zadawaniu ran, jak mój uczony Hakim w ich leczeniu. Myślałem, że go tu ujrzę; chciałbym mu jeszcze raz podziękować i ofiarować skromne dary, które dla niego przywiozłem.

Gdy to wyrzekł, Saladyn zdjął turban i na to miejsce włożył tatarską czapkę.

— Cud! Prawdziwy cud! — zawołał Ryszard. — Nie poznałem mojego uczonego Hakima pod innym ubiorem, lecz odnalazłem go w osobie mojego królewskiego brata Saladyna.

— Tak bywa na tym świecie — odparł Saladyn. — Słusznie też powiadają, że suknia nie czyni derwisza.

— Za twojem więc wstawiennictwem rycerz Lamparta uniknął śmierci — rzekł Ryszard — i za twoją też przyczyną powrócił w przebraniu do mego obozu?

— Tak, istotnie — odrzekł Saladyn. — Jako lekarz wiedziałem, że dopóki rany na jego honorze są niezagojone, dopóty policzone są dni jego żywota. Lecz przebranie jego łatwiej zostało poznane, niż moje.

— Wypadkiem odkryłem — rzekł Ryszard — że ma ufarbowaną skórę; potem łatwo już było dalsze wyciągnąć wnioski, szczególniej, że ma postać nieprzeciętną. Myślę, że jutro stanie do walki.

— Z otuchą przygotowuje się do zapasów — odparł Saladyn. — Dostarczyłem mu wierzchowca i broni, gdyż, widząc go w różnych okolicznościach, nabrałem o nim jak najlepszego mniemania.

— Czy wie, komu to wszystko zawdzięcza? — spytał Ryszard.

— Musiałem mu wyznać, kim jestem — odrzekł Saladyn — gdy przedstawiłem mu swe zamiary.

— I on zapewne wyspowiadał się przed tobą? — król angielski pytał dalej.

— Nie wyznał nic ważnego — odrzekł sułtan — lecz domyślam się z tego, co mi mówił, że pokochał osobę tak wysokiego rodu, iż uważa uczucie swoje za beznadziejne.

— Więc wiesz, że jego bezczelna miłość krzyżuje twoje zamiary? — spytał Ryszard.

— Domyślam się tego — rzekł Saladyn — lecz miłość jego trwa już dawniej od moich zamiarów i muszę dodać, że zapewne je przeżyje. Nie mogę się mścić za moje zawiedzione nadzieje na niewinnym rycerzu.

Saladyn, opuściwszy namiot królewski, udał się na spotkanie margrabiego na Montserrat i jego towarzyszów; przyjął ich z równym przepychem, choć nie tak serdecznie jak Ryszarda.

Nim król angielski skończył spożywać posiłek, wszedł do namiotu emir, ten sam, który przywiózł list Saladyna do chrześcijańskiego obozu, i przyniósł z sobą plan zapasów. Król zajął się ustalaniem warunków walki, co zajęło wiele czasu, gdyż nieraz trzeba się było odnosić do przeciwników lub do sułtana.

Wreszcie na wszystko uzyskano zgodę i spisano protokół po francusku i po arabsku. Został on podpisany przez Saladyna, jako sędziego walki, a przez Ryszarda i przez Leopolda, jako zaręczających za zapaśników. Gdy emir opuścił wreszcie namiot królewski, wszedł de Vaux.

— Rycerz, który ma jutro walczyć, pyta, czy może

dziś jeszcze pokłonić się swemu królewskiemu sekundantowi?

— A więc go widziałeś, de Vaux? — rzekł król, uśmiechając się. — Poznałeś zapewne swego dawnego znajomego?

— Nie byłbym z pewnością poznał sir Kennetha, gdyby nie łasił się do mnie jego pies.

— Lepiej widzę znasz zwierzęta, niż ludzi — odparł król.

— Nieraz zwierzęta są uczciwsze od ludzi — odparł de Vaux. — Wasza Królewska Mość raczy mnie też czasem nazywać osłem, a ja sam służę pod rozkazami Lwa.

— Na świętego Jerzego, dobrze mi się odciąłeś — rzekł król. — Zawsze mówiłem, że jesteś dowcipny, de Vaux, tylko na to, żeby wykrzesać iskrę z twego dowcipu, trzeba użyć młota kowalskiego. Ale do rzeczy: czy nasz rycerz dobrze jest uzbrojony i zaopatrzony?

— Uzbrojony jest i ubrany najzupełniej dostatecznie, nawet bogato — odparł de Vaux.

— Powiedz mi, bo to sprawa ważna — zapytał Ryszard — czy był u niego spowiednik?

— Jest przy nim pustelnik z Engaddi — odparł de Vaux — już raz przygotowywał go na śmierć. Przybył ze swej pustelni, gdzie doszła go wieść o pojedynku.

— To dobrze — rzekł król — a co do jego prośby, powiedz mu, że Ryszard go przyjmie, gdy przy Diamencie Pustyni zmaże winę, popełnioną na wzgórzu świętego Jerzego. Będziesz przechodził przez cały obóz, zajdź więc do namiotu królowej i powiedz, że wkrótce przybędę do niej. Daj też znać Blondelowi, żeby się tam stawił.

Namiotu królowej strzegli czarni niewolnicy. Przed wejściem chodził Blondel. Gdy król nadszedł, zapytał go, czemu nie wszedł do środka.

— Nie mogę się obejść ani bez rąk, ani bez głowy — odparł Blondel, — a te czarne djabły posiekałyby mnie na sztuki, gdybym chciał wejść do namiotu królowej.

— Wejdziesz ze mną — rzekł król — w ten sposób będziesz już zupełnie bezpieczny.

Wewnątrz namiotu, oprócz królowej, zastali Tomasza de Vaux. Podczas gdy Berengarja witała Blondela, król na boku rozmawiał przyciszonym głosem ze swoją krewniaczką. Wreszcie zapytał szeptem:

— Zali wciąż jesteśmy wrogami, moja miła Edyto?

— Nie, Miłościwy Panie — odparła Edyta cicho, żeby nie przeszkadzać muzyce. — Nikt długo nie może się gniewać na króla Ryszarda, gdy raczy być dobrym, odważnym i szlachetnym.

I wyciągnęła dłoń ku niemu. Król pocałował tę rękę na znak zgody i ciągnął dalej:

— Konrad na Montserrat dobrze włada kopją. Co będzie, jeśli Szkot zostanie pobity?

— To nie może być — rzekła Edyta ze stanowczością. — Widziałam na własne oczy Konrada, drżącego i mieniącego się na twarzy, jak zwykłego złodzieja. On jest sprawcą zbrodni, a ta walka jest przecież wołaniem o sprawiedliwość do Boga. Ja sama, bez obawy, stanęłabym do walki.

— Wierzę, że uczyniłabyś to — rzekł król. — Lecz jak wynagrodzisz zwycięskiego rycerza Lamparta?

— Odpłaciłam mu się za jego usługi pochwałami, a łzami oblałam jego cierpienia — odparła, czerwieniąc się, Edyta.

XXVIII. SĄD BOŻY.

Postanowione było zgóry, że z powodu upałów sąd Boży odbędzie się w godzinę po wschodzie słońca. Na długo przed wschodem słońca szranki zostały otoczone większą jeszcze liczbą Saracenów, niż Ryszard zauważył poprzedniego wieczoru. Gdy ponad pustynią ukazał się pierwszy promień słońca, sam sułtan wezwał wiernych na modlitwę. Wołanie to zostało powtórzone przez tych wszystkich, którym stanowisko i godność pozwalały zastępować muezzina.

Tymczasem sekundanci obejrzeli, jak było ich obowiązkiem, zbroje zapaśników i zbadali, czy są dostatecznie przygotowani do walki. Arcyksiążę nie śpieszył się z wykonaniem tego ceremonjału, gdyż poprzedniego wieczoru uraczył się zbytnio winem z Sziraz*. Ale wielki mistrz Templarjuszów, którego bardziej obchodziły wyniki walki, wcześnie się stawił w namiocie Konrada na Montserrat.

— Wstawaj, szlachetny margrabio! Giermkowie, czas już uzbroić waszego pana do walki!

Na to wołanie wielkiego mistrza weszli dworzanie i zaczęli odziewać margrabiego.

— Jaka dziś pogoda? — spytał margrabia.

— Słońce wzeszło za chmurami — odparł giermek.

— Widzisz, nic nam nie przyja — rzekł margrabia do wielkiego mistrza.

— Będziesz przynajmniej walczył w chłodzie, mój synu — odparł wielki mistrz. — Podziękuj niebiosom, że zakryły palące promienie słońca — a w duchu dodał: — Ten tchórz przegra walkę ze strachu i braku woli. Obawiam się, aby komu nie wyznał naszych wspólnych tajemnic.

Godzina walki nadeszła wreszcie; trąby zabrzmiały i w szranki wjechali obaj rycerze, uzbrojeni od stóp do głów i przybrani, jak na walkę o honor królewski przystało. Trzy razy objechali szranki z podniesionemi przyłbicami, aby pokazać się widzom. Obaj byli pięknego wzrostu i szlachetnej postawy, lecz kiedy na czole Szkota malowała się ufność, nadzieja, radość prawie, Konrad nadaremnie usiłował odzyskać odwagę, a złe przeczucia pokrywały mu czoło chmurą.

Poniżej galerji, gdzie siedziała królowa, wzniesiono tymczasowy ołtarz; przy nim stał pustelnik z Engaddi w habicie Karmelity. Do tego ołtarza sekundanci przyprowadzili kolejno rycerzy. Zsiadłszy z koni, zaprzysięgali na Ewangelję słuszność swej sprawy i błagali Boga o udzielenie zwycięstwa temu z rycerzy, który bronił sprawiedliwo-

ści. Przysięgli też, że walczyć będą, jak prawi rycerze, zwykłą bronią, nie uciekając się do czarów i talizmanów.

Księża, po odprawieniu uroczystych modłów z błaganiem do Boga o udzielenie zwycięstwa słusznej sprawie, opuścili szranki. Wówczas angielskie trąbki zagrały przygrywkę, a herold zawołał:

— Oto jest szlachetny rycerz Kenneth ze Szkocji, zapaśnik króla angielskiego Ryszarda, oskarżający Konrada, margrabiego na Montserrat o podłą i haniebną zdradę, przeciw rzeczonemu królowi popełnioną.

Gdy usłyszano nazwisko Kennetha, ogólnie znanego, rozległy się głośne i radosne okrzyki na jego cześć wśród orszaku Ryszarda. Pomimo wołania o ciszę nie można było dosłyszeć odpowiedzi margrabiego, który naturalnie zapewniał o swej niewinności i oznajmiał gotowość do walki.

Giermkowie, zbliżywszy się do swych panów, podali im kopje i zawiesili puklerze na szyi, aby mieli wolne ręce do kierowania koniem i robienia bronią.

Na puklerzu Szkota oprócz dawnego herbu, wyobrażającego Lamparta, widniał zerwany łańcuch na pamiątkę jego niewoli. Na puklerzu margrabiego było wyobrażenie skalistego łańcucha gór. Każdy z nich wstrząsnął swą kopją, jakby chciał wymiarkować jej ciężar i siłę, poczem opuścił ją nadół. Wówczas sekundanci, heroldowie i giermkowie usunęli się pod ogrodzenie, a walczący stanęli naprzeciwko siebie z nastawionemi kopjami i spuszczonemi przyłbicami. Stali tak parę minut, aż wreszcie na znak dany przez sułtana, dźwięk stu instrumentów rozległ się w powietrzu, a rycerze, puszczając wodze i spinając rumaki ostrogami, ruszyli galopem ku sobie. Spotkali się z siłą dwóch piorunów. Ani chwili nie było wątpliwości co do wyniku walki. Konrad okazał się dzielnym wojownikiem, bo z taką siłą i zręcznością kierował swą kopją, że uderzyła w sam środek tarczy jego przeciwnika, lecz trzasła przy samej dłoni w kawałki. Koń sir Kennetha cofnął się o parę stóp

i upadł na tylne nogi, lecz jeździec podniósł go natychmiast cuglami. Ale dla Konrada nie było już ratunku. Kopja szkockiego rycerza przeszyła jego tarczę, pancerz ze stalowej łuski medjolańskiej roboty, wreszcie kolczugę, którą miał pod pancerzem i zraniła go głęboko, pozostawiając odłam w ranie; Konrad spadł z konia. Sekundanci, heroldowie, nawet Saladyn, zszedłszy ze swego tronu, nadbiegli do rannego; sir Kenneth opuścił miecz, spostrzegłszy, że przeciwnik jest bezsilny, i wezwał go, aby przyznał się do swej zbrodni. Konrad, gdy mu hełm podniesiono, rzekł, wzniósłszy nieprzytomny wzrok ku niebu:

— Bóg sprawiedliwie osądził, jestem winny, lecz są w obozie zdrajcy, gorsi ode mnie. Przez litość dla mej duszy, przyślijcie mi spowiednika.

Ożywił się nieco, wymawiając te słowa.

— Bracie, użyj swego potężnego środka, użyj swego talizmanu! — rzekł Ryszard do Saladyna.

— Ten zdrajca — odparł Saladyn — bardziej zasługuje na to, aby go ze szranków wyciągnąć wprost na szubienicę, niż żeby miał korzystać z talizmanu. Zresztą czytam w jego wzroku — dodał, wpatrując się w rannego — że choć rana jego może się da wyleczyć, ale znamię Azraela jest na jego czole.

— Proszę cię jednak, mój bracie — rzekł Ryszard — uczyń dla niego, co możesz, aby się mógł przynajmniej wyspowiadać. Nie należy gubić razem duszy i ciała. Pół godziny więcej teraz dla niego znaczy, niż przez tysiąc pomnożone lata najstarszego patrjarchy.

— Życzenie mojego królewskiego brata zostanie spełnione — odparł Saladyn. — Niewolnicy, zanieście rannego do mojego namiotu.

— Nie pozwolę na to — rzekł nagle wielki mistrz, który dotychczas stał w milczeniu, spoglądając ponuro. — Ani ja, ani arcyksiążę austrjacki nie pozwolimy, aby wydano nieszczęsnego margrabiego Saracenom, którzy będą na nim

próbować swych czarów. Jesteśmy jego sekundantami i żądamy, aby był oddany pod naszą opiekę.

— Odrzucacie więc pewny środek utrzymania go przy życiu? — rzekł Ryszard, a zwracając się do szkockiego rycerza, tak do niego przemówił:

— Waleczny rycerzu Lamparta, dowiodłeś, że Nubijczyk może zmienić swą skórę, a lampart pozbyć się swych plam. Powiem ci więcej jeszcze w obecności dam, które najlepiej umieją sądzić i wynagradzać waleczne czyny rycerzy.

Rycerz Lamparta skłonił się z wdzięcznością królowi.

— I ty, Saladynie, pójdziesz z nami. Moja małżonka koniecznie pragnie osobiście podziękować ci za to książęce przyjęcie.

Sułtan skłonił głowę w podzięce, lecz wymówił się od zaproszenia.

Ryszard, szanując cudze obyczaje, nie nalegał dalej.

— Mam nadzieję — rzekł, odchodząc sułtan — że wieczerzę spożyjecie wszyscy pod czarnym namiotem wodza Kurdów.

Zwycięzca wszedł do namiotu królowej, wprowadzony przez swych sekundantów, Ryszarda i Wilhelma o Długim Mieczu, i ukląkł przed królową, w głębi serca oddając hołd Edycie, która siedziała po prawej ręce Berengarji.

— Uściśnij go, moja małżonko — rzekł król, dbały o zachowanie przepisów rycerskich. — Niechaj piękność uczci odwagę. Odepnij mu ostrogi, Berengarjo, choć jesteś królową, należy mu się od ciebie taki dowód łaski. Zdejmij mu hełm, Edyto, choć jesteś najdumniejszą z rodu Plantagenetów, a on najuboższym rycerzem na ziemi.

A gdy z pod hełmu ukazała się szlachetna twarz sir Kennetha, zaczerwieniona od zmęczenia i wzruszeń, król dodał:

— Powiedzcie mi, dostojni rycerze i piękne damy, kogo spodziewaliście się ujrzyć pod tą zbroją? Może nubijskiego niewolnika lub nieznanego rycerza? Nie, przysięgam na

mój miecz. Skończyły się już jego przemiany. Ukląkł przed wami rycerz, znany wam tylko ze swoich zasług, a wstanie mąż, znakomity urodzeniem i fortuną. Nieznany rycerz Kenneth jest Dawidem, hrabią na Huntingdon, następcą tronu szkockiego.

Wszyscy wydali okrzyk zdziwienia.

— Tak, panowie — ciągnął dalej król — tak to jest. Lecz dlaczego nie wyjawiłeś mi swej godności, szlachetny Huntingdonie, gdy groziła ci kara śmierci? Czy dlatego, że obawiałeś się, iż Ryszard zechce się mścić na władcy, który wielokrotnie był mu niechętny?

— Nie, tej niesprawiedliwości nie popełniłem względem ciebie — odparł hrabia Huntingdon. — Lecz duma moja nie pozwoliła mi przyznać się, że jestem synem króla Szkocji, tylko dla uratowania się od kary śmierci, na którą zasłużyłem, opuszczając moje stanowisko.

— Lecz jakim szczęśliwym trafem Wasza Królewska Mość odgadł prawdę? — zapytała Berengarja.

— Domyśliłem się tego z listów, które mi przywieziono z Anglji — rzekł król. — Podejrzenia moje zostały potwierdzone przez barona de Vaux, który przywiózł z sobą z Askalonu jedynego giermka hrabiego Huntingdona. Giermek ten odbył trzydzieści mil drogi, aby wyjawić tajemnicę baronowi de Vaux, choć doprawdy do mnie było mu bliżej.

— Należy wybaczyć staremu słudze — rzekł de Vaux. — Wiedział z doświadczenia, że mam serce czulsze, niż Plantagenetowie.

— Ty masz czułe serce? To nie serce, to raczej kawał żelaza lub kamień z Cumberlandu — zawołał król. — My to, Plantagenetowie, mamy czułe serca. Wszak prawda, Edyto? — dodał, zwracając się do swej krewniaczki, która na te słowa oblała się rumieńcem. — Daj mi swą rękę, piękna kuzynko, a książę szkocki niech mi poda swoją.

— Co czynisz, Miłościwy Panie? — rzekła Edyta, usiłując ukryć swe wzruszenie pod żartem. — Czyż nie po-

mnisz, że ręka moja miała nawrócić na wiarę chrześcijańską Saracenów i Arabów, Saladyna i wogóle wszystkie głowy, ozdobione turbanami?

— Proroctwo się zmieniło — odparł Ryszard.

— Nie żartuj, dopóki te więzy nie są na dobre związane — rzekł pustelnik z Engaddi, wysuwając się naprzód — Bóg wypisuje na niebie swemi promiennemi literami prawdę, tylko ludzkie oczy są za słabe, aby ją odczytać. Tej nocy, którą Saladyn i Kenneth spędzili w mej grocie, wyczytałem w gwiazdach, że pod moim dachem spoczywa książę, nieprzyjaciel Ryszarda, który ma zaślubić Edytę Plantagenet. Nie wątpiłem, że tym księciem jest Saladyn, i stąd wyprowadziłem wniosek, że zostanie chrześcijaninem, szczególniej że zdawał się skłaniać do prawdziwej wiary. Nieświadomość moja upokorzyła mnie, lecz zarazem przyniosła mi wielką pociechę. Odtąd pokorny jestem i pełen nadziei w skuteczność mej pokuty.

Nie będziemy się dłużej rozwodzili nad tem, co się działo w namiocie królowej, i zastanawiali, czy hrabia na Huntingdon, był równie milczący w obecności Edyty, jak wówczas, gdy spotykał ją jako nieznany rycerz.

Wieczór się zbliżał; Saladyn oczekiwał książąt chrześcijańskich pod swym namiotem, który różnił się tylko wielkością od zwykłych namiotów Kurdów czy Arabów. Wewnątrz uczta była już przygotowana z całym przepychem wschodnim.

Saladyn, oczekując na gości, rozpatrywał horoskop*, dostarczony mu przez pustelnika z Engaddi przed opuszczeniem przezeń obozu.

— Dziwna to i tajemnicza wiedza — szeptał do siebie — która pod pozorem wyjawienia przyszłości wyprowadza w pole tych, których ma oświecić, i zaciemnia wypadki, zamiast je rozjaśniać. Kto mógł się domyślić, że to nie ja jestem najniebezpieczniejszym wrogiem Ryszarda, i że to nie moje małżeństwo z jego kuzynką zakończy ten zatarg mię-

dzy nami? Okazuje się, że związek między hrabią a Edytą przyniesie pokój Anglji ze Szkocją, która jest bardziej ode mnie niebezpiecznym wrogiem Ryszarda, tak jak dziki kot jest bardziej niebezpieczny od lwa w pustyni. Lecz cóż to znaczy?

Słowa te wypowiedział do karła Nektabanusa, który wpadł do namiotu, wystraszony i wzburzony, z twarzą wykrzywioną trwogą: usta miał szeroko otwarte, oczy rozszerzone, ręce przed siebie wyciągnięte.

— Cóż się stało? — sułtan zapytał surowo.

— *Accipe hoc!** — jęknął karzeł.

— Co mówisz? — pytał Saladyn.

— *Accipe hoc!* — powtórzył znów Nektabanus, napół nieprzytomny z przerażenia.

— Nie jestem usposobiony do słuchania tych błazeństw — rzekł Saladyn.

— Ja nie błaznuję, ja... nieszczęsny — jąkał karzeł. — Wysłuchaj mnie, wysłuchaj mnie, potężny sułtanie...

— Jeśli cię kto skrzywdził — rzekł sułtan — kimkolwiek bądź jesteś, mędrcem czy błaznem, sułtan gotów jest cię wysłuchać. Chodź ze mną.

I weszli razem do wewnętrznej części namiotu.

Rozmowa ich została wkrótce przerwana odgłosem trąb, oznajmiającym przybycie książąt, na których spotkanie wyszedł Saladyn. Przywitał hrabiego Huntingdona i winszował mu zaręczyn. Poczem rzekł:

— Nie przypuszczaj, szlachetny panie, iż następca tronu szkockiego jest milej widziany przez sułtana, aniżeli Kenneth przez samotnego Ilderima na pustyni, lub nieszczęsny Nubijczyk przez Hakima.

Hrabia Huntingdon odpowiedział mu godnie, dziękując za rozliczne usługi, oddane mu przez wspaniałomyślnego sułtana. Potem, biorąc do ręki kubek z sorbetem, rzekł:

— Zali to ten sam znakomity sorbet, którym orzeźwiał się wygnaniec w twym obozie?

Wielki mistrz Templarjuszów sięgnął też po kubek z sorbetem. Wówczas Saladyn skinął na karła, który, wysunąwszy się naprzód, wymówił chrapliwym głosem: *„Accipe hoc!“* Templarjusz drgnął, jakgdyby ujrzał nagle lwa; lecz szybko odzyskał panowanie nad sobą i, aby ukryć swe zmieszanie, podniósł do ust kubek, lecz usta jego nie dotknęły go już nigdy. Saladyn ruchem szybkim, jak błyskawica, wyciągnął z pochwy szablę, wzniósł ją do góry i głowa wielkiego mistrza potoczyła się aż w drugi koniec namiotu, podczas gdy ciało przez chwilę jeszcze stało z kubkiem w ręku, potem upadło na ziemię, a rozlany sorbet zmieszał się z krwią, buchającą z żył.

Rozległ się okrzyk „Zdrada!“, a arcyksiążę, który stał najbliżej Saladyna, trzymającego krwawą szablę w ręku, odskoczył od niego, jakgdyby się bał, że wkrótce nadejdzie jego kolej. Ryszard i inni książęta chwycili za miecze.

— Nie obawiaj się, szlachetny arcyksiążę — rzekł Saladyn z takim spokojem, jakgdyby się nic nie było stało — i ty, królu angielski, nie gniewaj się na mnie. Zabiłem wielkiego mistrza nie za jego liczne zdrady, nie za spisek, jaki knował na życie Ryszarda, co może zaświadczyć własny jego giermek, nie za to, że ścigał Huntingdona i mnie samego w pustyni, tak, iż uszliśmy z życiem tylko dzięki naszym rączym rumakom; wprawdzie za wszystkie te zbrodnie zasłużył na swój los, lecz ja go ukarałem za to, że przed chwilą zamordował swego towarzysza i wspólnika, Konrada na Montserrat, z obawy, aby ten nie wyznał na spowiedzi niecnych intryg, w których obaj maczali palce.

— Jakto? Konrad zamordowany? Zamordowany przez wielkiego mistrza, jego sekundanta i przyjaciela? — zawołał Ryszard. — Szlachetny sułtanie, nie chciałbym wątpić w twoje słowa, ale trzebaby mieć dowód, gdyż inaczej...

— Oto jest dowód — rzekł Saladyn, wskazując na przestraszonego karła. — Allach, który zsyła świętojańskie ro-

baczki dla rozjaśnienia ciemności nocy, może wyjawić tajemnicę zbrodni najbardziej pogardy godnemi sposobami.

Saladyn wówczas opowiedział, co mu karzeł doniósł: Konrad na Montserrat spał pod wpływem leku Saladyna, a karzeł siedział za zasłoną jego łoża. Nagle posłyszał, jak wielki mistrz wszedł do namiotu, starannie za sobą zasłoniwszy wejście. Obudził Konrada i rozmawiał z nim długo, lecz wystraszony karzeł zapomniał, o czem mówili. Pamiętał tylko, jak wielki mistrz zatopił w sercu Konrada turecki sztylet ze słowami: „*Accipe hoc*“.

— Aby sprawdzić prawdę słów karła — rzekł Saladyn — kazałem obejrzeć ciało. Kazałem też nieszczęsnej tej istocie, którą Bóg zrobił świadkiem zbrodni, powtórzyć w waszej obecności słowa zbrodniarza; sami zauważyliście, jakie to na zbrodniarzu zrobiło wrażenie.

Sułtan zamilkł, wówczas król angielski przerwał milczenie.

— Nie wątpię już, że to wszystko prawda. Byliśmy więc świadkami wykonania sprawiedliwego wyroku. Lecz dlaczego wykonałeś go sam i w naszej obecności?

— Miałem inny zamiar — odparł Saladyn — lecz gdybym mu był pozwolił skosztować z mego kubka, nie mógłbym go potem skazać na śmierć bez naruszenia praw gościnności. Lecz dość już o tem. Wraz z ciałem niech i pamięć o nim zniknie z pośród nas.

Ciało zostało wyniesione, a krwawe ślady zatarte; lecz chrześcijańscy książęta czuli, że scena ta ciężarem położyła się na ich duszach. Wówczas Ryszard zapytał sułtana, zali to prawda, że zaszczycił hrabiego Huntingdona osobistą z nim walką.

Saladyn odparł z uśmiechem, że popróbował konia i broni w potyczce z następcą tronu szkockiego.

— A gdybyśmy — rzekł Ryszard — starli się tu, zaraz, wobec tej szlachetnej kompanji i rozstrzygnęli w walce między nami dwoma, komu ma przypaść Palestyna? Tym sposobem odrazu zakończylibyśmy tę przewlekłą wojnę.

— Gdybym walczył o święte miasto — odparł Saladyn — Allach dodałby siły memu ramieniu, a gdybym poległ, poszedłbym wprost do raju. Lecz Allach oddał już w ręce prawdziwych wiernych Jerozolimę, więc byłoby zuchwalstwem narażać się na jej utratę, licząc na osobistą odwagę i zręczność.

— Miałeś szczęście — rzekł z westchnieniem Ryszard, zwracając się do hrabiego Huntingdona. — Oddałbym najszczęśliwszy rok mego życia za te pół godziny, wczasie której walczyłeś z Saladynem przy Diamencie Pustyni.

To rycerskie wystąpienie Ryszarda rozweseliło ucztę i, gdy wreszcie książęta powstali, aby odejść, Saladyn zbliżył się do Ryszarda Lwie Serce, a ująwszy go za rękę, rzekł:

— Szlachetny królu Anglji, rozstajemy się, aby już nigdy się nie spotkać. Wiadome jest równie dobrze tobie, jak mnie, że Liga książąt została rozwiązana i że masz za mało swojego wojska, aby móc dalej prowadzić walkę. Nie mogę ci oddać Jerozolimy, którą tak pragniesz zdobyć, gdyż jest to święte miasto nietylko dla was, chrześcijan, ale i dla nas. Lecz cokolwiek innego zażądasz, Saladyn ofiaruje ci z radością, nawet gdybyś go o to prosił, będąc na pustyni z orszakiem, złożonym jedynie z dwóch łuczników.

Następnego dnia Ryszard powrócił do swojego obozu, i wkrótce potem hrabia Huntingdon zaślubił Edytę Plantagenet. Sułtan przysłał im w darze w dniu ich ślubu sławetny *Talizman*; wyleczyli nim wielu chorych w Europie, lecz nic nie zaćmiło słynnego uzdrowienia Ryszarda.

OBJAŚNIENIA.

Czerwony Krzyż (str. 1) — inaczej Krzyż św. Jerzego, jest to narodowa odznaka angielska, którą przyjęli angielscy rycerze, udający się na wyprawę krzyżową.

Krzyżowcy (str. 1) — byli to rycerze, biorący udział w wojnach w w. XI—XIII o zdobycie Świętej Ziemi, gdzie mahometanie prześladowali pielgrzymów, odwiedzających Grób Jezusa Chrystusa.

Martwe morze (str. 1) — położone jest na samym południowym krańcu Syrji. Ma 76 kilometrów długości na 17 szerokości. Wody jego są tak nasycone solą, że żadne stworzenie ani roślina nie może w nich wyżyć, stąd pochodzi nazwa morza.

Grzeszne miasta (str. 1). — Mowa tu o pięciu miastach: Sodoma, Gomora, Adma, Zeboim i Zoar, o których Biblja wspomina, że zostały zniszczone ogniem niebieskim za grzechy mieszkańców.

Saraceni (str. 3) — tak w czasie wypraw krzyżowych nazywano koczujących Arabów, którzy byli mahometanami.

Emir (str. 4) — tytuł dworski u Turków.

Lingua franca (str. 4) — była to gwara, używana na Wschodzie, dla porozumienia się miejscowej ludności z przybyszami z Zachodu.

Nazareńczyk (str. 6) — tak mahometanie nazywali chrześcijan, gdyż Jezus Chrystus wychowany był w Nazarecie.

Pusty grobowiec (str. 7) — mowa tu o Świętym Grobie, z którego Chrystus zmartwychwstał. W Jerozolimie na miejscu Grobowca stał kościół, wybudowany w 336 i zburzony przez Hakima w 1010 roku.

Frankowie (str. 7). — W czasie wojen krzyżowych, Frankami nazywali mahometanie wszystkich europejczyków.

Kaaba (str. 8) — jest to świątynia w Mecce, w której znajduje się czarny kamień, prawdopodobnie aerolit, t. j. cząstka ciała niebieskiego. Cześć, jaką mahometanie oddają Kaabie, datuje na 700 lat przed Mahometem. Kamień jest zakryty zasłoną, którą co rok sułtan uroczyście zmienia. Pielgrzymi siedmiokrotnie na

klęczkach okrążają kamień, całując go.

Saladyn (po arabsku Sala-ud-din), (str. 8) — pierwszy sułtan Egiptu, urodził się w Tekrycie w 1137, umarł w 1193 roku.

Poganiacz wielbłądów z Mekki (str. 9) — tak chrześcijanie pogardliwie nazywali Mahometa.

Seldżuk (str. 10) była to nazwa tureckiej dynastji, pochodzącej ze stepów, położonych nad brzegami rzeki Oxus. W jedenastym wieku pod wodzą sułtanów z dynastji Seldżuków Turcy zalali Persję, Mezopotamję i Syrję, zczasem cała zachodnia Azja od granic Afganistanu, aż po Grecję i Egipt, dostała się pod ich panowanie.

Asturja (str. 11) — część Hiszpanji, która uniknęła jarzma Maurów. W dziesiątym wieku nazywano ten kraj także królestwem Leonji.

Dolina Śmierci (str. 13) — była to puszcza, na której przebywał Chrystus, po swoim czterdziestodniowym poście i gdzie Go szatan kusił. Dlatego szkocki rycerz taki był skupiony.

Zohauk (str. 14) — jest to postać z legendy perskiej.

Istakhar (str. 14) — inaczej Persepolis, w starożytności stolica perskich królów. Ruiny tego miasta położone są o 50 *km* na północny-zachód od Szirazu.

Hurysa (str. 14) — rajskie dziewice w raju Mahometa.

Prorok Harun (str. 15) — w Piśmie Świętem zwany Aaronem.

Aryman (str. 16) — jest to bóg złego w przeciwieństwie do Ormuzda, boga dobra. Religja perska Zoroastra uznawała oba bóstwa, ale w ostatecznej walce Ormuzd zwyciężał Arymana.

Anachoreta (str. 18), człowiek, który się usunął od świata i żyje w samotności, spędzając czas na pokucie i modlitwie.

Engaddi (str. 18) — po arabsku Ain Jidi, co znaczy „źródło koźlątka". Jest to ciepłe źródło, wypływające ze skał, położonych na zachód od Martwego morza, wśród niesłychanie dzikiego kraju. Dawid szukał tam schronienia przed zemstą Saula.

Vera Crux (str. 24) — prawdziwe drzewo Krzyża św.

Gloria Patri (str. 24) — Chwała Ojcu.

Szkaplerz zakonnic z góry Karmelu (str. 25). — W tym wypadku szkaplerz oznacza okrycie, noszone przez Karmelitanki na ramionach. Od koloru habitów nazywano Karmelitów Białymi Braćmi, Kartuzów — Szarymi Braćmi, a Dominikanów — Czarnymi Braćmi. Groty w górze Karmelu wcześnie zostały zamieszkane przez pustelników. W 1207 roku włoski mnich, Bertold, założył tam zakon Karmelitów, działając, jak mówił, z natchnienia proroka Eljasza.

Żonglerzy (str. 29) — byli to w średnich wiekach poeci, którzy sami deklamowali swe wiersze, akompanjując sobie na różnych instrumentach.

Król Gwidon Lusignan (str. 29) — ożeniwszy się z Sybillą, córką Almeryka, został w 1186 tytularnym królem Jerozolimy. Został pobity przez Saladyna w 1187 roku, wzięty do niewoli i odesłany, jako więzień, do Damaszku. Później Ryszard Lwie Serce zrobił go królem Cypru.

Saint Jean d'Acre (Sę Żan Dakr) (str. 31) — była to forteca w Syrji nad brzegiem morza Śródziemnego. Ryszard Lwie Serce zdobył ją w 1191 roku.

Ascalon (Askalą) (str. 31) miasto w Palestynie i port nad morzem Śródziemnem.

Normanowie... Saksończycy (str. 32) — Anglja została w VI wieku zalana przez plemię germańskie Anglo - saksończyków. W XI wieku zostali oni zwyciężeni przez Normanów, którzy przypłynęli z półwyspu Skandynawskiego. Teraz oba te narody zupełnie się zlały, ale za czasów Ryszarda były między nimi różnice.

En arrière — wtył, En avant (str. 35) — naprzód. Filip z trudem został namówiony do przystąpienia do wyprawy krzyżowej. Po zdobyciu Acre powrócił do kraju dla uporządkowania wewnętrznej polityki swego kraju, a głównie dla prowadzenia intryg przeciw swemu lennikowi, Ryszardowi Lwie Serce, korzystając z jego nieobecności.

Templarjusze (str. 35) — był to zakon rycerski, założony w 1118 roku. Później, zebrawszy ogromne bogactwa, stali się bankierami monarchów europejskich. Oskarżono ich fałszywie, ale w dwa wieki później, niż opisane tu wypadki, o bałwochwalstwo, czarnoksięstwo i oddawanie czci djabłu.

Beau Seant (Bo-Sean) (str. 35) — okrzyk bojowy templarjuszów.

Joannici (str. 35) — też zakon rycerski.

Konrad na Montserrat (Mąsera) (str. 35) — obronił Tyr przed Saladynem w 1187. Ożenił się z Izabelą, córką Almeryka, króla Jerozolimy. Wybrany na króla Jerozolimy wkrótce potem, w 1191 r., został zamordowany.

Lelie (str. 36) — saraceński okrzyk bojowy.

Hakim (str. 40) — znaczy po arabsku mędrzec, szczególnie lekarz.

Issa ben Mariam (str. 42) — Jezus, syn Marji.

Muezzin (str. 42) — mahometański kapłan, który wzywa pobożnych na modlitwę ze szczytu specjalnie na ten cel wzniesionych wież, zwanych minaretami.

Minstrele (str. 43) — poeci lub śpiewacy, którzy w średnich wiekach wędrowali, śpiewając swe pieśni.

Frankistan (str. 45) — tak nazywali Saraceni całą Europę.

Leopold, arcyksiążę austrjacki (str. 62) — przyłączył się do wyprawy krzyżowej w 1181; pokłóciwszy się z Ryszardem Lwie Serce, pochwycił go w drodze powrotnej do niewoli i wypuścił go, otrzymawszy sowity okup. Legenda mówi, że więzienie Ry-

szarda odkrył trubadur Blondel, śpiewając pod wszystkiemi zamkami w Niemczech pieśń, którą ułożył razem z królem.

Rzucił chorągiew na ziemię (str. 68) — scena ta w rzeczywistości zdarzyła się przy zdobywaniu Acre, gdzie Ryszard, ujrzawszy na murach chorągiew austrjacką, rzucił ją w błoto.

Filip, król Francji (str. 68) — Filip II August, syn Ludwika VII, był jednym z najbardziej zdolnych i przebiegłych monarchów swojego czasu. Walczył i intrygował przeciw Anglji przez całe swe życie, zajął posiadłości angielskie we Francji. Ryszard Lwie Serce zginął w walce przeciwko niemu pod Chalus (Szaliu).

Merlin i Maugis (str. 71) — Merlin był to czarownik z legendy o Arturze, sławnej w owych czasach. Maugis był także czarownikiem i postacią legendarną.

Melech (str. 81) — po arabsku znaczy król.

Zdetronizowana królowa Jerozolimy (str. 90) — była to Izabela, żona Konrada na Montserrat. Po śmierci Konrada wyszła powtórnie zamąż za Henryka, księcia Szampanji, który wówczas mieszkał w Tyrze.

Moussa ben Amran, (str. 99) — Mojżesz, syn Amrana.

Godfryd de Bouillon (Bują) (str. 102) — książę lotaryński, wódz pierwszej wyprawy krzyżowej i pierwszy król Jerozolimy, (1058—1100).

Baal (str. 106) — bożek fenicki.

Charegici (str. 110) — sekta fanatycznych derwiszów muzułmańskich. Derwisze oddają cześć Bogu tańcem aż do utraty przytomności i ci nazywają się derwiszami tańczącymi, inni znów — wyciem, nazywają się derwiszami wyjącymi.

Pawęż (str. 116) — tarcza zasłaniająca całkowicie rycerza, zazwyczaj bywała drewniana, powleczona skórą lub pokryta stalowemi płytkami, służyła jako zasłona przed strzałami.

Pierścień Dżiaoudżi (str. 132) — króla Lidji, pierścień ten czynił posiadacza niewidzialnym.

Famagosta (str. 145) — miasto na wschodniem wybrzeżu Cypru.

El Hadżi (str. 147) — taki tytuł dawali mahometanie tym, którzy odbyli pielgrzymkę do Mekki.

Sziraz (str. 156) — stolica Farzystanu, południowo-zachodniej prowincji Persji, dotychczas słynie ze swego wina.

Horoskop (str. 161) — przepowiednia na przyszłość, wysnuta przez astrologów z układu gwiazd w dniu urodzenia człowieka.

Accipe hoc (str. 162) — po łac.: przyjmij to.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.		Str.
I. Chrześcijanin i Saracen	1	XVI. Królowa i Edyta	90
II. Wspólny posiłek	5	XVII. Walka o życie człowieka	92
III. Szalony anachoreta	9	XVIII. Tajemnica pustelnika	97
IV. Cud skalnej kaplicy	21	XIX. Spisek dojrzewa	104
V. Zagadkowa para karłów	28	XX. Dar Saladyna	110
VI. Ryszard Lwie Serce	31	XXI. Chybiony cios	118
VII. Maurytański lekarz	37	XXII. Rycerz w niewoli	122
VIII. Próba leczenia	43	XXIII. Przemiana lekarza w emira	127
IX. Toast	50	XXIV. Odkrycie przestępcy	132
X. Dwaj dobrani przyjaciele	57	XXV. Poznany	139
XI. Walka lwa z orłem	62	XXVI. Przyjazd króla minstrelów	143
XII. Na straży sztandaru	71	XXVII. Diament Pustyni	147
XIII. W namiocie królowej	74	XXVIII. Sąd Boży	155
XIV. Życie czy honor	78		
XV. Gotów na śmierć	84		

Objaśnienia 165

U.C. BERKELEY LIBRARIES
C096414110